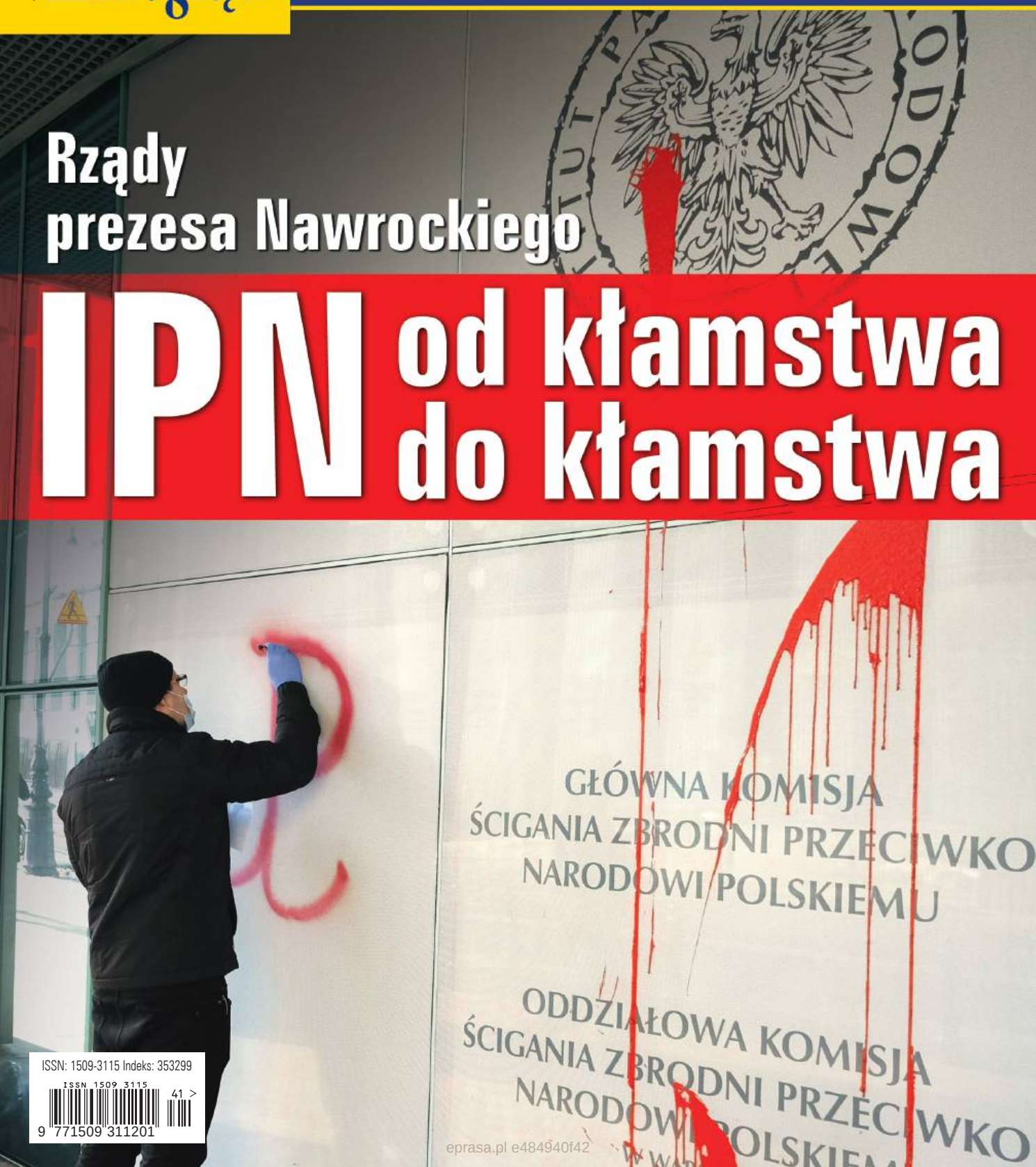


BIERNI
LIDERZY LEWICYDR KAROLINA MESSYASZ
NASTOLATEK CHCE BYĆ YOUTUBEREMALEKSANDRA SZARŁAT
SPATIF – AZYL DLA ARTYSTÓWFRANCISZEK PIECZKA
GÓRNIK Z PASTORAŁEM

Rządy
prezesa Nawrockiego

IPN od kłamstwa do kłamstwa

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



STODOLA more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!



EDYTA GEPPERT

6 LISTOPADA 2022



ANIA DĄBROWSKA

20 LISTOPADA 2022



LUXTORPEDA

25 LISTOPADA 2022



RAZ, DWA, TRZY

7 GRUDNIA 2022



MARIA PESZEK

4 GRUDNIA 2022



BASIA TRZETRZELEWSKA

20 STYCZNIA 2023

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL

f @KLUB.STODOLA

@KLUB.STODOLA



Prezydent tylko teoretyczny

„Żeby tylko wstydu nie było”, miał powiedzieć prezes Kaczyński, gdy przed wyborami prezydenckimi w 2015 r. PiS rozglądało się za swoim kandydatem. Tłumu chętnych nie było, bo pozycja Bronisława Komorowskiego wydawała się niepodważalna. Stało się jednak inaczej! Na skutek postawy liderów PO i słabości sztabu Komorowskiego wygrał Andrzej Duda. I wstydzić się za jego czyny, gesty i słowa trzeba już siódmy rok. Tak oto prezydentura Dudy przebiega. Od wstydu do wstydu.

Ludzie do tego stanu tak się przyzwyczaili, że prawie nikt już nie oczekuje, by prezydent wypełniał swoje obowiązki na serio. A nie był wyłącznie postuszną marionetką. Zależną w każdej sprawie od woli prezesa Kaczyńskiego.

Zwierzchnictwo Dudy nad armią jest tylko teoretyczne. Sprawy armii to dla niego głównie przemawianie w czasie świąt narodowych, parad i festynów. I przyjmowanie defilad. A reszta? Choćby to, co PiS, za jego wiedzą, zrobiło w czasie rządów Macierewicza w MON z kadrą dowódczą. Tą, która przeszła wielostopniową weryfikację w strukturach NATO. Ekipa Macierewicza wycięła wszystkich, którzy mieli tam dobrą opinię. Prezydent nie reagował. Przyglądał się temu szaleństwu kadrowemu. Elitę wojskowych poodsyłano do rezerwy.

Bo nie chcieli trzaskać obcasami przed Macierewiczem i jego pomocnikiem Misiewiczem. Na oczach prezydenta ta ekipa zaorywała zbrojeniówkę. Skutecznie. Obraz kataklizmu, jaki zostawił po sobie Macierewicz w wojsku i zbrojeniówce, powinien wystarczyć, by zajęła się nim prokuratura. Nic z tego. Doczekał się Orła Białego. Prezydentowi nie drgnęła ręka, gdy przyznawał mu najwyższe polskie odznaczenie. Odwołanemu z funkcji ministra obrony, bo Amerykanie zażądali. A gdyby tego nie zrobili, prezydent dalej by udawał, że jest zwierzchnikiem sił zbrojnych. I chwalił polityka faszerującego Polaków bredniami o zamachu smoleńskim.

Dudzie została jeszcze publikacja aneksu do raportu o likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, który przygotował Macierewicz, a którego żaden z kolejnych prezydentów nie zdecydował się opublikować. Duda też czeka na decyzję szefa. Gdyby nie reportaż w TVN 24 demaskujący prymitywne manipulacje i oszustwa smoleńskie Macierewicza, pewno nie byłoby odznaczenia.

Za co więc ten order? Za kłamstwa, sianie nienawiści, za krzywdę rodzin ofiar katastrofy?

Tego hucpiarstwa wielu Polaków nie wybaczy Dudzie ani jego politycznym mocodawcom. Żałosna to była uroczystość. I żaloszny jest ten kawaler orderu.

BAKOWSKI



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (3/2022)

„Troje na jednego” z Jerzym Urbanem
Rozmawiają Bożena Przyłuska,
Paweł Sękowski i Robert Walenciak



9 zł

W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8** Od Kieresa do Nawrockiego
Miliardy na IPN
- 14** Czy Czarzasty chce łapać wyborców,
czy Tuska za nogi?
Dylemat lewicy
- 16** Lekowa zapaść
W ogonie wyścigu farmaceutycznego
- 19** 20 lat procesu i końca nie widać
Co przeszkadza sędziemu
- 20** Czarna księga niewiedzy
Ofiary przemocy domowej
- 22** Nie ma cię w sieci, to nie ma cię wcale
– rozmowa z dr Karoliną Messyasz
- 26** Wyrzućcie Anię z Zielonego Wzgórza!
Promocja życia w ciemnogrodzie
- 48** Lokalsi – przypadek Radomska
W samorządzie się nie narobisz
- 51** 33. edycja Nagrody
im. Zygmunta Glogera

ZAGRANICA

- 28** Bez młodych na roli
Coraz mniej rodzinnych gospodarstw
- 32** Turcja nowym centrum handlu kokainą
Rekordowy przemysł

HISTORIA

- 34** Potrójna klęska
Upadek powstania warszawskiego

WOJSKO

- 38** Modlitwa o deszcz i błoto
Reguły wojny

KULTURA

- 40** Górnik z pastorałem w dłoni
Franciszek Pieczka 1928-2022
- 43** Kulturalia
- 44** Jedyne takie miejsce w Warszawie
– rozmowa z Aleksandrą Szarłat
- 66** Dominik Jasiński. Dom pierwszy

SPORT

- 52** Bóle głowy przed Katarzem
Jak zagra Lewandowski

EKOLOGIA

- 55** Wołanie na Puszczy Bydgoskiej
Drogowcy kontra aktywiści

ZWIERZĘTA

- 58** Polowanie na łosia
Przyroda bez sentymentów

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Prezydent tylko teoretyczny
- 25** Jan Widacki
Pierogi solidarności
- 31** Roman Kurkiewicz
Potężne, niewidzialne potwory
- 37** Tomasz Jastrun
Co to jest poezja
- 47** Wojciech Kuczek
Chamstwo nadzwyczajne



22

KRAJ

NIE MA CIĘ W SIECI, TO NIE MA CIĘ WCALE

– rozmowa
z dr Karoliną Messyasz



44

KULTURA

JEDYNE TAKIE MIEJSCE W WARSZAWIE

– rozmowa z Aleksandrą Szarłat



58

ZWIERZĘTA

POLOWANIE NA ŁOSIA

Przyroda bez sentymentów

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA





f Bydgoska bomba tyka

Cały czas zastanawiam się, czym się różni teren po elektrowni atomowej w Czarnobylu od terenu obecnego parku przemysłowego po byłym Zachemie

i niemieckiej fabryce Dynamit AG Fabrik Bromberg, wykorzystującej niewolniczą pracę Polaków, którzy stracili tam życie i zdrowie, nie otrzymując od Niemców rekompensaty. Wokół DAG było kilkanaście obozów dla pracowników przymusowych, jeńców, przy ulicy Hutniczej była też filia obozu koncentracyjnego Stutthof.

Ostatni dwaj truciele przyczynili się do skażenia tego terenu nie jednym wybuchem, lecz latami produkcji. Dlaczego ich zyski nie mogą być przeznaczone na rekultywację zatrutych gruntów? Dlaczego świat, Europa zajmują się skażeniem Czarnobyla, a nie Zachemu? Może dlatego, że Czarnobyl jest daleko, a Bydgoszcz za blisko? Bydgoskie skażenie terenu może skutkować konsekwencjami nie tylko dla Polski, ale i dla Europy.

Marek Grabowicz



f Co z konkordatem?

W konsekwencji konkordatu mamy dziś 10 214 parafii, w których żyje ponad stan 28 546 księży (oprócz 180 zakonnic), a dodatkowo 32 000 zakonników. Sponsoruje ich każdy Polak, nie tylko dając na tacę,

ale i poprzez państwo – łożąc na utrzymanie osób, które nie przynoszą dochodu narodowego. Masa księży „pracuje”, siedząc w policji i wojsku, i zarabia na wysokie emerytury.

Władek Kosek

Przed konkordatem była jeszcze późnopeerelowska ustawa z maja 1989 r. o stosunku państwa do Kościoła rzymskokatolickiego, która zafundowała Kościołowi chyba jeszcze większe przywileje niż sam konkordat (m.in. rozwiązana już Komisję Majątkową).

Paweł Woźniak

Może być za późno na rozwód. Już nie roszczenia terytorialne, lecz religijne animozje mogą być pretekstem do interwencji z zewnątrz. A my jesteśmy takim punktem zapalnym na własne życzenie.

Ryszard Jędrzejewski

Moim zdaniem nigdy nie jest za późno na rozwód. Im wcześniej, tym lepiej, mniej szkód, a czas leci...

Małgorzata Markiewicz

f Od ściany do ściany — „dekommunizacja” Świerczewskiego

Dzisiaj wielu mówi o Świerczewskim, że dobrze mu tak, bo w 1920 r. walczył przeciw Polsce, dobrze, bo był złym dowódcą, dobrze, bo był alkoholiem, dobrze, bo to był komuch.

Szanowni komentatorzy, on nie został zabity dlatego, że walczył ponad ćwierć wieku wcześniej po stronie bolszewickiej, nie został zabity z powodu orientacji politycznej czy choroby alkoholowej. On został zabity, bo był Polakiem. Banderowcy tak traktowali każdego Polaka w polskim mundurze.

Przy trumnie wystawionej w Centralnym Domu Żołnierza egzekwie odprawiał dziekan generalny Wojska Polskiego ks. płk Stanisław Warchałowski. Świerczewski został pochowany 1 kwietnia 1947 r. w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Łukasz Marcin Jastrzębski



ZDJĘCIE TYGODNIA

Przy Szpitalu Specjalistycznym im. Stefana Żeromskiego w Nowej Hucie jest teraz skwer im. Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Uroczystość nadania nazwy odbyła się 29 września 2022 r.



17,2% wyniosła inflacja we wrześniu (GUS).

Niekwestionowanym zwycięzcą wojny na Ukrainie jest waluta amerykańska. Dolar zyskał wobec niemal wszystkich walut świata. W ciągu roku umocnił się wobec euro o 18%. Polacy płacą 5 zł za dolara i 5 zł za franka szwajcarskiego.

Uruchomiono **gazociąg Baltic Pipe**, który poprzez Danię łączy Polskę ze złożami w Norwegii. Umowę podpisało PGNiG za rządów premiera Buzka w 2001 r., po czym zawieszano ją, aż do rządów PiS, które ten projekt realizowało.

Polacy nie za bardzo chcą się szczepić przeciw COVID-19, w efekcie czego zutilizowano 788 tys. dawek, 11 mln szczepionek podarowano takim państwom jak Armenia, Bangladesz, Bośnia i Hercegowina oraz Ukraina. 15 mln dawek odsprzedano.

Pierwszy raz w historii przetestowano możliwość wpływania przez ludzi na trajektorię lotu asteroidy. **Sonda DART** uderzyła w asteroidę Dimorphos (średnica 160 m, masa 5 mln ton, odległość od Ziemi 11 mln km). Czekamy na efekty.

Biskup świdnicki Ignacy Dec, który oskarżał ks. Krzysztofa Trybulca o nadużycia finansowe i obyczajowe, po czym odwołał go z posady proboszcza w Szalejowie Górnym, przegrał proces i musiał mu wypłacić 10 tys. zł zadośćuczynienia. Z przeprosinami na piśmie czekał rok. Ale zrobił to, z zastrzeżeniem, że list nie może być publikowany („Nie”).

Jazda bez prawa jazdy kosztuje **Piotra Kraśkę** z „wolnych mediów”, czyli amerykańskiej TVN, 100 tys. zł grzywny.

A niepłacenie podatków jeszcze więcej. Odbije sobie w firmie, do której pasuje jak ulał.

Elon Musk ogłosił, że 33% użytkowników Twittera to nieprawdziwe konta generowane przez boty.

Polska Press, którą przejął Orlen, zamknęła rok 2021 stratą netto w wysokości ponad 30 mln zł. Ale pensje zarządu i szefów gazet poszybowały jak skowronki.

Otwarta w 1992 r. **SOS Wioska Dziecięca w Kraśniku** pomogła 309 dzieciom z pieczy zastępczej, z których 245 prowadzi już samodzielne życie.

85% polskich małoletnich gra w gry wideo, w tym 60% codziennie. Co trzeci wydaje kieszonkowe na zakup gier. W Polsce rynek gier wart jest ponad 2,5 mld zł.

Centralny Port Komunikacyjny w Baranowie jest coraz droższy. Pełnomocnik rządu mówi o 55 mld euro, a eksperci, że wraz z infrastrukturą drogową pochłonie 500 mld zł. Wywłaszczenia mają dotknąć ponad 20 tys. osób.

Najbardziej zadowoleni z życia w swoim mieście są mieszkańcy Gdyni, Gdańska, Zielonej Góry, Tychów i Bielska-Białej. A najmniej ci, którzy mieszkają w Częstochowie, Kaliszu, Rudzie Śląskiej i Nowym Sączu (**raport Otodom i ThinkCo**).

Statystyczny Polak zjada rocznie 5,6 kg słodczy czekoladowych. Więcej jedzą tylko w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Bułgarii.

Najdroższą przyprawą na świecie jest szafran. Szacowany koszt kilograma wynosi średnio ok. 20 tys. zł.

PRZEBŁYSKI

Z indeksem od podstawówki

A to się porobiło! Gdzie? W dalekiej diecezji drohiczyńskiej. Tamtejszy biskup Piotr Sawczuk zatęsknił za studenckimi czasami. I to tak, że chce obdarować indeksami działwę szkolną.

„Mając na uwadze dobro wychowania katolickiego (I Synod Diecezji Drohiczyńskiej, art. 14-17), (...) niniejszym dekretem wprowadzam na terenie Diecezji Drohiczyńskiej INDEKS UCZESTNIKA LEKCJI RELIGII. (...) Będzie obowiązywał uczniów w szkołach podstawowych w klasach VII-VIII oraz we wszystkich klasach szkół ponadpodstawowych od pierwszego semestru roku szkolnego 2022/2023”. Przy okazji zarobi kościelne wydawnictwo. A wpisami do indeksu będzie można dyscyplinować rozbrykane owieczki.



Sadowy i Deszczyca o mordzie (smoleńskim)

Mieliśmy wrażenie, że kancelaria prezydenta Dudy z jakichś powodów nie zaprosiła na wręczenie Orła Białego ludzi, którzy aktywnie wspierają wersję Antoniego Macierewicza o mordzie smoleńskim. Faux pas nadrobiła TVP Info, przypominając słowa mera Lwowa Andrija Sadowego i byłego ambasadora Ukrainy w Polsce Andrija Deszczyca. Może nie chcieli naraz trzech Andrzejów? Wszak i prezydent Andrzej. A szkoda, bo Sadowy i Deszczyca mają w sprawie katastrofy pod Smoleńskiem identyczny pogląd jak Macierewicz. Znają też sprawcę. Sadowy mówił przecież, że „na 100% jestem przekonany, że za tym stali bezpośrednio Rosjanie i Putin” (Wirtualna Polska). Może by im za tę wiedzę również dać jakiś order?



Mazurski stan wojenny

Było już ostro, ale teraz jest prawdziwa nawałanka. I płeć nie ma tu znaczenia. O fotel szefa PiS w regionie warmińsko-mazurskim posłanka Iwona Arent (PiS) walczyła z posłem Jerzym Szmitem (PiS).

W partyjnej dintojrze obecnie górą jest Arent. Na razie, bo nominację dostała tylko na trzy miesiące. Czuje się mocna z poparciem Adama Lipińskiego i Marka Suskiego. Ale Szmitem też ma silnego protektora, Joachima Brudzińskiego. A nad nimi jest jeszcze Mariusz Błaszczak, opiekun województwa wyznaczony przez prezesa K. Wojna będzie długa i krwawa.

Knucie w Dzień Dziecka

W świecie normalsów 1 czerwca jest Dzień Dziecka. Głowy zajęte życzeniami i prezentami. Ale nie wszystkie. Z przeciekającej skrzynki mejlowej Michała Dworczyka wiemy, że 1 czerwca 2020 r. zamiast dziećmi zajmowano się Romanem Giertychem. Na gwałt szukano czegoś, co odciągnie uwagę ludzi od megaafery z maseczkami. Nad pograżeniem Giertycha oprócz Dworczyka radzili Paweł Jabłoński (ma proces z PRZEGLĄDEM), Janusz Cieszyński (ten od maseczek) i prawnik Marcin Wawrzyniak. Ten ostatni, były radny PiS w Warszawie, zainteresował nas, bo ma dość egzotyczne funkcje: kanclerz Chorągwi św. Krzyża Zakonu Rycerzy Jana Pawła II i prezes fundacji Sursum Corda. Piszemy egzotyczne, bo ani św. Krzyż, ani święty papież nie przeszkodzili Wawrzyniakowi w knuciu z rządem.





PYTANIE TYGODNIA

Czy państwowy bank rolny uratuje polską wieś?

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK,
rolnik, założyciel Agrounii

Powinien powstać bank, który wspierałby inwestycje związane z rolnictwem i produkcją żywności, będącymi filarami naszego kraju. Co więcej, taki bank powinien działać na zasadach spółdzielczych, dzięki czemu społeczeństwo byłoby w większym stopniu jego właścicielem niż jedynie za pośrednictwem państwa. Szczególnie istotne jest w tej chwili dobre finansowanie zakupu ziemi. Bardzo dużo gruntów jest obecnie na sprzedaż i dzięki wsparciu takiego banku można by zadbać, by trafiały one w ręce nie korporacji, tylko sąsiadów – rolników prowadzących gospodarstwa rodzinne.

PROF. STANISŁAW FLEJTERSKI,
*Wyższa Szkoła Bankowa w Poznaniu
Wydział Ekonomiczny w Szczecinie*

Mojej generacji kojarzy się to z prezesem Nikodemem Dyzmą i Państwowym Bankiem Zbożowym z powieści i filmu. Jednak na serio, jak przystało

na poważne pytanie zadane w czasach nadzwyczajnych turbulencji kryzysowych i radykalnej niepewności, również na wsi, pomysł tworzenia jeszcze jednego banku, i to państwowego, zaliczam do tych akademickich ze sfery *wishful thinking*. Mój sceptycyzm wynika z tego, że tzw. architektura sektora bankowego, w tym liczba banków w Polsce, wydaje się wystarczająca, co dotyczy również banków z udziałem państwa. Idea państwa przedsiębiorczego jest inspirująca, jednak chodzi głównie o funkcję regulacyjną, a nie właścicielską. Rynek nie jest w pełni efektywny, jednak jeszcze bardziej ułomne, zbiurokratyzowane, kosztowne i mało wiarygodne bywa państwo, z naszym włącznie.

PROF. JACEK KULAWIK,
*Instytut Ekonomiki Rolnictwa
i Gospodarki Żywnościowej*

Cała masa banków, m.in. spółdzielczych, ma w ofercie kredyty preferencyjne dla rolników. Te instytucje mają

odpowiednie kompetencje w tym zakresie, radzą sobie nie najgorzej, a rolnicy je znają. Nie wszystko musi być państwowe czy narodowe. Wręcz przeciwnie, widzę potrzebę odwrótu od upaństwowiania kolejnych sfer gospodarki. Prowadzi ono do monopolizacji, której skutki możemy obserwować choćby na przykładzie niebotycznych podwyżek cen energii.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czytelnik PRZEGŁĄDU

Niestety, od czasów, gdy zniszczono PGR bez możliwości utworzenia z nich spółdzielni rolniczych, a ludzi doprowadzono do wielopokoleniowej biedy, nic nie jest w stanie uratować obszarów wiejskich bez centralnej restrukturyzacji ich modelu i funkcjonowania. Sytuację ratują dopłaty z UE, lecz to tylko doraźne łatanie dziury. Pytanie powinno brzmieć: której grupie społecznej zabiorą fundusze, żeby stworzyć i prowadzić taki bank, i czy będzie łupił rolników tak jak komercyjne banki łupią swoich kredytobiorców.

Not. Michał Sobczyk

Od Kieresa do Nawrockiego

W ciągu 22 lat państwo wydało na Instytut Pamięci Narodowej kilka miliardów złotych. Za obecnych rządów już 2,5 mld zł

Paweł Siergiejczyk

W grudniu 2010 r. odbyła się w Łodzi konferencja „Bez taryfy ulgowej. Dorobek naukowy i edukacyjny Instytutu Pamięci Narodowej 2000-2010”. To trzydniowe spotkanie, zorganizowane przez historyków z Uniwersytetu Łódzkiego i tamtejszy oddział IPN, było pierwszą próbą podsumowania działalności instytutu przez środowisko historyków. Pierwszą – ale też niestety ostatnią, bo trudno dziś sobie wyobrazić rzetelną, uczciwą dyskusję pomiędzy pracownikami IPN a ich krytykami ze środowisk

opisać losy instytutu poprzez postacie kolejnych prezesów.

LEON KIERES – wojna lustracyjna

Warto jednak zacząć od ustawy, której autorami było aż dwóch profesorów prawa – Andrzej Rzepliński i Witold Kulesza – oraz tylko jeden profesor historii – Andrzej Paczkowski. Paradoksalnie żaden z nich nie był związany z antykomunistyczną prawicą, triumfującą pod sztandarem Akcji Wyborczej Solidarność w wyborach parlamentarnych w 1997 r., ale to właśnie solidarnościowa prawica przeforsowała w parlamencie ustawę o IPN. Tyle

A gdy ustawa została ostatecznie przyjęta, AWS przystąpiła do wyboru prezesa. Miał nim zostać znany krakowski historyk, prof. Andrzej Chwalba, którego dorobku i rzetelności badawczej nigdy nie kwestionowano. Zakwestionowano natomiast jego antykomunistyczną „nieskazitłość”, gdy okazało się, że Chwalba nie ujawnił w swoim życiorysie przynależności do PZPR w latach 1977-1981. W tym momencie nie liczyły się już pozycja naukowa uczonego ani jego zaangażowanie w podziemnej Solidarności po 13 grudnia 1981 r. IPN stracił szansę na to, by jego pierwszym szefem został jeden z najlepszych polskich historyków – ale przecież chodziło o pokazanie, że dogmatem instytutu ma być antykomunizm, czyli radykalne odrzucenie i potępienie PRL.

Dopiero kilka miesięcy po rezygnacji Andrzeja Chwalby znalazł się kolejny kandydat na prezesa, prof. Leon Kieres. Wybrany przez Sejm w czerwcu 2000 r., czyli w momencie, gdy koalicja rządowa AWS-UW dożywała swoich dni, był wrocławskim prawnikiem (specjalizującym się w administracyjnym prawie gospodarczym) i zarazem senatorem związanym z Unią Wolności. Najbardziej konsekwentny krytyk IPN w tej partii, prof. Andrzej Romanowski, napisał wtedy w „Tygodniku Powszechnym”, że prof. Kieres „jest zasłużonym, uczciwym człowiekiem. Szkoda go do tej roboty”.

Czy Romanowski powtórzyłby opinię o pierwszym prezesie IPN pięć lat później, gdy kończyła się jego kadencja? Fakt, Kieres miał sytuację bardzo trudną – musiał stworzyć od podstaw instytucję monstrum, łączącą zadania archiwum dawnej

Wojna lustracyjna pod rządami Leona Kieresa zdyskredytowała elity współtworzące III RP, zniszczyła siłę polityczną lewicy i uczyniła z PiS najważniejszą partię w Polsce.

akademickich. Taka dyskusja była możliwa 11 lat temu, gdy w IPN zaplanowała swoista odwilż i jego władze dopuszczały krytyczne uwagi na temat swoich działań. Po tamtej atmosferze nie ma już śladu, a sam IPN – podobnie jak wszystkie inne instytucje państwowe opanowane przez PiS – reprezentuje „jedynie słuszną linię” polityki historycznej.

Z Instytutem Pamięci Narodowej żyjemy już ponad dwie dekady, czyli większą część okresu III Rzeczypospolitej. To wystarczająco długo, by opisać jego historię, dzielącą się na etapy, ściśle związane z etapami historii politycznej III RP. A ponieważ IPN jest instytucją skrajnie scentralizowaną, w której wszystko i wszyscy podlegają prezesowi, najlepiej

że samodzielnie nie była w stanie odrzucić weta prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. A jednak weto zostało odrzucone – w pamiętnym głosowaniu 18 grudnia 1998 r., gdy AWS poparły kluby Unii Wolności i PSL. Z całego klubu UW nie głosowało siedmioro posłów (w tym Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki, Janusz Onyszkiewicz i Grażyna Staniszevska), a z klubu PSL zaledwie trzech (w tym Waldemar Pawlak). Ceną za to poparcie były miejsca dla przedstawicieli obu środowisk w Kolegium IPN, czyli „radzie nadzorczej”, która m.in. wyłania kandydata na prezesa instytutu. Konsekwentnie przeciwna powołaniu IPN pozostała wyłącznie lewica – i tylko ona nigdy nie będzie miała wpływu na kierowanie tą instytucją.



Prezes Karol Nawrocki spotkał się z uczestnikami XIV Ogólnopolskiej Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców na Jasną Górę zorganizowanej przez ks. Jarosława Wąsowicza. 8 stycznia 2022 r.

bezpieki z prokuraturą, instytutem naukowym i placówką edukacyjną zajmującą się dziejami Polski w latach 1939-1989. Wywiązywał się z tego zadania, jak potrafił, ale nie został zapamiętany jako dobry organizator. Świadczyła o tym sprawa tzw. listy Wildsteina, czyli wewnętrznego katalogu teczek personalnych zgromadzonych w archiwum IPN, który został wyniesiony i umieszczony w internecie przez prawicowego dziennikarza Bronisława Wildsteina. Na efekty nie trzeba było długo czekać, przez pierwsze miesiące 2005 r. cała Polska żyła „dziką lustracją” – samosądów za pomocą owej listy dokonywano zarówno na osobach znanych publicznie, jak i na przygodnych znajomych, sąsiadach, krewnych. Żeby zostać oskarżonym o bycie agentem SB, wystarczyło nosić imię i nazwisko, które znajdowało się na owej liście (mającej prawie 200 tys. pozycji). Na niewiele się zdały wyjaśnienia,

że w katalogu wymieszano nazwiska funkcjonariuszy, tajnych współpracowników i kandydatów na tajnych współpracowników peerelowskich służb specjalnych. IPN musiał zacząć wydawać specjalne zaświadczenia – swoiste świadectwa moralności, które stały się jedynym sposobem obrony osób pomówionych.

Kult „wyklętych” narzucony IPN przez Janusza Kurtykę zepchnął w cień pamięć o Armii Krajowej i powstaniu warszawskim.

W ten sposób instytucja kierowana przez Leona Kieresa chcąc nie chcąc przyczyniła się do trzeciej wojny lustracyjnej (pierwszą rozpętał minister Antoni Macierewicz w czerwcu 1992 r., drugą zaś prowadził rzecznik interesu publicznego Bogusław Nizieński w latach 1999-2004). Ta wojna miała się toczyć przez następne lata i stanowić rodzaj prawicowej rewolucji moralnej, która

zdyskredytowała elity współtworzące III RP – zarówno polityczne, jak i kulturalne, naukowe, gospodarcze, a nawet kościelne – zniszczyła siłę polityczną lewicy i uczyniła z PiS najważniejszą partię w Polsce.

Sam Kieres przyłożył rękę do wywołania tej wojny. Kilka tygodni po śmierci Jana Pawła II publicznie ogłosił, że w otoczeniu papieża był informator wywiadu PRL – o. Konrad Hejmo, dominikanin od wielu lat pracujący w Watykanie. I chociaż znający o. Hejmę i ówczesne uwarunkowania czołowi polscy dominikanie podważali rzetelność tego oskarżenia, stało się to, co zawsze dzieje się w takich sytuacjach: wybuch medialna bomba, człowiek zostaje napiętnowany, traci pozycję w życiu publicznym, a po jakimś czasie sprawa przysycha i nikogo już nie interesuje jej wyjaśnienie, bo na horyzoncie pojawia się kolejna...

JANUSZ KURTYKA

– kult „żołnierzy wyklętych”

Fala publicznych oskarżeń (za pomocą coraz liczniejszych mediów, które w drugiej połowie pierwszej dekady naszego wieku łapczywie rzuciły się na tematy „lustracyjne”) rozlała się szeroko za rządów kolejnego prezesa IPN, Janusza Kurtyki, który zastąpił Kieresa pod koniec 2005 r., już po wyborach parlamentarnych wygranych przez dwie partie postsolidarnościowe – PiS i PO. Przez długi czas wydawało się, że stworzą one wspólny rząd, ale z nim stało się jasne, że tak nie będzie,

obie zdążyły wybrać w Sejmie krakowskiego historyka, którego rekomendował niedoszły „premier z Krakowa” Jan Rokita. Obaj należeli do „pokolenia NZS” – współzałożycieli tej studenckiej organizacji, której działalność przerwało wprowadzenie stanu wojennego. W tym właśnie pokoleniu radykalny antykomunizm okazał się szczególnie mocny i wywarł decydujący wpływ ►

► na linię ideologiczną IPN pod kierownictwem Kurtyki. On sam, choć należał do wybitnych badaczy polskiego średniowiecza, narzucił instytutowi nowy priorytet programowy – kult „żołnierzy wyklętych”, którymi interesował się od lat 80. Co prawda, wtedy jeszcze nie używano tej kuriozalnej nazwy (rozpropagowanej w latach 90. przez Ligę Republikańską pod wodzą Mariusza Kamińskiego), a i wydana w 2007 r. przez IPN monumentalna publikacja nosiła tytuł „Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956”, ale to w czasach prezesa Kurtyki (i prezydenta Lecha Kaczyńskiego) kult „żołnierzy wyklętych” uzyskał rangę państwową, spychając w cień nawet pamięć o Armii Krajowej i powstaniu warszawskim.

Miało to związek z pierwszą falą przetasowań personalnych w IPN. Janusz Kurtyka stopniowo pozbywał się najzdolniejszych historyków młodego pokolenia, urodzonych w drugiej połowie lat 60., którzy zrobili błyskotliwe kariery w czasach Kieresa. W tej

Miejsce wspomnianej grupy historyków zajęli ludzie zwykle o kilka czy kilkanaście lat młodszy, a przy tym zupełnie inaczej ukształtowani. O ile generacja Machcewicza i Wnuka to wychowankowie prof. Marcina Kuli czy prof. Tomasza Strzembosza, o tyle ich następcy w IPN są uczniami historyków o zdecydowanie prawicowych poglądach: prof. Tomasza Witucha, prof. Tomasza Panfila czy prof. Jana Żaryna. Zwłaszcza rola tego ostatniego okazała się kluczowa, ponieważ u boku prezesa Kurtyki Żaryn był dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN. Nastąpiło wówczas radykalne przesunięcie linii programowej instytutu na prawo, w stronę skrajnego antykomunizmu Narodowych Sił Zbrojnych, łącznie z kultem Brygady Świętokrzyskiej – jedynej polskiej jednostki kolaborującej w czasie wojny z Niemcami. Nic dziwnego, że zmieniła się też narracja IPN w takich kwestiach jak stosunki polsko-żydowskie (obowiązująca stała się linia podważająca ustalenia Jana Tomasza Grossa

Autorzy nie ukrywali, że podzielają propagowany od czerwca 1992 r. przez Antoniego Macierewicza pogląd na rolę Wałęsy jako czołowego obrońcy „układu postkomunistycznego”, co miałoby wynikać z dawnych uwikłań agenturalnych byłego prezydenta. Ta skrajnie tendencyjna w wymowie praca od razu stała się wydawniczym hitem, za którym przed siedzibą IPN ustawiały się kolejki zwolenników agenturalnej wizji historii. Książka odegrała także ważną rolę polityczną, wywołując krytykę IPN ze strony liderów Platformy Obywatelskiej, z premierem Donaldem Tuskiem na czele.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

– kuriozalne śledztwa prokuratorów

Odtąd było już jasne, że Kurtyka nie ma szans na drugą kadencję, a powołane jeszcze za rządów braci Kaczyńskich Kolegium IPN (z udziałem takich osób jak Andrzej Gwiazda, prezes TVP Andrzej Urbański czy związana z PiS socjolog wsi prof. Barbara Fedyszak-Radziejowska) zostanie wymienione dzięki nowelizacji ustawy przygotowanej przez posła Arkadiusza Rybickiego z PO.

Tragiczny los sprawił, że obaj główni antagoniści tamtego sporu – Kurtyka i Rybicki – zginęli w katastrofie smoleńskiej. W IPN nastał wtedy czas „wielkiej odwilży”; po autorytarnych rządach Kurtyki, który narzucił podwładnym niemal wojskową dyscyplinę, przyszedł prezes tymczasowy, historyk ruchu ludowego Franciszek Gryciuk (do 10 kwietnia 2010 r. był pierwszym wiceprezesem IPN z rekomendacji PSL), a w połowie 2011 r. kierownictwo przejął młody wrocławski historyk Łukasz Kamiński, wybrany w jawnym konkursie przez nowo powołaną radę instytutu. W owej radzie – jedyny raz wyłonionej spośród kandydatów środowiska zawodowych historyków – znalazły się postacie tej rangi, co prof. Andrzej Friszke, prof. Andrzej Paczkowski, prof. Grzegorz Motyka, a nawet prof. Bolesław Orłowski, czołowy polski historyk nauki i techniki. Pierwsze skrzypce w radzie grał zaś prof. Antoni Dudek, niekryjący dystansu wobec radykalnej prawicy.

Za czasów Łukasza Kamińskiego prokuratura IPN oskarżyła gen. Jaruzelskiego i innych członków władz państwowych, którzy zdecydowali o wprowadzeniu stanu wojennego.

grupie znaleźli się m.in. prof. Paweł Machcewicz (dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN), prof. Rafał Wnuk (redaktor wspomnianego „Atlasu”), prof. Grzegorz Motyka (znakomity badacz historii stosunków polsko-ukraińskich) i dr Janusz Marszałec (świetny znawca dziejów wojennej konspiracji i powstania warszawskiego). Niektórzy badacze z tej generacji przetrwali w instytucie dłużej, aż do rządów PiS po 2015 r., gdy dosięgła ich kolejna czystka personalna: dr Krzysztof Persak czy dr Sławomir Poleszak. Ten ostatni, choć należy do czołowych badaczy powojennego podziemia, stracił pracę w lubelskim oddziale IPN po opublikowaniu tekstu omawiającego antyżydowską działalność w czasie wojny Józefa Franczaka „Lalusia”, uchodzącego w ippeenowskiej mitologii za ostatniego „żołnierza wyklętego” (zginął dopiero w 1963 r.).

w sprawie zbrodni w Jedwabnem, choć w czasach Kieresa IPN wydał dwutomową publikację „Wokół Jedwabnego” zasadniczo potwierdzającą główne tezy Grossa) czy dzieje Polski Ludowej, które odtąd miały być prezentowane przez pryzmat radykalnego oporu wobec władzy przy równoczesnym przemilczaniu wszelkich innych postaw Polaków (dlatego mocno wyeksponowano „powstanie poznańskie” z czerwca 1956 r. czy „powstanie grudniowe” z 1970 r., a zupełnie zignorowano np. olbrzymią rolę Października 1956 r.).

Najgłośniejszą publikacją IPN w czasach Janusza Kurtyki był 750-stronicowy tom „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii”, przygotowany w 2008 r. przez wicedyrektora Biura Lustracyjnego IPN Piotra Gontarczyka oraz naczelnika Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w Gdańsku Sławomira Cenckiewicz.



Karol Nawrocki wiele sił poświęca promowaniu „żołnierzy wyklętych”. Nz. podczas odsłonięcia w Lublinie muralu poświęconego Hieronimowi Dekutowskiemu, ps. Zapora. 29 września 2022 r.

Pięć lat rządów tandemu Kamiński-Dudek to niewątpliwie najspokojniejszy okres w dziejach IPN. Rządząca koalicja PO-PSL zupełnie nie interesowała się polityką historyczną, dzięki czemu w instytucie i na jego imprezach naukowych mogli spokojnie koegzystować badacze o różnych poglądach. W tym czasie IPN wydał wiele wartościowych pozycji książkowych, a rola lustracyjna instytutu znacznie zmalała, bo i „gorączka teczkowa” zaczęła wygasać – po prostu zasób sensacyjnych materiałów z archiwum IPN się wyczerpał, więc i dziennikarze prawicowych mediów stracili swoją „krynicę wiedzy” o elitach III RP.

W tych spokojnych latach 2010-2015 nadal jednak działała ipeenowska prokuratura, czyli ten pion instytutu, którego zadaniem miało być ściganie „zbrodni komunistycznych”, przy czym ustawa z 1998 r. rozumie przez to „czyny popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego w okresie od 17 września 1939 r. do dnia 31 grudnia 1989 r., polegające na stosowaniu represji lub innych form naruszenia praw człowieka wobec jednostek lub grup ludności bądź w związku z ich stosowaniem, stanowiące przestępstwa

według polskiej ustawy karnej obowiązującej w czasie ich popełnienia”. Przy takiej definicji ipeenowscy prokuratorzy zaczęli ścigać nie tylko ostatnich żyjących funkcjonariuszy stalinowskiego Urzędu Bezpieczeństwa, ale też – a z czasem niemal wyłącznie – oficerów Milicji Obywatelskiej oraz innych przedstawicieli organów władzy PRL, którzy uczestniczyli w działaniach związanych ze stanem wojennym (przede wszystkim w internowaniu działaczy

Od lipca 2016 r. IPN kierował dr Jarosław Szarek, prawie bez dorobku naukowego. „Napisał za to wiele książeczek dla dzieci, w których uczy ich bogoojczyźnianej historii Polski”.

Solidarności). Najgłośniejszy zaś akt oskarżenia, z kwietnia 2007 r., dotyczył gen. Wojciecha Jaruzelskiego i innych żyjących jeszcze wówczas członków władz państwowych, którzy podjęli i zatwierdzili decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Pierwszy prezydent III RP został oskarżony o „zbrodnię komunistyczną” polegającą na... kierowaniu „związkiem przestępczym o charakterze zbrojnym, mającym na celu popełnianie przestępstw”.

To niejedyny przykład kuriozalnej działalności prokuratorów z IPN, zwłaszcza tych z oddziału w Katowicach, gdzie powstał wspomniany akt oskarżenia. Szczególną sławą okryła się tamtejsza prokurator Ewa Koj, która prowadziła śledztwa w takich sprawach jak zamach na Jana Pawła II w 1981 r. czy śmierć gen. Władysława Sikorskiego – w tej ostatniej przeprowadzono nawet ekshumację szczątków generała pochowanych na Wawelu. Rzecz jasna, żadnej nowej wiedzy śledztwa te nie przyniosły (oba zostały po kilku latach umorzone), za to przyniosły pani Koj medialną popularność.

JAROSŁAW SZAREK

– unia kościelno-ipeenowska

Przejęcie władzy przez PiS przyniosło kres „umiarkowanego antykomunizmu” w Instytucie Pamięci Narodowej. Nowy Sejm szybko zmienił ustawę, by już w połowie 2016 r. powołać nowe Kolegium IPN, w którego składzie znaleźli się wyłącznie ludzie związani z prawicą: publicyści Bronisław Wildstein i Krzysztof Wyszowski oraz tacy historycy jak prof. Andrzej Nowak z Krakowa, prof. Wojciech Polak z Torunia czy prof. Sławomir Cenckiewicz. Ten ostatni, pełniąc równocześnie funkcję dyrektora Wojskowego Biura Historycznego (z nominacji ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza), na początku tego roku został

doradcą prezesa IPN ds. naukowych, a jego miejsce w Kolegium IPN zajął związany z Radiem Maryja prof. Mieczysław Ryba z KUL, pisowski radny sejmiku województwa lubelskiego.

Kolegium w takim składzie wybrało już dwóch kolejnych prezesów IPN. Po skróceniu przez parlament kadencji Łukasza Kamińskiego instytutem kierował od lipca 2016 r. dr Jarosław Szarek, którego sylwetkę najlepiej scharakteryzował historyk i socjolog Adam Leszczyński na ▶

► łamach „Gazety Wyborczej”: „Prawie nie ma dorobku naukowego. Napisał za to wiele książeczek dla dzieci, w których uczy ich bogoojczyźnianej historii Polski – zawsze heroicznej, zawsze cierpiącej, zawsze katolickiej i szlacheckiej, bez mniejszości narodowych i chłopów”. To nie dorobek naukowy zdecydował jednak o wyborze prezesa IPN, lecz poparcie szefa klubu parlamentarnego PiS, prof. Ryszarda Terleckiego (który notabene do 2007 r. kierował krakowskim oddziałem instytutu). Terlecki był bowiem promotorem pracy doktorskiej Szarka na temat działalności Służby Bezpieczeństwa wobec młodzieży akademickiej Krakowa w latach 1970-1980, obronionej w tamtejszym Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II zaledwie pięć lat przed objęciem stanowiska prezesa IPN.

Kadencja Szarka upłynęła pod znakiem wyczyszczenia IPN z ludzi niezwiązanych z prawicą oraz antykomunistycznego wzmożenia, przy czym pisowski prezes dołożył do tego mocny akcent klerykalny. Od tej pory duża część działalności naukowej, wydawniczej i edukacyjnej IPN dotyczy „księży i biskupów



Kadencja Jarosława Szarka upłynęła pod znakiem wyczyszczenia IPN z ludzi niezwiązanych z prawicą oraz antykomunistycznego wzmożenia.

zgromadzenia warto wymienić arcybiskupów Sławoja Leszka Głódzia, Józefa Kowalczyka, Henryka Muszyńskiego, Damiana Zimonia, ze świeckich zaś – związaną z Radiem Maryja byłą posłankę Annę Sobecką, byłego senatora PiS Stanisława Koguta czy byłego ministra i prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego).

ale na początku 2021 r. wybuchła medialna bomba, gdy okazało się, że mianowany przez niego dyrektor oddziału IPN we Wrocławiu Tomasz Greniuch (wcześniej pełniący taką samą funkcję w Opolu) jest sympatykiem tradycji Obozu Narodowo-Radykalnego, co potwierdzały jego zdjęcia z manifestacji ONR, podczas których wyciągał rękę w faszystowskim pozdrowieniu. Ostatecznie Greniuch złożył rezygnację, ale cała sprawa i wyraźne niezdecydowanie Szarka pozbawiły prezesa szans na ponowny wybór. I znów wszystko znalazło się w rękach wicemarszałka Terleckiego, a ten dzięki układowi z PSL (w zamian za poparcie kandydata ludowców na rzecznika praw obywatelskich) przeforsował w obu izbach parlamentu kandydaturę nowego szefa IPN.

Został nim młody historyk z Gdańska, Karol Nawrocki, od czterech lat stojący na czele Muzeum II Wojny Światowej. Muzeum, którego twórcami byli historycy z pierwszej ipenowskiej ekipy, z Pawłem Machciewiczem na czele. Na odwołaniu Machcewicza z funkcji dyrektora i przejęciu muzeum (mocno popieranego przez premiera Tuska) bardzo zależało nowej władzy, szczególnie pochodzącemu z Trójmiasta wiceministrowi kultury Jarosławowi Sellinowi. To Sellin, jak sam się chwali, „wynalazł” Nawrockiego w gdańskim

Jarosław Sellin i Karol Nawrocki doprowadzili do „polonizacji” wystawy głównej Muzeum II Wojny Światowej.

niezłomnych”, czyli podkreślania rzekomo powszechnego oporu duchowieństwa wobec władz PRL. Wyjątkiem była tu postać zasłużonego dla wrocławskiego podziemia lat 80. kard. Henryka Gulbinowicza, któremu niedługo przed jego śmiercią ipenowski historyk Rafał Łatka zarzucił wieloletnie „rozmowy operacyjne” z SB, przy okazji ujawniając kompromitujące szczegóły natury obyczajowej. Poza tym „unia kościelno-ipenowska” trzyma się mocno, a jej symbolem może być mianowanie w styczniu br. dyrektora katowickiego oddziału IPN Andrzeja Sznajdera na urząd zwierzchnika w Polsce Zakonu Rycerskiego Świętego Grobu Bożego w Jerozolimie (nominacji dokonał wielki przeor zwierzchnictwa tego zakonu w Polsce, kard. Kazimierz Nycz, a wśród członków owego

Już na początku swoich rządów PiS dołożyło instytutowi nowe zadanie: opiniowanie pomników, tablic, nazw ulic i innych obiektów publicznych pod kątem ich zgodności z ustawą o zakazie propagowania komunizmu z 2016 r. W ten sposób rozpoczął się najnowszy akt dekomunizacji – co z tego, że 30 lat po upadku PRL, gdy mało kto jeszcze pamięta, kim byli Leon Kruczkowski czy Wilhelm Szewczyk, pozbawiani swoich ostatnich ulic i placów (bo większości pomników i ulic prawdziwych komunistów pozbyto się już na początku lat 90., o czym nie chce się dziś pamiętać).

KAROL NAWROCKI – reformator z M2WŚ

Jarosław Szarek mógł zostać prezesem IPN także na drugą kadencję,

oddziale IPN i doprowadził do tego, że zastąpił on Machcewicza – mimo apeli ponad setki najwybitniejszych historyków z kraju i zagranicy, w tym profesorów Paczkowskiego, Friszkego, Dudka, Andrzeja Chojnowskiego (członka Kolegium IPN w czasach Kurtyki i Kamińskiego), a nawet Andrzeja Nowaka, który wraz ze znanym amerykańskim uczonym Timothy Snyderem oświadczył, że muzeum „w jego obecnej formie stwarzałoby wyjątkową szansę dla Polaków, by dowiadawali się o wojnie poza Polską, a dla zagranicznych zwiedzających – poznawania polskiej historii”.

Sellin i Nawrocki zignorowali jednak te głosy i doprowadzili do połączenia Muzeum II Wojny Światowej z Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 (znajdującym się dopiero w stadium organizacji), a następnie – na podstawie krytycznych recenzji Jana Żaryna i prawniczego dziennikarza Piotra Semki, znanego ze skrajnie antyniemieckich poglądów – do przeprowadzenia „polonizacji” wystawy głównej M2WS, zwłaszcza wyeksponowania martyrologii polskiego Kościoła i pomocy Polaków w ratowaniu Żydów (w miejsce informacji o zbrodni w Jedwabnem).

Zamiana prezesa Szarka na prezesa Nawrockiego (23 lipca 2021 r.) niczego zatem nie odmieniła. Nadal fundamentem jest prawicowa wizja historii, oparta na skrajnym antykomunizmie w wersji Narodowych Sił Zbrojnych (przypomnijmy, że

była to jedyna formacja polskiego podziemia, która konsekwentnie wyznawała teorię „dwóch wrogów” – Niemców i Sowietów – a po pokonaniu Trzeciej Rzeszy wyczekiwała wybuchu III wojny światowej), i Solidarności Walczącej (niewielkiego środowiska, kierowanego przez ojca obecnego premiera, które uznawało Okrągły Stół i wybory czerwcowe za „zdradę narodową”, dlatego pozostawało w konspiracji do połowy 1990 r.).

W takiej wizji polskich dziejów nie ma miejsca na ukazanie kluczowej roli demokratycznych, nienacjonalistycznych i nieklerkalnych środowisk niekomunistycznych, począwszy od Armii Krajowej i WiN, poprzez PSL Mikołajczyka, Kluby Inteligencji

Moskwie. Odbiorcom ipleenowskiej historiografii lewica ma się kojarzyć wyłącznie z „twarzami bezpieki” i powiatowymi urzędami bezpieczeństwa (które otrzymują kolejne monografie, niewiele wnoszące do naszej wiedzy o stalinizmie). Na pomnikach zaś mają stać nieskazitelni „żołnierze wyklęci” i niezłomni duchowni prześladowani przez komunistów.

Taka wersja historii niewiele ma wspólnego ze skomplikowaną rzeczywistością polskiego XX w., za to świetnie obsługuje interesy polityczne rządzącej prawicy. Nic dziwnego, że za jej rządów IPN może liczyć na hojne finansowanie. Wielce wymowny jest fakt, że w tegorocznym budżecie państwa przeznaczono na instytut 430 mln zł, podczas gdy na

W tegorocznym budżecie na IPN przeznaczono 430 mln zł, podczas gdy na całą Polską Akademię Nauk zaledwie 105 mln zł.

Katolickiej, „Tygodnik Powszechny”, KOR, KPN, po legalną i nielegalną Solidarność, których ostatecznym triumfem było odzyskanie trzeciej niepodległości i przywrócenie systemu demokratycznego. Tym bardziej nie ma miejsca na polską lewicę, która przecież w powojennym 45-leciu nie tylko „budowała system totalitarny”, ale też odegrała kluczową rolę w przemianach lat 1956, 1980-1981 i wreszcie 1989-1990, dzięki którym PRL stawała się państwem coraz mniej opresyjnym i podległym

całą Polską Akademię Nauk zaledwie 105 mln zł (dla porównania: w ostatnim budżecie za rządów PO, w 2015 r., na IPN wydano 249 mln zł, potem ta kwota jedynie rosta – o kilkadziesiąt milionów rocznie). Wskutek takiej hojności w ciągu ostatnich 22 lat państwo polskie wydało na IPN łącznie kilka miliardów złotych (tylko za obecnych rządów PiS ok. 2,5 mld zł) – znacznie więcej niż na jakąkolwiek inną instytucję naukową w Polsce. Czy było warto?

Paweł Sergiejczyk



46 zł 38 zł



44 zł 36 zł



45 zł 37 zł



43 zł 35 zł

KSIAŻKI BEZ CENZURY
Historia bez IPN

Pakiet ~~178 zł~~ 130 zł

PRAWO DO PRAWDY

Kto robi z bandytów świętych?

Książki PRZEGLĄDU

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

WYSYLKA GRATIS

Czy Czarzasty chce łąpać wyborców, czy Tuska za nogi?

Podstawowy dylemat lewicy brzmi: osobno czy z Tuskiem. To rozpaczliwie mało

Robert Walenciak

Dziś, jeżeli coś słyszymy o lewicy, to spekulacje i pytania, czy będzie budowała wraz z Donaldem Tuskiem wspólną listę opozycji, czy nie. Inne sprawy są gdzieś na marginesie.

To rozpaczliwie mało, zwłaszcza gdy chodzi o formację mającą 44 posłów, wielomilionowy budżet, no i wiejący w plecy wiatr historii – bo coraz więcej tradycyjnych lewicowych postulatów jest akceptowanych przez większość Polaków.

Oczywiście posłowie Nowej Lewicy i Razem na taki zarzut odpowiadają, że ciężko pracują, czego dowodem są interpelacje i regularne konferencje prasowe. Nie kwestionuję tego. Ale, po pierwsze, warto pamiętać, że posłowie mają pieniądze na biura poselskie i mogą w nich zatrudniać asystentów, którzy przygotują większość spraw. Jest poza tym biuro klubu, są fundusze eksperckie... Interwencja poselska, interpelacja, udział w debacie to zwykła poselska praca. Po drugie – i na tym polega kłopot – nie widać, by te działania składały się w jakiś polityczny plan. Można wręcz odnieść wrażenie, że lewicowi posłowie tracą czas i środki na sprawy trzeciorzędne, a życie polityczne ich mija.

Potwór trzygłowy stracił zęby

To jest zresztą zarzut do szefów lewicy – bo oni odpowiadają za działania formacji. Tak się ułożyło, że lewica ma trzech liderów, jest więc potworem trzygłowym. O ile było to jej atutem na początku, o tyle teraz już nie jest. Robert Biedroń niemal zniknął. Od czasu wyborów

prezydenckich, w których osiągnął wynik Magdaleny Ogórek, jest co najwyżej połową dawnego Biedronia. Wygląda na to, że szczytem jego marzeń jest ponowny wybór do Parlamentu Europejskiego. Włodzimierz Czarzasty po niesławnej operacji „zjednoczenia” lewicy (o tym za chwilę) też jest połową dawnego siebie, już nie bryluje w wywiadach, ogranicza się do banałów. Adrian Zandberg, typowany na wielką gwiazdę, także gdzieś się rozpułnął. Już nie można o nim mówić, że młody zdolny, bo ten czas minął. Oczywiście Zandberg wciąż jest jednym z najciekawszych polityków obozu lewicy, ma najwięcej do powiedzenia, ale gdzie go można usłyszeć?

Są trzy teorie tłumaczące, dlaczego jest tak schowany. Pierwsza mówi,

z kolei, że Zandberg jest ofiarą nie mediów, lecz Włodzimierza Czarzastego, który mocno pilnuje, by Zandberga i innych razemowców za wiele w programach publicystycznych nie było. Za to możemy oglądać w nich w nadmiarze jako reprezentantów lewicy rzeczniczkę partii Annę Marię Żukowską i sekretarza generalnego Nowej Lewicy Marcina Kulaskę. Które z tych przypuszczeń jest prawdziwe? Zapewne w każdym znajdziemy ziarno prawdy.

Czas milczenia

To wszystko jednak nie tłumaczy, dlaczego lewica, która na początku sejmowej kadencji imponowała świeżością, popadła w banał. Chyba że wszystko zwalimy na... Tuska.

Zandberg wciąż jest jednym z najciekawszych polityków obozu lewicy, ma najwięcej do powiedzenia, ale gdzie go można usłyszeć?

że to jego wybór. Po prostu woli święty spokój niż walkę w mediach. Parcia na szkło nie ma. Taki pogląd jest dość powszechny wśród dziennikarzy, którzy narzekają, że trudno zaprosić go do programu czy użyć jego wypowiedzi. Wedle teorii drugiej Zandberg jest ofiarą niechęci mediów mainstreamowych, które oplakietkowały go mianem marksisty, komunisty, lewaka i ekstremisty (do wyboru, do koloru). Wiadomo, media te oceniają lewicę z jednego punktu widzenia – czy jest posłuszna Platformie Obywatelskiej, czy nie. To stały nacisk, raz mniej, raz bardziej brutalny. Trzecia teoria głosi

Donald Tusk wrócił do polskiej polityki, gdy Platforma spadła w sondażach do poziomu kilkunastu procent poparcia, i w stosunkowo krótkim czasie wydzwignął ją na główną siłę opozycji. Przede wszystkim dał swojej partii wiarę, że kieruje nią wytrawny polityk. Zaczął też oskubywać inne partie opozycyjne z potencjalnych wyborców. W najprostszy możliwy sposób – podbierając im hasła, sugerując konszachty z PiS.

Lewica jest w tej grze celem. I trzeba przyznać, że dość łatwym. Gdy w kwietniu 2021 r. zdecydowała się poprzeć PiS, by Sejm przyjął Krajowy Plan Odbudowy, wystrzeliła



w nią cała platformerska artyleria. Nie dlatego, że lewica poparła KPO (PO chciała być przeciw, a ironią historii jest, że tych pieniędzy do tej pory nie mamy). Chodziło o to, że Włodzimierz Czarzasty zdecydował się zawrzeć w tej sprawie pisemną umowę z PiS i negocjował ją z Michałem Dworczykiem. Że zawierano jakiś układ.

Parę miesięcy później, w lipcu 2021 r., do polskiej polityki wrócił Donald Tusk i gra z lewicą nabrała tempa. Oto bowiem w ostatnich miesiącach Platforma dokonała potężnego zwrotu w lewo, przynajmniej werbalnie, a Czarzasty ani Zandberg nie potrafili na to odpowiedzieć. Bo trudno słowa Zandberga – „Dobrze, że Tusk czyta program partii Razem” – uznać za jakąś ripostę.

Tusk tymczasem zdążył ogłosić, że na listy wyborcze Koalicji Obywatelskiej nie wpuści nikogo, kto będzie przeciw prawu kobiety do aborcji („To kobieta decyduje, a nie książdz!”, wołał). Zapowiedział, że do wyborów Platforma będzie miała przygotowany precyzyjny projekt pilotażu czterodniowego tygodnia pracy. I w przyszłości będzie chciała go wprowadzić. Napomknął również o siedmiodziennym dniu pracy oraz 20-procentowej podwyżce dla budżetówki. PO złożyła także projekt

ustawy o refundacji in vitro. Przy tej okazji Tusk postawił ultimatum innym partiom opozycyjnym: do końca listopada muszą zadeklarować, czy chcą iść do wyborów na wspólnej liście, czy nie.

Do tego Tusk ma wokół siebie ludzi kojarzonych z lewicą: Barbarę Nowacką, Katarzynę Piekarską, Zielonych, wspierają go europosłowie Leszek Miller, Marek Belka i Włodzimierz Cimoszewicz, blisko PO jest sejmowe koło PPS...

Mamy zatem pole starcia. I niech nikogo nie zwiodą miłe uśmiechy i poklepywanie po marynarkach. Aż prosi się zadać w tej sytuacji pytanie, dlaczego liderzy lewicy są tak bierni. Postawmy tezę: może nie mają zbyt wiele do powiedzenia?

Zjednoczenie, czyli zwężenie

O tym już wspominałem – na początku sejmowej kadencji lewica imponowała świeżością, jej głos był słyszany. Fakt, że składała się z trzech różnych ugrupowań, przyjmowano jak najlepiej. Że to dowód umiejętności dogadywania się jej liderów. I że to scalenie trzech różnych pokoleń, różnych wrażliwości lewicy. Razem reprezentowała młodzież, najbardziej lewicowo radykalną, Wiosna – średnie pokolenie,

Czy Adrian Zandberg jest ofiarą mediów mainstreamowych, czy Włodzimierza Czarzastego?

liberalne, SLD – wyborców najstarszych, broniących życiorysów ludzi Polski Ludowej.

Ten trójkąt był szansą na zbudowanie nowoczesnej lewicy, z różnymi skrzydłami. Takiej jak w Europie Zachodniej. Tymczasem mieliśmy ewolucję w zupełnie innym kierunku. Kto sądził, że w obozie lewicy rozgorzeją dyskusje, polemiki, że będzie iskrzyć od pomysłów, mocno się rozczarował. Skoncentrowano się na zacieraniu różnic.

Dopełnieniem tej tendencji było ubiegłoroczne „zjednoczenie” SLD i Wiosny. Włodzimierz Czarzasty przeprowadził je w sposób skandaliczny, zawieszając wszystkich tych, którzy nie chcieli mu się podporządkować. W efekcie wielu działaczy albo z lewicy odeszło, albo zostało wyrzuconych. A nowa partia stała się w zasadzie prywatną partią Czarzastego (bo według statutu nie można go odwołać). To on decyduje o kształcie list wyborczych, o tym, kto na nich może być. Jego siła polega więc nie na intelektualnej przewadze, ale na obietnicach posad.

Trudno się spodziewać, by tak skonstruowana organizacja była zdolna do intelektualnych fajerwerków. W efekcie w Nowej Lewicy wszystko opiera się na paru głowach – Włodzimierza Czarzastego, Anny Marii Żukowskiej i Marcina Kulaska. Nie dziwny się zatem, że są oni bezradni w trudniejszych momentach. Nagle więc Żukowska mówi językiem „Gazety Polskiej”, że nie wolno przyjmować uciekinierów z Rosji, bo to agenci Putina. A poseł Tomasz Treła troska się najmocniej o los przedsiębiorców, bo PiS zaczęło przebąkiwać, że obłoży ich nadzwyczajne zyski, powyżej 20%, 50-procentowym podatkiem. To wypowiedzi z ostatnich dni. Ale przecież występów świadczących o tym, że liderzy lewicy nie mają własnego zdania, tylko powtarzają to, co usłyszeli albo w TVP Info, albo w TVN 24, jest mnóstwo.

I tak samo są bezradni, gdy pojawia się Tusk. I gdy rzuca on idee jednej listy.

► Jedna lista, jeden wódz

Idea jednej listy nie jest nowa, opozycja testowała ją, bez powodzenia, podczas wyborów europejskich w 2019 r. Wraca ona z dwóch powodów. Po pierwsze, system liczenia głosów według metody D'Hondta oraz względnie małe okręgi wyborcze preferują duże ugrupowania, dając im nadzwyczajną premię. Po drugie, wspólna lista politycznie wzmacnia partię najsilniejszą i jej lidera – bo to on de facto występuje jako lider całości. Hasło wspólnej listy jest pomysłem na to, by liderzy mniejszych ugrupowań zaciągnęli swoich wyborców pod sztandary PO.

Ale jedna lista ma też wady. Nikt tego nie policzył, jednak wiadomo, że

walczył z Katarzyną Piekarską o stanowisko szefa mazowieckich struktur SLD. Na jedno z ważnych spotkań z działaczami przyjechał wtedy z plikiem kartek i rozdał je zebranym, żeby wypełniali. Były to deklaracje kandydatów do rad nadzorczych spółek skarbu państwa. Można je było pobrać ze strony internetowej ministerstwa. Ale chodziło o gest – że oto jest człowiek, który będzie takie sprawy załatwiał. Piekarska przegrała paroma głosami.

Można rzec, że trik z takim nic nieznaczącym kwitem okazał się skuteczny. Ale była to skuteczność ograniczona do małej grupy. Wyborców na takie chwytły się nie łąpie. Oni wymagają czegoś innego. Czegoś, czego lewica się wyżyła. Tylko czy

Siła Czarzastego polega nie na intelektualnej przewadze, ale na obietnicach posad.

część wyborców na taką listę głosu nie odda, zostaną w domu. Są wyborcy lewicy, którzy nigdy nie zagłosują na liberałów z PO, są wyborcy PO, którzy nie poprą „komuny”... Tak było w wyborach europejskich.

Wspólna lista nie jest więc prostą sprawą. Co widać zresztą po tym, jak reagują na ten pomysł Czarzasty i Zandberg. Czarzasty – kluczy. Podczas konferencji poświęconej bezpieczeństwu Polski, organizowanej przez Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego, wprawił wszystkich w zdumienie, ogłaszając: „Opozycja jest dogadana, wspólnie planuje przyszłość, stworzy rząd i nie da się skłócić”.

Te słowa szybko zostały sprostowane, m.in. przez Szymona Hołownię, że nic nie jest dogadane. Ale cel komunikatu Czarzastego był konkretny. „Opozycja stworzy rząd”, ogłosił, tym samym dając działaczom swojej partii do zrozumienia: trzymajcie się mnie, ja będę z Tuskiem negocjował i to ja będę decydował, co komu dam. W ten sposób chce się legitymizować, jako dystrybutor konfitur, w roli lidera lewicy.

Taki komunikat dla ludzi znających Czarzastego nie jest zaskoczeniem. Przypominają, jak wiele lat temu

Czarzasty chce łąpać wyborców, czy Donalda Tuska za nogi?

A Zandberg? Gdy Czarzasty ogłaszał, że wszystko jest dogadane, on w wywiadzie dla „Super Expressu” mówił coś dokładnie przeciwnego: „Najwyższy czas przestać męczyć ludzi tymi rozważaniami o listach. Myślę, że jest już jasne, że żadnej jednej listy, mówiąc obrazowo – od Biedronia do Gowina – nie będzie. Najbardziej prawdopodobny wariant będzie wyglądać tak, że z jednej strony będzie lista zjednoczonej lewicy – socjaldemokratów, socjalliberałów i socjalistów, z drugiej strony Platforma Obywatelska, która, jak ptaszki śpiewają, chce wystartować sama, no i pewnie jakiś trzeci blok prawicowo-konserwatywno-demokratyczny”. Dodał jeszcze, że czas „zacząć rozmawiać o tym, jak ma wyglądać Polska po rządach PiS”. Śluszne słowa, tylko co dalej? On też kieruje komunikat do swoich, do działaczy Razem. I mówi im, że kapitulacji wobec liberałów nie będzie. Oni pewnie się cieszą... I ja to rozumiem. Choć nie jestem pewien, czy wiedzą, jak to wszystko będą tłumaczyć wyborcom.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Brak polityki wobec rodzimego przemysłu farmaceutycznego zagraża bezpieczeństwu nas wszystkich. Opublikowany 26 września br. raport „Farmaceutyczny wyścig narodów” przygotowany przez dr Katarzynę Obłąkowską i dr. Artura Bartoszewicza z Instytutu Nowej Europy przy współpracy z Polskim Związkiem Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego – Krajowymi Producentami Leków powinien wstrząsnąć politykami i społeczeństwem.

Wynika z niego, że zaledwie ok. 30% leków dostępnych w aptekach produkowanych jest nad Wisłą, a udział polskiego przemysłu farmaceutycznego w rynku światowym to żałosne 0,25%.

W ostatnich 30 latach nasz kraj został skolonizowany przez wielkie europejskie i amerykańskie koncerny, które są w stanie wyprodukować wszystko. A uzależnienie od zachodnich dostawców ma czasem przykre efekty. Zwłaszcza że nawet największe międzynarodowe koncerny kupują substancje czynne od chińskich producentów. W przeszłości prowadziło to do braków niektórych leków na rynku europejskim.

Klasycznym przykładem jest produkcja chlorowodoru metforminy, niezbędnego składnika leków na cukrzycę. Gdy kilka lat temu w Chinach z powodów technicznych stanęły fabryki produkujące tę substancję, europejscy pacjenci znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji.

Pandemia COVID-19 z całą mocą ujawniła, jak bardzo nie tylko nasz kontynent zależny jest od dalekowschodnich producentów substancji czynnych będących podstawą produkcji ważnych leków. Dziś coraz więcej państw rozumie, że taka zależność, szczególnie w czasie kryzysów, jest niezwykle ryzykowna. Polska pod tym względem nie jest wyjątkiem.

Co gorsza, rodzime firmy, które mają linie produkcyjne nad Wisłą, są w mniejszości wobec firm zagranicznych. Spośród 40 obecnych w Polsce największych producentów leków jedynie sześciu to polskie spółki, do których należy zaledwie

Lekowa zapaść

Zaledwie około 30% leków dostępnych w aptekach jest produkowanych nad Wisłą



Mabion miał we współpracy z amerykańską firmą Novavax produkować szczepionkę przeciw COVID-19. Nic z tych planów nie wyszło.

12% wartości krajowego rynku farmaceutycznego. Ocenia się, że w całości jest on wart ok. 38,3 mld zł, lecz raptem 11,46 mld zł to wartość leków wyprodukowanych i sprzedanych w Polsce. Czy powinniśmy się martwić z tego powodu? Autorzy raportu są przekonani, że tak.

W ognie innowacji

Według European Innovation Scoreboard – rankingu innowacyjności w krajach UE – Polska wraz ze Słowacją, Rumunią, Bułgarią i Chorwacją należy do grupy wschodzących innowatorów. Mówiąc po ludzku, od lat włączamy się w innowacyjny, naukowy i rozwojowy ogień Europy. I to mimo pozyskania od roku 2004 miliardów euro unijnej pomocy przeznaczonej na badania i rozwój.

Dzięki owemu wsparciu budowano parki technologiczne, centra innowacyjności i „Doliny Krzemowe” na poziomie Pacanowa. A politycy śnili o „polskiej Nokii”.

Łatwo było przewidzieć, że te centra i parki będą żyły nie z wynalazków i nowoczesnych technologii, ale z wynajmu pomieszczeń na biura. Tak też się stało, o czym swego czasu informowali w jednym z raportów inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli.

Na tym tle sytuacja polskich firm farmaceutycznych nie wygląda dramatycznie źle. Większość państwowych spółek w latach 90. sprywatyzowano. Ostała się jedna duża firma – Polfa Tarchomin, która dzisiaj, dzięki hojnemu rządowemu wsparciu, wzbogaca swoje linie technologiczne o nowoczesne rozwiązania. Choć szumnie zapowiadana w 2021 r. przez wicepremiera Jacka Sasina rozlewnia szczepionek, na którą miało pójść 200 mln zł, nie powstała.

Dwa lata temu produkcją wyrobów farmaceutycznych zajmowało się w Polsce 491 firm, w tym 489 prywatnych. Największym prywatnym rodzimym producentem jest Polpharma mająca ok. 6-7% udziału w rynku. Na drugim miejscu znalazł się Adamed z ok. 2-2,5% udziału.

Kolejne krajowe spółki to Hasco-Lek, Biofarm, LEK-AM oraz Polfarmex.

Oznacza to, że nasze bezpieczeństwo lekowe jest uzależnione od zagranicznych przedsiębiorstw. Nasz kraj pod tym względem znajduje się na 23. miejscu na świecie, wyprzedzając Rosję.

Pod koniec roku 2019, gdy mówiono w Europie o kryzysie lekowym, w kraju zabrakło 50 istotnych specyfików. Według oficjalnych danych w połowie sierpnia br. zabrakło zaś nowoczesnych leków stosowanych przy terapii cukrzycy (Ozempic, Trulicity, Victoza) oraz redukcji masy ciała (Saxenda). Dokuczliwe dla pacjentów były również niedobory leków przeciwdepresyjnych.

Część specyfików można byłoby produkować w kraju, lecz wobec konkurencji ze strony firm dalekowschodnich nie jest to opłacalne. Rząd nie robi nic, by zmienić tę sytuację. Nad Wisłą działają też spółki, które, zapowiadając opracowanie nowych leków lub odpowiedników znanych farmaceutyków, nauczyły się korzystać z państwowych i unijnych dotacji. Firmą, z którą wiązano wielkie nadzieje, jest Mabion SA. Spółka kilka lat temu opracowała lek o roboczej nazwie MabionCD20 – preparat biopodobny do farmaceutyku MabThera/Rituxan (Rituximab) produkowanego przez koncern Roche. To specyfik stosowany m.in. w terapii chłoniaków nieziarniczych, a także przewlekłej białaczki limfocytowej. Dzięki niemu koncern Roche zarabia na świecie miliardy dolarów. Uszczknienie choć części tego tortu byłoby dla polskiej firmy wielkim sukcesem.

Historia prób rejestracji MabionCD20 w Europejskiej Agencji Leków (EMA) to prawdziwa epopeja z gwałtownymi zwrotami akcji, lecz bez happy endu. Pierwszy wniosek o rejestrację i dopuszczenie leku do obrotu polska spółka złożyła 1 czerwca 2018 r. Potem był kolejny wniosek z 6 maja 2019 r. Gdy okazało się, że sprawy nie idą zgodnie z oczekiwaniami, w połowie marca 2020 r. Mabion poinformował, że zmienia strategię regulacyjną i planuje po raz trzeci złożyć wniosek do EMA. Na przełomie lutego i marca 2021 r. polska spółka ogłosiła nawiązanie ▶

► współpracy z amerykańską firmą Novavax – jak wówczas informowały media – w związku z planowaną produkcją szczepionki przeciw COVID-19. Na Facebooku radość z tego faktu wyraził premier Mateusz Morawiecki, a Polski Fundusz Rozwoju zapowiedział wsparcie spółki kwotą nawet 40 mln zł.

W efekcie notowania akcji Mabionu z poziomu 21-22 zł wystrzeliły do ponad 90 zł. Zbiegło się to w czasie z emisją kolejnej transzy akcji, która przyniosła firmie 133,7 mln zł i znacząco poprawiła jej długoterminową sytuację finansową.

Gdy po kilku miesiącach okazało się, że Amerykanie mają problemy z uruchomieniem produkcji swojej szczepionki oraz uzyskaniem akceptacji ze strony Food and Drug Administration, notowania akcji Mabionu

EuroAPI, której celem jest uniezależnienie Europy od dostaw substancji aktywnych pochodzących z innych regionów świata, głównie z Azji. API to substancje farmaceutyczne będące aktywnym składnikiem leków. W Polsce największym ich producentem jest Polpharma, wytwarzająca w zakładzie w Starogardzie Gdańskim 42 takie substancje. Na świecie największym producentem API są koncerny chińskie. Francuzi zakładają, że wkrótce staną się największym na świecie producentem małowartościowych aktywnych składników leków. Chcą uniezależnić rynek europejski od dostawców chińskich i indyjskich. Produkcja API ma się odbywać w sześciu zakładach na terenie Europy – w Niemczech, we Francji (dwa zakłady), w Wielkiej Brytanii, we Włoszech i na Węgrzech. W EuroAPI

jeszcze trudniejsze, gdyż poza koncernem Sanofi do rywalizacji przystąpią inne wielkie europejskie firmy farmaceutyczne. Nie bez powodu liczące na hojne wsparcie ze strony czy to Komisji Europejskiej, czy poszczególnych państw. Kryzys wywołany pandemią oraz wojna w Ukrainie sprawiły, że znikło zaufanie do dostawców z odległych krajów i dziś każdy będzie się ratował na własną rękę.

Jak CHIPS and Science Act

Na początku sierpnia br. prezydent USA Joe Biden podpisał ustawę CHIPS and Science Act, popularnie nazywaną ustawą chipową. Jej zadaniem jest stworzenie w Stanach Zjednoczonych sprzyjających warunków do zbudowania i uruchomienia produkcji nowoczesnych półprzewodników i mikroprocesorów. Ustawa ma uruchomić ulgi podatkowe i subsydia przeznaczone na budowę nowych zakładów produkujących układy scalone. Co więcej, ponad 170 mld dol. zostanie przeznaczone na badania i innowacje. Administracja prezydenta Bidena liczy, że dzięki szacowanemu na prawie 300 mld dol. programowi ulg podatkowych i subsydiów na produkcję oraz badania i innowacje w obszarze mikroelektroniki Stany Zjednoczone nie tylko uniezależnią się od dalekowschodnich producentów, ale też wyjdą na prowadzenie w tej dziedzinie i umocnią się na pozycji lidera technologicznego.

Polski Związek Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego – Krajowi Producenci Leków uważa, że rząd powinien przygotować podobny program dla firm farmaceutycznych. Dzięki temu nie tylko poprawiłoby się bezpieczeństwo lekowe kraju, ale również ta gałąź przemysłu uzyskałaby silny impuls rozwojowy. Moglibyśmy liczyć na powstanie nowych, dobrze opłacanych miejsc pracy dla rodzimych specjalistów. Zyskałyby także nasze instytuty badawcze. Idea jest słuszną. Trudno mówić o trwałym wzroście gospodarczym, jeśli nasza gospodarka nie stanie się bardziej nowoczesna. Szkoda, że nic nie wskazuje na taką zmianę.

Marek Czarkowski

Dwa lata temu produkcją wyrobów farmaceutycznych zajmowało się w Polsce 491 firm, w tym 489 prywatnych.

najpierw się uspokoiły, po czym zaczęły spadać. W ostatnich tygodniach wróciły do poziomu sprzed ponad roku. I to mimo informacji, że współpraca z firmą Novavax będzie kontynuowana. Cóż, branża farmaceutyczna i biotechnologiczna bywa ryzykowna dla inwestorów.

Moim zdaniem pompowanie ogromnych środków w rodzime firmy czy modne w ostatnich latach start-upy, które obiecują opracowanie przełomowych leków, jest bezcelowe. Musimy pamiętać, że koszt opracowania jednego nowego leku sięga ponad 2 mld dol. Oznacza to, że jest ponad pięć razy większy niż roczne wydatki na badania i rozwój całego polskiego sektora farmaceutycznego.

Jeśli dodamy do tego brak polityki rządowej dotyczącej branży farmaceutycznej, stanie się jasne, że w obecnych warunkach krajowi producenci leków nie mogą liczyć na wiele.

Francuski pomysł na niezależność

W lutym ub.r., nie bez wsparcia rządu francuskiego, koncern Sanofi ogłosił uruchomienie spółki o nazwie

ma pracować ponad 3 tys. pracowników o wysokich kwalifikacjach, a centrala firmy znalazła się nad Sekwaną. Rząd francuski kupił za 150 mln euro 12% udziałów w firmie. To dobry interes, koncern Sanofi dysponuje aktywami o wartości 142,3 mld dol., co stanowi ponad połowę wartości całego francuskiego sektora farmaceutycznego, więc ryzyko utraty środków jest niewielkie.

Autorzy raportu podają francuską inicjatywę jako przykład prześląskiej i długofalowej polityki, której celem, z jednej strony, jest uniezależnienie europejskiego przemysłu farmaceutycznego od dalekowschodnich dostawców, z drugiej zaś, zapewnienie francuskiemu koncernowi dominującej pozycji nie tylko w Europie, ale i na świecie.

Polska w tym wyścigu się nie liczy. Produkcja substancji czynnych to trudny, konkurencyjny rynek, a w naszym kraju liczba dostawców surowców i półproduktów wykorzystywanych do wytwarzania API jest bardzo ograniczona. W efekcie Polpharma jest niewielkim graczem, który musi konkurować ze znacznie większymi podmiotami. W przyszłości będzie to



20 lat procesu i końca nie widać

Czy obecność dziennikarza
podczas zdalnej rozprawy
przeszkadza sędziemu?

Marek Czarkowski

Jak długo może się ciągnąć spór sądowy? W tym przypadku niemal 20 lat i końca nie widać. Z jednej strony Bank Peako SA, z drugiej niegdyś notowana na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie spółka akcyjna Centrum Leasingu i Finansów, w skrócie CLiF. Historia zaczęła się na początku XXI w., gdy zmieniał się rynek usług leasingowych. W tym czasie banki komercyjne przejmowały go, wypierając prywatne spółki. Właścicielom składano propozycję: albo sprzedadzą firmę za „rozsądną” zdaniem banku cenę, albo pod byle pretekstem zostaną im wypowiedziane umowy kredytowe.

Jedną ze spółek, które odrzuciły taką propozycję, był CLiF. 12 grudnia 2001 r. Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy na wniosek Kredyt Banku Spółki Akcyjnej z dnia 5 listopada 2001 r. oraz Polskiego Kredyt Banku Spółki Akcyjnej z dnia 6 listopada 2001 r. ogłosił upadłość spółki i wyznaczył syndyka. Jak dowodzili konsekwentnie akcjonariusze, nie było przewidzianych prawnie podstaw do ogłoszenia upadłości. Pozostała im droga odwoławcza. W maju 2003 r. Sąd Najwyższy uznał, że upadłość została ogłoszona z naruszeniem prawa, i nakazał ponowne rozpatrzenie sprawy.

Tym razem sąd podzielił pogląd SN i uchylił decyzję o upadłości. Był to pierwszy taki przypadek w III RP. Tyle że dla Centrum Leasingu i Finansów było za późno. Półtoraroczne

rzędy syndyka zrujnowały spółkę, która nigdy nie wróciła do dawnej świetności. Co gorsza, banki, w których CLiF miał na rachunkach kwoty liczone w dziesiątkach milionów złotych, nie zamierzały ich zwracać, twierdząc, że mają do nich prawo. Rozpoczęły się trwające dekadę spory sądowe z bankami. Fakt, że prawie wszystkie zakończyły się bądź ugodami, bądź wyrokami korzystnymi dla spółki, miał niewielkie znaczenie.

W przeszłości interesowałem się sprawą Centrum Leasingu i Finansów, więc gdy dowiedziałem się, że przed jednym z warszawskich sądów nadal toczy się spór z Pekao SA, postanowiłem dowiedzieć się, w czym rzecz. Przez lata sędziowie zezwalali dziennikarzom na obserwowanie rozpraw, zwłaszcza cywilnych. Tym razem było inaczej. Dwukrotnie zwróciłem się do sędzi Sądu Okręgowego w Warszawie Agnieszki du Château z prośbą o wyrażenie zgody na uczestnictwo w rozprawach i dwukrotnie spotkałem się z odmową. Powody decyzji poznałem z korespondencji toruńskiej Fundacji Court Watch Polska z sędzią Dariuszem Dąbrowskim, wiceprezesem ds. gospodarczych Sądu Okręgowego w Warszawie. Otóż zdaniem sędzi du Château „sprawa toczy się od wielu lat, zaś strona powodowa podejmuje szereg działań obstrukcyjnych, składając wnioski o wyłączenie sędziów, bezzasadne zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, a obecnie wnioski o dopuszczenie do udziału dziennikarzy. W ocenie sędziego – mając na uwadze dotychczasowe

postępowanie strony pozwanej noszące znamiona nadużycia prawa – obecnie podpieranie się zasadą jawności jest argumentem brzmiącym fałszywie”.

W konkluzji sędzia stwierdza: „Prowadzenie przedmiotowej sprawy, skomplikowanej pod względem faktycznym i prawnym, jest trudne, a będzie jeszcze trudniejsze w przypadku udziału dziennikarzy”.

Obecnie wszystkie rozprawy prowadzone są zdalnie i pewnie tylko sędzia Agnieszka du Château wie, jak mógłbym je zakłócić. Konstytucyjne gwarancje jawności rozpraw sądowych w Sądzie Okręgowym w Warszawie nie mają znaczenia. Podobnie jak stanowisko Trybunału Konstytucyjnego, który niegdyś podkreślił, że na gruncie postępowania cywilnego jawność należy do podstawowych zasad procesowych. Ma ona na celu zapewnienie bezstronności sędziego i prawidłowości przebiegu postępowania oraz mobilizuje sąd do większej staranności przy dokonywaniu czynności procesowych.

Gdy widzimy sędziów demonstrujących w obronie kolegów prześladowanych przez władzę, wznoszących okrzyki: „Konstytucja! Konstytucja!”, pamiętajmy, że to garstka odważnych ludzi, która stara się dać świadectwo, że nie wszystko stracone. W Polsce mamy ok. 10 tys. sędziów. Większość milcząco wykonuje to, czego się od nich wymaga. Lecz nie brakuje takich, którzy traktują ustawę zasadniczą jako zbiór pobożnych życzeń, jakimi nie trzeba zbytnio się przejmować.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Czarna księga niewiedzy

150 czy 500? Nie wiadomo, ile osób zginęło w Polsce w 2021 r. w wyniku przemocy domowej. Nikt nic nie wie. I nie chce wiedzieć



Anna Stachowiak

W maju 2021 r. Marię Dzio-bę, 32-letnią matkę dwojga dzieci z Kościelca, mąż (i ojciec dzieci) zaatakował nożem. Znalaziono ją w kałuży krwi, z gardłem rozciętym od ucha do ucha. Jej serce przestało bić. Lekarzom udało się przywrócić funkcje życiowe, jednak jej stan był bardzo ciężki. Rok leżała w śpiączce, a po tym jak została z niej wybudzona, stan jej zdrowia wciąż się pogarszał. Miała m.in. problemy z oddychaniem, nie poruszała się i nie była w stanie komunikować się z otoczeniem. Zmarła 21 września. Sprawca ataku, jej mąż – jej zabójca – krótko po wydarzeniu rzucił się pod pociąg. Takich spraw, kiedy w wyniku przemocy ze strony bliskich kobiety tracą życie, jest w Polsce od 150 do 500 rocznie. Nie wiadomo dokładnie

ile, bo statystyki policji, prokuratury i innych instytucji oraz organizacji pozarządowych znacząco się różnią. Dlatego powstała „Czarna Księga Ofiar Przemocy Domowej 2021”. To raport na temat przemocy domowej i jej śmiertelnych ofiar

Siedem na dziesięć spraw o przemoc jest umarzanych.

w naszym kraju, który na podstawie własnych danych i działalności, jak również informacji uzyskanych teoretycznie do ochrony ofiar wydała Niebieska Linia. Koordynatorką projektu i prac utworzonej na potrzeby raportu Rady Ekspertek i Ekspertów była kierowniczka Ogólnopolskiego Pogotowia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie Niebieska Linia IPZ Renata Durda. W skład rady weszli prof. Beata Gruszczyńska, dr hab. Dagmara

Woźniakowska-Fajst, dr Magdalena Grzyb, prof. Witold Klaus, dr Michał Lewoc i dr Grzegorz Wrona.

„Dotkliwym brakiem wśród tych danych jest informacja o liczbie osób, które tracą życie w wyniku aktów przemocy w rodzinie. Liczba, która pojawia się z różnych aproksymacji, waha się między 150 a 500 osób rocznie. Nie wiemy, która z tych wartości jest bliższa rzeczywistości”, piszą autorki i autorzy raportu. Dlatego postanowili dotrzeć do wszystkich możliwych miejsc, które gromadzą dane statystyczne, i zapytać, co wiadomo tam o zdarzeniach śmiertelnych związanych z przemocą w rodzinie. Na liście były organizacje i instytucje, do których trafiają informacje o zabójstwach, samobójstwach i tajemniczych zaginięciach, związanych z przemocą w rodzinie. „Pytaliśmy więc: policję, prokuraturę, sądy, Główny Urząd Statystyczny, system ochrony zdrowia, zespoły interdyscyplinarne ds. przeciwdziałania przemocy w rodzinie, wojewódzkich koordynatorów realizacji Krajowego Programu Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie oraz media”, wyliczają autorki i autorzy. I choć pytali, odpowiedzi uzyskali tylko częściowe, a jedyny

czytelny wniosek, jaki płynie z raportu, jest taki: w Polsce nikt przemocy w rodzinie nie traktuje poważnie. Gdyby było inaczej, statystyki byłyby ujednolicone, dane szczegółowe, a odpowiedź na pytanie, ile osób, w tym ile kobiet, ginie rocznie w wyniku doznawanej w rodzinie przemocy, nie byłaby szczególnie trudna. Tymczasem wszystko, co mamy, to rozmyte dane i brak konkretów. To kolejny dowód, że państwo nie

jest zainteresowane zapobieganiem przemocy i ochronieniem ofiar.

Dlatego organizacje pozarządowe, które zajmują się zapobieganiem przemocy i pomocą ofiarom, za rządów PiS straciły wszelkie wsparcie finansowe ze strony państwa, i dlatego siedem na dziesięć spraw o przemoc jest umarzanych. Funkcjonariusze państwa, zatrudnieni w instytucjach, które (teoretycznie) mają pomagać ofiarom, także w dążeniu do ukarania sprawców i dochodzeniu sprawiedliwości, nie mają podstawowej wiedzy na temat

że takie inicjatywy jak ustawa o natchnionych izolacji sprawcy przemocy, którą w ubiegłym roku przegłosował Sejm, dają nadzieję.

Nadzieja to jednak za mało, bo w Polsce, jak szacują organizacje pozarządowe, rocznie ok. 800 tys. kobiet pada ofiarą przemocy w domu (statystyki policji są kilkakrotnie niższe, opierają się jednak głównie na liczbie założonych Niebieskich Kart). A jak wynika z raportu Niebieskiej Linii, wciąż nie można się doliczyć, ile tych kobiet ginie z rąk bliskiej osoby. Zwykle – męża lub partnera.

nie zaś wtedy, gdy jedna morduje drugą, by potem siebie pozbawić życia. „To chore”, podkreśla Woźniakowska-Fajst. Rozmywa odpowiedzialność zabójcy, a ofierze odbiera podmiotowość. Ten rodzaj języka stosowanego do opisywania przemocy także wpisuje się w łagodną postawę do sprawców. Nie ma już mordercy, jest tylko sprawca rozszerzonego samobójstwa.

W Polsce bardzo wyraźnie widać to, co Parlament Europejski w wydanej w ubiegłym roku rezolucji „Wpływ, jaki na kobiety i dzieci wywierają przemoc ze strony partnera oraz prawo pieczy nad dziećmi” nazwał „trwającą od dekady ofensywą przeciwko kobietom”. Widać w przestrzeni publicznej i w języku, jakim posługują się politycy, widać na policji, w sądach i prokuraturach. Widać w aktach spraw. Jak w tym wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie z czerwca 2021 r., w którym sędzia uznał panią Martę, ofiarę przemocy domowej ze strony mężczyzny, który nadużywał alkoholu, za współwinną rozpadu małżeństwa. W uzasadnieniu sędzia napisał, że kobieta „powinna inicjować seks, by zatrzymać męża”. Dopóki tak traktowane będą w tym kraju kobiety, przemoc się nie zmniejszy. A czarna księga ofiar będzie coraz grubsza. ■

Organizacje pozarządowe, które zajmują się zapobieganiem przemocy i pomocą ofiarom, za rządów PiS straciły wsparcie finansowe ze strony państwa.

zjawiska przemocy. Nie wiedzą, jakie są fazy przemocy, jak wygląda koło przemocy, jak zachowuje się ofiara, co powoduje sprawcę. Bardzo często, jeśli kobieta zdecyduje się zgłosić po pomoc lub złożyć doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa, jest wtórnie wiktymizowana. Czyli obarczana winą za rozpad rodziny. Jeśli zdecyduje się odejść od oprawcy dopiero po latach, słyszy zaś pytanie, dlaczego tak długo zwlekała, skoro było jej tak źle. Skutki niewiedzy i lekceważenia przejawów przemocy, a także protekcyjnego traktowania kobiet przy jednoczesnym łagodnym traktowaniu sprawców – o ile dojdzie do postawienia sprawcy w stan oskarżenia i zapadnie wyrok, jest on zwykle w zawieszeniu – niejednokrotnie są tragiczne. Tak było w głośnej przed kilkoma laty sprawie z północy Polski: sprawca przemocy, która w tej rodzinie działała się przez wiele lat, za katowanie żony dostał wyrok w zawieszeniu. Po powrocie z sądu zamordował kobietę. Nie doszłoby do tego, gdyby ktoś w wymiarze sprawiedliwości na którymś z etapów poważnie potraktował zeznania kobiety. Nie chodzi bowiem o to, by odhaczyć kolejną sprawę w statystyce, celem powinno być realne poprawienie sytuacji ofiar. A ta się nie poprawia, choć trzeba przyznać,

Z raportu wynika, że jedna czwarta sprawców zabójstw popełnia samobójstwo, a czyny te są wówczas często kwalifikowane jako samobójstwo rozszerzone. Do tego pojęcia odniosła się w audycji w TOK FM dr Dagmara Woźniakowska-Fajst, jedna z autorek badania. „Jest to określenie absolutnie fatalne”, powiedziała, wyjaśniając, że o takim czynie można mówić, gdy osoby wzajemnie sobie pomagają w odebraniu życia,



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIEĆ

Uciekły przed wojną, ale nadal są narażone na krzywdzenie

Chrońmy dzieci w kryzysie uchodźczym

standards.fdds.pl

fot. PAP/Rafał Guz

Nie ma cię w sieci, to nie ma cię wcale

Kim chce być polski nastolatek? Youtuberem

Rozmawia Jakub Dymek

Mam 34 lata i w ogóle nie oglądam YouTube'a. Z trudnością wymienię bym ksywkę więcej niż jednego influencera albo youtuberki. W jakim stopniu czyni mnie to boomerem lub dziadersem w oczach ludzi tylko trochę – nawet nie pokolenie przecież – ode mnie młodszych?

– W oczach najmłodszej generacji – w ogromnym. Podział na świat offline i online jest dziś dla najmłodszego pokolenia Polaków czymś coraz bardziej obcym. Choć dla pokolenia mojego i pańskiego, nie mówiąc już o osobach starszych od nas, był oczywisty. Różnica polega na tym, że starsze pokolenia – także te, w których życiu internet był obecny – budowały relacje na podstawie pewnych instytucji, szkoły czy pracy, i w mniejszym stopniu poprzez technologie komunikacyjne.

To znaczy?

– Młodsze pokolenie jest nie tylko zanurzone w internecie, współcześnie młody człowiek jest online bez przerwy: ze smartfonem w kieszeni, który mamy przy sobie od pierwszych minut po obudzeniu, aż nie położymy się z powrotem spać. Wyniki badań Eurostatu czy EU Kids Online pokazują, że wśród młodych użytkowników dominuje korzystanie z internetu za pomocą urządzeń mobilnych. Obecnie prawie wszystkie formy ich aktywności wiążą się



**DR KAROLINA
MESSYASZ**

z siecią. Przedstawiciele najmłodszej generacji po prostu wychowali się w świecie, gdzie nie istnieje już rozgraniczenie między tym, co się wydarzyło online, a tym, co się wydarzyło „naprawdę”. Bo ono, prawdę mówiąc, też straciło na znaczeniu. Ponieważ jeśli czegoś – lub kogoś – nie ma w sieci, to jakby nie było go wcale.

Jedną z moich czytelniczek – choć pewnie właściwsze byłoby określenie „followerek” czy „obserwu-

jących” – napisała mi przy pewnej okazji, że nie czyta gazet, nie słucha radia, nie ogląda telewizji, portali internetowych też pewnie nie przegląda. W sumie byłem zdziwiony, że gdzieś trafiła na moje teksty. Ale może nie powinienem?

– Socjologowie potrafią się spierać, czy pokolenia istnieją i jak funkcjonują. Ale widzimy wyraźnie, że osoby, które niekoniecznie bardzo się różnią wiekiem, potrafią żyć w zupełnie innych światach. Nawet jeśli funkcjonujemy w tym samym języku, to w innej kulturze – a na pewno przekazywanej za pomocą innych kanałów, zanurzonej w innych wartościach lub innych sposobach mówienia o nich. Osoby, które socjalizowały się dzięki gazetom, książkom czy w kinie, i osoby, dla których oknem na świat jest YouTube, należą do innych kultur.

Jeśli to różne kultury, to dlaczego?

– Generacja Z i roczniki 2000 współtworzą kulturę swojego pokolenia, a nie tylko ją odbierają. To jest podstawowa różnica. Rozgraniczenie na to, co prywatne i publiczne, ma dużo mniejsze znaczenie. Dzielimy się życiem i tym, co robimy, ze światem.

Kim w życiu osoby z generacji Z jest youtuber?

– Kimś, kim chciałoby się być (śmiech). Niekoniecznie autorytetem, ale wzorem kogoś, kto ma ciekawe, przyjemne, łatwe, kuszące życie. I je pokazuje, a my „uczestniczymy” w jego przygodach, bo jest stałym elementem naszego świata. Według różnych badań YouTube to najczęściej odwiedzany przez nastolatków serwis internetowy.

**Kiedyś Dorota Masłowska za-
uważała, że o ile fantazja o byciu**

Karolina Messyasz – doktor nauk humanistycznych, socjolożka, wykładowczyni akademicka, pracuje w Katedrze Socjologii Polityki i Moralności Uniwersytetu Łódzkiego. Zajmuje się socjologią młodzieży, problematyką subkulturowości i pokoleniowości.

**piosenkarką czy modelką mogła się wydawać objawem próżności, o tyle w porównaniu z wymarzo-
nym życiem influencera życie gwiazdy sceny czy wybiegu było naprawdę ciężką i wymagającą dyscypliną pracę.**

– Marzenie o łatwej sławie to nic nowego. Faktycznie jednak nowych influencerów czy youtuberów mamy zalew – co również jest wynikiem

swoje rozbierane zdjęcia albo filmiki w sieci obcym, to łatwe i wygodne”?

– To z mojej perspektywy najbardziej problematyczny element internetowej rzeczywistości. Wychodzi to np. w ciekawym cyklu reporterskim o świecie influencerów, który ukazał się w Spider’s Web. Ludzie, którzy zajmują się marketingiem influencerskim – czyli promocją

Współcześnie młody człowiek jest online bez przerwy, ze smartfonem w kieszeni.

demokratyzacji kultury, o której mówiłam. Media społecznościowe dają większą możliwość zaistnienia. Nie musisz mieć koniecznie czegoś ciekawego do powiedzenia, nie musisz być szczególnie utalentowany, ale i tak warto być, warto się pokazać. Ale trzeba na to spojrzeć od innej strony. Jaki stoi za tym model biznesowy i po co młodzi ludzie są potrzebni platformom cyfrowym. On jest niepokojący.

Dlaczego?

– Kapitalizm z łatwością pochłania wszystko, zagarniając nawet autentyczne i oddolne zjawiska, rozciąga reguły rynkowe na każdą przestrzeń życia. Rywalizacja, spieniężanie czy, jak się mówi językiem platform, „monetyzacja” swojej osobowości i aktywności, uczynienie ze swojego ciała i prywatności przestrzeni reklamowej dla „partnerów” korporacyjnych i sponsorów – to wszystko konsekwencja tej rynkowej logiki, której podporządkowani są ludzie w coraz młodszych wiekach. Bez pieniędzy też trudno o cokolwiek w dzisiejszym świecie, więc nie można mieć pretensji do młodych ludzi, że chcą je zarabiać. A media społecznościowe wydają się przestrzenią, gdzie pieniądze i sławę można zdobyć szybko i każdy może po nie sięgnąć.

Fakt, nie można mieć pretensji do młodych ludzi, że chcą zarabiać. Ale co z modelem biznesowym platform, które mówią młodym osobom: „Nawet jeśli nie masz talentu muzycznego, nawet jeśli nie zostaniesz gwiazdą Netfliksa, zawsze jeszcze możesz sprzedać

produktów przez tych w większości młodych influencerów i youtuberów – cieszą się, że granice upadają, nie ma tabu, a zainteresowanie jest tak wielkie. Z drugiej strony bardzo młodzi ludzie, którzy chcą wejść w ten świat, też muszą być przygotowani, że będą sprzedawać

Generacja Z i roczniki 2000 współtworzą kulturę swojego pokolenia, a nie tylko ją odbierają. To podstawowa różnica. Dzielimy się życiem i tym, co robimy, ze światem.

przemoc, skandal albo nagość. Dla młodych ludzi to są jakieś realne wybory życiowe...

A dla platform cyfrowych?

– Czysty zysk. I potrzeba wykreowania sobie konkretnego typu konsumenta: bardzo młodego i gotowego od najmłodszych lat kupić i sprzedać wiele. Oczywiście, że podobne obawy towarzyszyły od zawsze każdej formie kultury masowej: literaturze kieszonkowej, radiu, telewizji, grom wideo. Ale to, jak natłoczony współczesny internet domaga się handlowania intymnością, to jest nowy poziom.

Przedstawiciele platform cyfrowych, gdy zarzucić im promocyjne treści patologicznych – związanych z alkoholem, przemocą, naruszeniem intymnych granic, poniżaniem innych – zawsze odpowiadają podobnie. Że jest to wąski margines wszystkich treści dla nastolatków, do tego taki, z którym wszyscy walczą.

– Badania, które znam, pokazują, że treści patologiczne to rzeczywiście wąski wycinek. Różne opracowania dowodzą – a przynajmniej próbują – że media społecznościowe mają także wiele pozytywnych aspektów. Ale większym problemem niż dostęp do treści nazywanych przez nas patostreamem czy patoinfluencerstwem jest przenikanie nieco złagodzonej czy oswojonej patologii i przemocy do głównego nurtu. Na przykład walki influencerów na ringu czy w oktagonie – zorganizowane w konwencji *freak fight*, czyli pojedynku dziwadeł – to jest przekroczenie granicy. Dzieci – te z „dobrych domów” i z dobrym kontaktem ze swoimi rodzicami – wydają kieszonkowe na dostęp do transmisji walk i żyją tym światem.

Ale część lewicowych czy feministycznych aktywistek zaraz pani na to odpowie, że nie można krytykować influencerów walczących

na ringu, bo to ich wybór i święte prawo kobiet do realizowania się w takiej branży, w jakiej tylko chcą.

– Nie spotkałam się z tego typu wypowiedziami. Nie widzę żadnej pozytywnej wartości w pokazywaniu, osławianiu i promowaniu przemocy – szczególnie w formie, która jest skierowana do dzieci. Bo trzeba to powiedzieć: walki influencerów w MMA przyciągają przed ekrany dzieci.



► A czym to się różni od oglądania boksu, karate albo zapasów?

– Walki influencerów pokazują, że sposobem na rozładowanie jakichś napięć albo rywalizację jest maksymalnie widowiskowe upokorzenie i poniżenie drugiej osoby przed kamerami i olbrzymią publicznością. W ogóle nie jestem entuzjastką sportów walki, ale różnica jest czytelna: w pojedynku dziwadła nie ma sportowych zasad, fair play ani dyscypliny. Wracamy do rzeczywistości igrzysk i gladiatorów. Dla mnie żadna forma

zmyślonych, to realne zagrożenie. Jak jest?

– Wiemy, że przyznawanie się przez celebrytów czy influencerów do problemów może mieć pozytywny skutek. Młodzi ludzie, dla których influencerzy są wzorem do naśladowania, z większą łatwością sami otwarcie mówią o tym, z czym się borykają – skoro robią to osoby znane i podziwiane. Udzielanie fachowych porad czy udział w kampaniach na rzecz zdrowia psychicznego również może przynieść bardzo pozytywne skutki.

Współczesny internet natarczywie domaga się handlowania intymnością, to jest nowy poziom.

promowania wśród dzieci przemocy nie może być sprzedawana w kostiumie „dbałości o kulturę fizyczną” albo „pielęgnacji zdrowego ciała”. Influencerzy, którzy okładają się po twarzach i bluzgają na siebie, robią to nie dla sportu, lecz dla budowania sławy, zasięgów i swojego finansowego zysku.

Jeszcze jedna kontrowersyjna kwestia: obecność tematu zdrowia psychicznego w mediach społecznościowych. Jedni mówią, że to dobrze. Otwarcie rozmawiamy o swoim stanie zdrowia, a bariery wstydu i milczenia upadają. Drudzy przekonują, że próby budowania sławy na swoim – prawdziwym lub wymyślonym – zaburzeniu, fascynacja depresją i samookaleczaniem, a także coraz częstsze autodiagnozowanie różnych chorób, czasami

Moje wątpliwości dotyczą jednak udzielania porad czy tym bardziej wypowiadania się i diagnozowania zaburzeń psychicznych przez celebrytów, influencerów i inne osoby nieposiadające do tego fachowych kompetencji. Bo tę rolę powinni odgrywać specjaliści i eksperci. Influencer może powiedzieć swoim fanom, że to dobrze mówić o problemach, ale...

...ale lepiej, aby poszli z tym do specjalisty, a nie do edukatorki z Instagrama czy TikToka?

– Tak. Choć np. w pandemii, gdy dostęp do opieki zdrowotnej był bardzo ograniczony, docierały do mnie liczne historie o tym, jak konta w internecie poświęcone zdrowiu przychodziły z pomocą lub odpowiadały na trudne pytania. Ale kiedy mówimy o tak poważnych problemach

jak depresja czy zaburzenia osobowości, to konieczne są wiedza i kompetencje specjalistów. Wśród influencerów, nawet jeśli chcą dobrze, nie brakuje samozwańczych ekspertów.

Ale na problem samozwańczych ekspertów reagują różne organy państwa, od Komisji Nadzoru Finansowego, przez UOKiK, po sanepid. Pytanie, czy instytucje państwa albo organizacje branżowe w ogóle mogą nadażyć z prostowaniem błędów czy zwalczaniem szarlatanów z YouTube'a.

– Prawdopodobnie organy państwa nigdy nie nadążą za kreatywnością samozwańczych ekspertów. To zadanie dla systemu edukacji. Nigdy nie wyeliminujemy zagrożeń w całości, ale zadaniem systemu edukacji jest przygotowanie dzieci i młodzieży do odpowiedzialnego korzystania z internetu. Albo przynajmniej takiego, które nie poskutkuje zrobieniem sobie krzywdy.

Ale jak babcia albo mama dzisiejszej nastolatki ma edukować swoją córkę czy wnuczkę w dziedzinie bezpieczeństwa internetowego, skoro zrozumienie działania TikToka przerasta pewnie większość 30-latków, nie mówiąc już o prawdziwych „dziadersach”.

– Nigdy autorytety ze świata dorosłych nie będą równie atrakcyjne jak te z internetu. I rzeczywiście rodzice będą tracić. Jednak rodzina nadal ma ogromną rolę do odegrania w kształtowaniu młodego człowieka. Upatruję szansę w tym, na co dzisiejszy świat jednak się otwiera, czyli w bardziej otwartym mówieniu i budowaniu relacji. Jako rodzice możemy być dla dzieci i przy nich, pokazując, co jest w życiu ważne. W okresie dojrzewania czy wchodzenia w dorosłość przez młodych ludzi to zawsze będzie trudne i nie należy się łudzić, że będzie inaczej. Ale skoro jako cywilizacja i społeczeństwo od zawsze uczymy nasze dzieci o zagrożeniach i niebezpieczeństwach, o mniej przyjemnych aspektach świata, to nie sądzę, żeby internet był odrębnym przypadkiem.

• **Youtuberzy** – twórcy i bohaterowie popularnych materiałów na YouTube, największej platformie wideo internetu.

• **Influencerzy** – od *influence*, czyli wpływać. Osobowości internetowe, które dzięki swojej popularności (mierzonej liczbą fanów, czyli followersów) zarabiają na promocji produktów, marek i usług.

• **Patoinfluencerzy/patotreści** – materiały nasączone przemocą, wulgaryzmami albo obrażające zachowania patologiczne (alkoholizm czy sadyzm wobec członków rodziny). Często przyciągają one małoletnią widownię. Patotreści pozwalają zobaczyć cudze upokorzenie lub aktywnie w nim uczestniczyć.

• **Edukatorki** – twórczynie (częściej kobiety niż mężczyźni) kanałów i stron prezentujących w skrótovej formie wiedzę popularnonaukową z dziedziny m.in. psychologii, zdrowia, dietytyki czy prawa.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Pierogi solidarności

Wielki podziw dla Ukraińców stawiających opór rosyjskiej agresji oraz współczucie dla ofiar wojny, w tym dla tysięcy uchodźców, którzy znaleźli schronienie i pomoc na polskiej ziemi, istotnie zmieniły stosunek Polaków do Ukrainy. Na jakiś czas (na jak długo?) przygasło tak typowe u nas i zupełnie nieuzasadnione poczucie wyższości wobec wschodnich sąsiadów. Staramy się, aby Ukraińcy nie czuli się u nas obco. W przestrzeni publicznej pojawiły się napisy informacyjne w języku ukraińskim. Nawet w bankomatach można wybrać instrukcję w języku ukraińskim. Często obok polskich flag wywieszane są ukraińskie (co, nawiasem mówiąc, denerwuje niektórych naszych narodowców).

Spółeczeństwo i samorządy stanęły na wysokości zadania. Znacznie gorzej radzi sobie administracja rządowa. Nawet nie wie, ilu spośród Ukraińców, którzy przybyli do Polski, zostało u nas, ilu wyjechało dalej na Zachód. Nikt nie wie, ilu spośród tych, którzy zostali, zamierza tu się osiedlić, ilu planuje powrót na Ukrainę, a ilu chce emigrować dalej, do Europy Zachodniej czy Ameryki. Nikt nie wie, jaka jest struktura zawodowa tych, którzy u nas zostali z zamiarem osiedlenia się. Nie ma jakiegos ogólnopaństwowego programu przystosowania zawodowego tych ludzi, wykorzystania ich w polskiej gospodarce czy usługach publicznych. Czy ktoś wie np., ilu ukraińskich lekarzy, a ściślej ukraińskich lekarek, utrzymuje się dziś w Polsce ze sprzątania, w sytuacji gdy tak dramatycznie brakuje u nas lekarzy? Ilu ukraińskich inżynierów jeździ u nas jako kierowcy taksówek? Oczywiście za jakiś czas gospodarka, szczególnie prywatny biznes, choć nadchodzi kryzys, wchłonie i zagospodaruje tych uchodźców, da im pracę, możliwość utrzymania się, przybędą jej tak potrzebne ręce do pracy. Ale, po pierwsze, będzie to trwać długo. Po drugie, zmarnuje się spory potencjał. Wielu fachowców z Ukrainy nie będzie pracować w swoim zawodzie, ich umiejętności i wiedza pozostaną niewykorzystane. Brakuje tu nie tylko sensownego programu rządowego, ale nawet elementarnego rozeznania, na podstawie którego można by takie programy budować. O ile społeczeństwo: samorządy, organizacje pozarządowe i zwykli pojedynczy ludzie, zdało egzamin na piątkę, o tyle państwo i tu niestety wykazało swoją słabość i nieudolność.

Objawy sympatii dla Ukrainy i Ukraińców mają czasem niezamierzony komiczny wymiar. Na przykład restauratorzy w jadłospisach zmienili nazwę pierogów. Zamiast tradycyjnych „ruskich” mamy teraz „ukraińskie”. Okazało się przy tym, że dotąd byli przekonani, że serwują rosyjskie pierogi! No nie. Serwowali „ruskie”, to znaczy ukraińskie właśnie. „Ruskie” od Rusi (do wyboru: Czerwonej, Halickiej, Kijowskiej, Zakarpackiej...). Od Rusi, nie od Rosji!

Innym przykładem przesadnej poprawności politycznej jest mówienie „w Ukrainie” zamiast tradycyjnie i zgodnie z konwencją językową „na Ukrainie”. Ktoś wymyślił, że użycie „na” zamiast „w” jest spowodowane chęcią wywyższenia się, śladem dawnego polskiego panowania, którego oto wspomniałoby się wyrzekamy. No, mogłoby tak się wydawać, bo przecież mówimy „w Niemczech”, „w Anglii” czy „we Francji”, ale „na Litwie”, „na Białorusi”, no i „na Ukrainie”. Ale przecież mówimy też

Czy ktoś wie, ile ukraińskich lekarek utrzymuje się dziś w Polsce ze sprzątania?

„na Węgrzech” czy „na Słowacji”, a tam nigdy nie panowaliśmy ani nawet nie mieliśmy takich zamiarów. Więc to „na” z panowaniem nic wspólnego nie ma. Nie wiem, dlaczego tak się uartało, trzeba by spytać historyków języka (oni pewnie to wiedzą), dlaczego mówimy „w Siedmiogrodzie”, ale „na Wołoszczyźnie”, dlatego „na Węgrzech”, ale „w Rumunii” czy „w Bułgarii”. No i dlaczego barszcz jest „ukraiński”, ale pierogi „ruskie”?

Myślę, że chyba lepiej na Ukrainie jeść ruskie pierogi, widząc w Ukraińcu przyjaciela, niż w Polsce patrzeć na niego nieżyczliwie znad talerza „ukraińskich” pierogów, myśląc, że mógłby już wrócić do siebie „do Ukrainy” (broń Boże nie „na Ukrainę”!).

Niech sobie każdy pierogi nazywa, jak chce, niech interesuje się tym, co się dzieje „na Ukrainie” lub „w Ukrainie”, byle okazywał Ukraińcom solidarność i zwykłą ludzką życzliwość.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn



Wyrzućcie Anię z Zielonego Wzgórza!

Promocja życia w ciemnogradzie

Bronisław Tumiłowicz

„Ania z Zielonego Wzgórza” Lucy Maud Montgomery to lektura obowiązkowa z języka polskiego dla uczniów klasy szóstej. Na początku września rodzice 12-latków pytają znajomych i szperają w księgarniach. Stare wydania Naszej Księgarni, które pojawiały się od roku 1956 do 1980, są wyczerpane, ale najnowsze Świata Książki można kupić „już za 48,75 zł”. Inne oficyny wydawnicze też nie przepały okazji

więcej przykładów wyraźnej niechęci mieszkańców Avonlea do różnych obcych. Żli są Francuzi, Włosi też, Amerykanie z USA podejrzani. I oczywiście pojawia się wędrowny Żyd, który sprzedaje Ani fatalną farbę do włosów. Tak mimochodem kształtuje się nietolerancję.

I jeszcze jedno: Ania ma wyraźną awersję do geometrii. Niby wielu osób może to dotyczyć, ale dla polskich dzieci stanowi przykład fatalny. U nas bowiem panuje opinia, że matematyka w ogóle jest piętą achillesową uczniów. I nie tylko ich.

wyłącznie po angielsku. To w tym mieście mieszkała długo i zmarła autorka „Ani z Zielonego Wzgórza”. Ewa Stachniak też robi międzynarodową karierę, jej książki tłumaczone są na wiele języków, a najnowsza powieść, „Szkofa luster”, ukazała się niedawno w Znak.

– Kochałam Anię w dzieciństwie, absolutnie nie zauważając, jak dalece autorka jest wpisana w swój świat i jego ograniczenia – mówi Ewa Stachniak. – Dla mnie Ania była wtedy przede wszystkim dziewczyną o wspaniałej wyobraźni, która potrafiła wycisnąć radość z każdej chwili. Ale nie poleciłabym tej powieści teraz i zgadzam się, że to nie najlepszy wybór szkolnej lektury.

– Z drugiej strony czy nie warto czasami pokazywać uczniom, że rasizm, antysemityzm, ksenofobia to cechy nie tylko naszej epoki i naszego społeczeństwa? Może łatwiej wtedy przedyskutować je w klasie, z dystansem, jaki dają czas i odległość? – zastanawia się pisarka. – Wyspa Księcia Edwarda była zamkniętym, prowincjonalnym środowiskiem, nieakceptującym obcych. Lucy Maud Montgomery doznała tam i odrzucenia, i wielu przykrości. Lektura jej pamiętników wydanych

W książce są przykłady wyraźnej niechęci mieszkańców Avonlea do obcych. Żli są Francuzi, Włosi, Amerykanie. I oczywiście pojawia się wędrowny Żyd.

zaistnienia na rynku. Można nabyć „Anię” w kilku odsłonach, nawet ze streszczeniami, wersjami skróconymi, komentarzami, pytaniami kontrolnymi itd. Uczeń z gotówką ma pełny wybór.

Kiedy jednak dorosły i bardziej doświadczony czytelnik weźmie tę książkę do ręki, po kilku stronach lektury włosy mu się jeżą. Rzecz napisano wprawdzie dawno – pierwsze wydanie z Bostonu ukazało się w 1908 r. – ale treści przemycane w perypetiach biednej sieroty doskonale pasują do wyobraźni naszych obecnych szefów od edukacji. Świat otaczający małą Anię, rówieśniczkę naszych szóstoklasistów, to zamknięty ciemnogród. Już w pierwszym rozdziale napotykamy informację, że pani Małgorzata Linde jest filarem parafialnego związku pomocy dla misjonarzy nawracających pogan. No ładnie, przecież m.in. papież Franciszek niedawno właśnie w Kanadzie przeproszał potomków „pogan” za makabryczne poczynania tamtejszego Kościoła. Poza tym w książce jest

Bo niemal jako powód do dumy traktuje się tzw. zdolności humanistyczne, przy braku ścisłych. Taki pogląd utrwalił się w opinii publicznej, dlatego wciąż jesteśmy na bakier z postępem technicznym, kupujemy jedynie obce technologie, a w dodatku obniżono wymagania na maturze z matematyki (i dodano religię). To może mieć dalekosiężne skutki dla

XIX-wieczne realia społeczne bez komentarza i przygotowania mogą młodym czytelnikom wydawać się naturalne i do zaakceptowania.

przyszłości kraju. Po co więc taka lektura? Czy nie ma lepszych książek dla szóstoklasistów?

U źródeł

Podzieliłem się wątpliwościami niemal u źródła, bo z urodzoną w Polsce, ale mieszkającą w Toront pisarką Ewą Stachniak, tworzącą

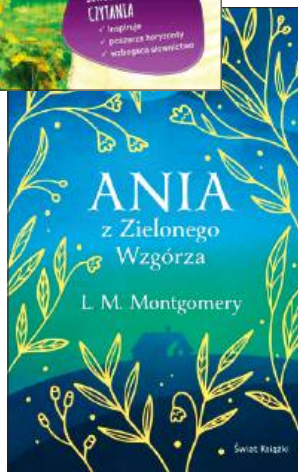
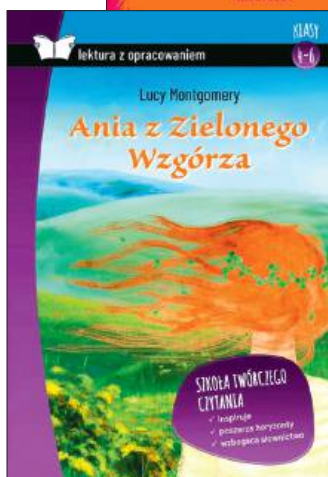
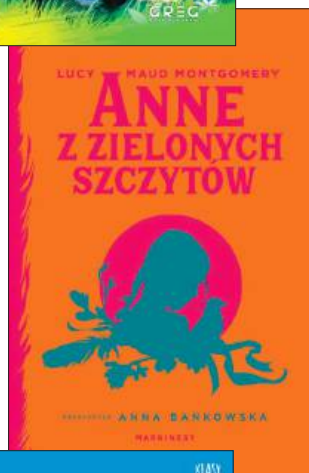
kilka lat po moim przyjeździe do Kanady (lata 80.) jest bardzo pouczająca. „Ania” była bajką, którą samotna dziewczynka sama sobie opowiadała, a rzeczywistość ponura i bardzo od tej bajki daleka. A tak na marginesie, L.M. Montgomery mieszkała po ślubie w Ontario. Jej ostatni dom, w którym umarła (lub w którym popełniła samobójstwo, co jest bardzo

prawdopodobne), stoi na tyle blisko, że mogę tam pójść na spacer.

Ewa Stachniak dodaje, że Toronto nigdy nie zaakceptowało Montgomery jako pisarki: pisała stylem sprzed wojny, pisała dla dzieci, była za bardzo popularna, była kobietą. Ciekawy jest również wątek miłości, jaką jej twórczość darzy Japonia. Tłumaczką „Ani” była Hanako Muraoka, która przed II wojną dostała stypendium do prestiżowej szkoły w Tokio, ufundowanej przez Kościół metodystów z Kanady. Szkoły, dzięki której uniknęła indoktrynacji japońskiego wojującego imperializmu. Miała kanadyjskie nauczycielki, które podarowały jej egzemplarz „Ani” i zachęciły do tłumaczenia, a Japonia oszalała na punkcie rudowłosej sieroty z dalekiej Wyspy Księcia Edwarda.

Co tobie dała Ania?

O opinię na temat „Ani z Zielonego Wzgórza” zapytałem zaprzyjaźnionych nastolatków. Tomek (l. 14) przyznał, że koleżankom w klasie książka się podobała, a jemu nie. Była nudna, problemy Ani i jej kolegów zostały opisane w drzewny sposób. Na lekcjach polskiego omawiano tę lekturę, ale spraw tolerancji i stosunku do obcych nie poruszano. Uczniowie jednak muszą o lekturze L.M. Montgomery pamiętać, bo „pytanie z Ani” może się pojawić na egzaminie ósmoklasisty, który jest przepustką do liceum. Michalina (l. 15) stwierdziła, że „Ania” była najlepszą ze szkolnych lektur obowiązkowych i jako taka podobała się. Choć tak naprawdę Michalina woli czytać inne książki, np. serię o Wiedźminie Andrzeja Sapkowskiego. W szkole była kartkówka z „Ani”, może też jakieś wypracowanie, ale kwestii stosunku do obcych w środowisku bohaterki w ogóle nie poruszano. Kornel (l. 13) także daleki był od podziwu dla tej lektury, która „była ciężka i ciągnęła się”. Wśród jego kolegów z klasy stanowiła raczej powód do żartów. Jak mówi, w wypracowaniu napisał, że podobało mu się, jak Ania piła wino i upiła koleżankę. „Książka była dużo gorsza od »Władcy pierścieni«”, podsumował.



Zabiłam Anię!

W roku 2022 pojawiła się Ania po liftingu, czyli nowa odsłona lektury. Nowe tłumaczenie Anny Bańkowskiej od razu sprowokowało dyskusję, w której wiele osób było przeciwnych gmeraniu przy tej kultowej pozycji. Zwłaszcza że zmieniono również tytuł – teraz to „Anne z Zielonych Szczytów”.

Tłumaczka w odpowiedzi na protesty dołała oliwy do ognia, pisząc: „Zabiłam Anię, zburzyłam Zielone Wzgórze i pozbawiłam je pokoiku na facjatce. Proszę jednak o łagodny wymiar kary, zważywszy na to, że ktoś kiedyś musiał się podjąć tego niewdzięcznego zadania. (...) Oddając Czytelniczkom i Czytelnikom nowy przekład jednej z najbardziej kultowych powieści, jestem świadoma »zdrady« popełnianej wobec pokolenia ich matek i babć, do których zresztą zaliczam też siebie. Tak jest – razem z wydawcą tego przekładu doszliśmy do wniosku, że w czasach, kiedy wszystkie dzieci wiedzą, że żadna mała Kanadyjka nie ma na imię Ania, Janka czy Zosia, a żaden Kanadyjczyk nie nazywa się Mateusz czy Karolek, pora przywrócić wszystkim, nie tylko wybranym (jak w poprzednich przekładach), bohaterkom i bohaterom książki ich prawdziwe imiona, nazwom geograficznym na Wyspie Księcia Edwarda zaś ich oryginalne brzmienie”.

Mnie jednak kwestia, czy Ania mieszka na Zielonych Szczytach, czy na Zielonym Wzgórzu, wydaje się drugorzędna. Ważniejsze jest podejście bohaterów powieści do otoczenia, skostniałe dawne obyczaje, nakazy i zakazy. XIX-wieczne realia społeczne bez odpowiedniego komentarza i przygotowania mogą młodym czytelnikom wydawać się czymś naturalnym, w pełni akceptowalnym, co niestety próbuje wprowadzać do edukacji i oświaty obecna zideologizowana ekipa. Zamiast zawracać kijem styl wychowania dzieci i młodzieży, może lepiej poszukać dla uczniów innej lektury, Anię albo Anne przenieść zaś na zasłużoną emeryturę?

Bez młodych na roli

W krajach rozwiniętych późna data urodzenia to często przeszkoda na drodze do rolniczego sukcesu



Mateusz Mazzini

Dziedziczny i wielopokoleniowy charakter pracy przy produkcji żywności jest już w zasadzie reliktem. Bardziej pasuje do nowel historycznych niż do obrazu współczesnych gospodarek. Rolnictwo jest jedną z tych ich gałęzi, które w ostatnich dziesięcioleciach podlegały największym przeobrażeniom. Nie tylko pod kątem technologicznym czy ekonomicznym, ale przede wszystkim pod względem demografii. Depopulacja wsi, konsolidacja gruntów poprzez skupywanie gospodarstw przez wielkie koncerny czy zmniejszenie się odsetka pracowników najemnych na roli to jedynie część procesów stawiających pod znakiem zapytania przyszłość całego sektora. Wszystkie one sprowadzają się jednak do zasadniczego pytania: kto będzie produkował jedzenie dla milionów mieszkańców bogatej Północy za kilkanaście, kilkadziesiąt lat? Czy będzie to robił ktokolwiek w tych krajach, czy skazane są one

na import z Południa, ewentualnie ze Wschodu?

Młode rolnictwo a USA

Żywność trafia na półki europejskich czy amerykańskich sklepów z trzech różnych źródeł. Pierwszym jest oczywiście import. Drugie to duże, uprzemysłowione farmy. Trzecie – małe, lokalne gospodarstwa, często pozostawiające znacznie mniejszy ślad węglowy i mniej szkodliwe dla środowiska. Chociażby z tego powodu to w nie powinno się inwestować, zarówno na poziomie polityk publicznych, jak i ogólnego systemu produkcyjnego, również prywatnego. Niestety, osób, które chcą pracować na roli i jednocześnie mają ten luksus, że gospodarstwo odziedziczą po rodzicach, jest coraz mniej. A jeszcze mniej jest tych, którzy do zawodu dopiero chcą wejść.

Papierkiem lakmusowym problemów Północy z młodym rolnictwem są Stany Zjednoczone. Z globalnego punktu widzenia to absolutny żywnościowy gigant.

Według danych rządu federalnego i Departamentu Rolnictwa produkcja spożywcza odpowiada tutaj za aż 5% PKB, a samo rolnictwo – za 0,6% PKB. W liczbach bezwzględnych to ponad 134 mld dol. rocznie. W sektorze spożywczym (do którego zaliczają się i rolnictwo, i przetwórstwo, i tzw. pokrewne zawody) pracuje co 10. aktywny zawodowo Amerykanin. Łącznie – 19,7 mln osób. Z tego 3,4 mln mieszkańców zatrudnionych jest bezpośrednio w rolnictwie. Oczywiście tamtejsze farmy są zmechanizowane, więc pracowników fizycznych najczęściej potrzebują mniej niż chociażby gospodarstwa europejskie, nie mówiąc o afrykańskich czy azjatyckich. Mimo wszystko to wciąż ogromny sektor, także ze względu na strategiczną rolę w zapewnianiu bezpieczeństwa żywnościowego.

Termin ten robi ostatnio karierę z powodu kroczącej klęski głodu na Bliskim Wschodzie i w Azji, wywołanej blokadą ukraińskiego eksportu zboża i sankcjami na rosyjską gospodarkę. Skoro nie można

kupować produktów od dwóch spośród pięciu największych eksporterów na planecie, każdy kraj zaczyna myśleć o żywnościowej samowystarczalności. Ważna jest ona też w kontekście zmian klimatycznych, a szczególnie niedoboru wody, który dewastuje rolnictwo chociażby na północy Włoch. 70% rolników z tego regionu pobiera wodę do swoich upraw z Padu i jego dopływów. A raczej z tego, co z Padu zostało, bo miejscami były to co najwyżej kałuże. W efekcie zagrożona

którzy najczęściej już mają spore tereny uprawne.

Kongres próbuje zakup ziemi uprościć, wprowadzając specjalne programy i dotacje dla osób poniżej 35. roku życia chcących rozpocząć pracę w sektorze rolniczym na własnych gospodarstwach, lecz głosowanie nad tymi propozycjami legislacyjnymi, jak wynika z informacji amerykańskiego radia NPR, realne jest dopiero w 2023 r. Nawet jeśli zostaną przyjęte, co nie jest pewne, w życie wejdą prawdopodobnie

proporcje wiekowe są jeszcze gorsze niż w USA. Na każdą osobę kierującą gospodarstwem rolnym w Unii Europejskiej (a jest ich łącznie ponad 10,5 mln), która ma mniej niż 40 lat, przypada trzy w wieku powyżej 60 lat, a więc przedemerytalnym.

Rolnictwo ma opinię sektora mało atrakcyjnego, w którym nie da się zarobić wielkich pieniędzy i nie obcuje się z globalnymi trendami. Co oczywiście nie musi być prawdą, co raz większą popularnością cieszą się przecież inicjatywy związane z tzw. rolnictwem precyzyjnym, które prawie w całości opiera się na zaawansowanych technologiach wartych niejednokrotnie miliony dolarów.

Mimo to odkleić łatkę siermiężności nie jest łatwo, bo drony wykorzystywane do nawożenia upraw nie przebijają się do mediów tak często jak obrazki z rolniczych protestów w Brukseli czy Paryżu, na których podstarzali farmerzy w brudnych fartuchach wyrzucają żywność na jezdnię, wyrażając w ten sposób frustrację z powodu rządowej czy unijnej polityki.

Po drugie, rolnictwo to wciąż obszar zmaskulinizowany i patriarchalny. W Stanach Zjednoczonych kobiety stanowią 36% osób pracujących na roli, w UE to jeszcze mniej, bo zaledwie 29%. Na takie statystyki wpływ mają starsze pokolenia, w których o kobietę na traktorze (nawet w państwach socjalistycznych) było trudniej niż dziś. Co więcej, trudno wierzyć im w całości – sporo

Osób, które chcą pracować na roli i mają ten luksus, że odziedziczyć gospodarstwo po rodzicach, jest coraz mniej.

jest produkcja 90% ryżu używanego do włoskiego risotta i spora część produkcji oliwy z oliwek. Krótko mówiąc, bogate kraje przypominają sobie, jak ważne jest rolnictwo produkujące na własny rynek.

Problem w tym, że lada moment może zabraknąć rolników. Według danych zebranych w tym roku przez National Young Farmers Coalition, organizację zrzeszającą młodych amerykańskich farmerów, aż 45% z nich deklaruje poważne problemy ze znalezieniem ziemi odpowiedniej jakości. Jeszcze więcej, bo 59%, mówi, że nie stać ich na kupno takich działek. Nawet jeśli znajdą nadający się teren, nie mają szans na jego zakup. W najgorszej sytuacji są rolnicy z mniejszości etnicznych – aż 68% przyznało się do braku środków na zakup gospodarstwa. Przy czym nie chodzi tu o sięganie do własnego portfela. W Stanach Zjednoczonych istnieje specjalny system pożyczek federalnych na zakup gruntów rolnych. Jest on jednak bardzo skomplikowany, zaś decyzje o przyznaniu kredytu bywają arbitralne, a przynajmniej niejednolite. Jak zauważa Zach Ducheneaux, odpowiadający w Departamencie Rolnictwa za proces przyznawania środków na zakup ziemi, największym problemem są zabezpieczenia, które przyszli rolnicy muszą przedstawić, ubiegając się o kredyt. Nie różnią się one bowiem w żadnym stopniu od wymagań stawianych doświadczonym farmerom,

jeszcze później. Trzeba by pokonać niechęć Partii Republikańskiej, mocnej w stanach typowo rolniczych, takich jak Teksas, Nebraska czy Iowa. Wszędzie tam prawicowi kandydaci otrzymują spore dotacje kampanijne od koncernów spożywczych i rolniczych, którym oczywiście parcelacja gospodarstw i zwiększenie liczby małych, rodzinnych wręcz farm nie specjalnie byłoby na rękę.

Kiepski wizerunek rolnictwa plus dyskryminacja

Zegar tyka, bo według danych z ostatniego amerykańskiego spisu powszechnego średni wiek osoby pracującej w rolnictwie przekracza już 59 lat. Oznacza to, że większość

Jeszcze mniej jest tych, którzy do zawodu dopiero chcą wejść.

pracowników za kilka lat może być fizycznie niezdolna do wykonywania tego zawodu. Nowych chętnych brakuje z kilku powodów. Organizacja Practical Action, zajmująca się m.in. popularyzacją ekologicznego rolnictwa, wymienia ich pięć. Po pierwsze, rolnictwo kojarzone jest dzisiaj z biedą i zacofaniem. To zresztą problem nie tylko za oceanem, bo negatywny wizerunek producentów żywności utrzymuje się również w Europie. Na Starym Kontynencie, jak podaje Komisja Europejska,

kobiet deklarujących brak pracy zarobkowej lub „pracę w domu” tak naprawdę jest zatrudnionych w rolnictwie, bo na tym polegają ich codzienne obowiązki. Nie są za to po prostu wynagradzane, nie rozpatrują też tego w kategorii pracy, w przeciwieństwie do mężczyzn.

Ale faktycznie kobiet w rolnictwie jest bardzo mało. W pewien sposób problem ten łączy się z poprzednim zagadnieniem. Przekonanie, że praca na roli – coraz bardziej przecież zmechanizowana – wciąż wymaga ▶

► głównie dużej siły fizycznej, często stanowi barierę psychologiczną. Kobietom odradza się zakładanie gospodarstw, przekonując je, że sobie nie poradzą. Co gorsza, jak zauważają członkowie Practical Action, ta dyskryminacja zaczyna się już na poziomie edukacji rolniczej.

Kto nauczyć rolnictwa

I tu należy przejść do kolejnej przyczyny strukturalnej niedostatecznej liczby młodych na roli. Chodzi o brak dostępu do wiedzy. Edukacja rolnicza, zwłaszcza w Europie, wciąż klasyfikowana jest jako zawodowa, przez co w większości krajów jest niedoinwestowana. Brakuje szkół, sprzętu, instruktorów przedmiotów branżowych. Dawne akademie rolnicze także zmieniły profil, w większości nazywają się teraz uniwersytetami przyrodniczymi i rzadko kształcą autentycznych rolników. Nie mówiąc już o kwestii kosztów studiowania w dużych miastach, gdzie płacówki te się mieszczą.

Najłatwiej zdobywać wiedzę tym, którzy mogą się uczyć w praktyce, najczęściej od rodziców. Tych jednak jest coraz mniej, bo wskaźniki reprodukcji zawodu w kolejnych

pokoleniach maleją zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. W USA zaledwie 46% farmerów, którzy zaczynają przygodę z produkcją żywności, startuje z jakimkolwiek praktycznym doświadczeniem. Okazuje się więc, że nawet jeśli ktoś chce zostać rolnikiem i ma odpowiednie zaplecze finansowe, może nie być w stanie zrealizować tego celu, bo nie będzie miał jak przyuczyć się do zawodu.

Wreszcie problemem jest sam fakt, że rolnictwo zostało zredukowane do – no właśnie – czego? Produkcji żywności? Zajmowania się gospodarstwem? Dbania o ojcowiznę? Cokolwiek jest właściwą odpowiedzią na to pytanie, na pewno nie zawiera w sobie słowa „biznes”. A przecież na rolnictwie można zarobić, wymaga ono sporych inwestycji, obłożone jest biurokracją. Dokładnie tak jak start-up czy każde

większych nakładów „okołorolniczych”, chociażby marketingowych. Rynek zbytu jest mniej stabilny, bardziej złożony. Ale z pewnością ta metoda jest znacznie bardziej przyjazna środowisku naturalnemu.

Według badań zespołu prof. Adriana Foonga z niemieckiego Uniwersytetu w Koblencku emisje dwutlenku węgla generowane przez globalny handel żywnością pomiędzy 1987 a 2015 r. wzrosły o prawie połowę. Dzisiaj stanowią jedno z głównych – obok sektora budowlanego, turystyki i segmentu mody sieciowej, tzw. *fast fashion* – źródeł zanieczyszczenia powietrza. Skrócenie łańcucha dostaw żywności jest jednym z kluczowych elementów walki z katastrofą klimatyczną, nie tylko dla bogatej Północy, ale dla świata w ogóle. Żeby jednak to nastąpiło, farmy muszą się stać mikroprzedsiębiorstwami w całym tego słowa znaczeniu.

Rolnictwo ma opinię sektora mało atrakcyjnego, w którym nie da się zarobić wielkich pieniędzy.

inne prywatne przedsiębiorstwo. Prowadzenie własnego gospodarstwa wymaga zatem nie tylko umiejętności związanych z finansami i zarządzaniem, ale też patrzenia na swój podmiot jako element większej całości – krajowej czy nawet międzynarodowej gospodarki.

Zach Ducheneaux twierdzi zresztą, że to właśnie umieszczenie pojedynczych gospodarstw w większym łańcuchu produkcyjnym było i jest największym wyzwaniem dla zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego. Dobitnie pokazała to pandemia koronawirusa, kiedy niejednokrotnie półki w sklepach świeciły pustkami, choć w okolicy znajdowało się mnóstwo gospodarstw, które byłyby w stanie chociaż częściowo zaspokoić podstawowe potrzeby.

Łańcuch dostaw jednak się zamykał, również dlatego, że lokalni producenci nie sprzedają na lokalny rynek. Są często podwykonawcami wielkich koncernów, po części dlatego, że im się to opłaca, a po części, bo to po prostu najłatwiejsza opcja. Sprzedaż „po sąsiedzku” wymaga

W przeciwnym razie skazani będziemy wszyscy na import. A i tego wkrótce może zabraknąć, podobnie jak rąk do pracy na roli w krajach rozwijających się. Tu zmiana klimatu przeszkadza jeszcze bardziej. Według serwisu ProPublica katastrofy naturalne dewastujące obszary rolnicze są główną przyczyną migracji z Ameryki Centralnej do USA. Na przykład dwa następujące po sobie huragany pod koniec 2020 r. zniszczyły 80% powierzchni upraw rolnych w Hondurasie. Podobnie sytuacja wygląda w Afryce Subsaharyjskiej, gdzie według danych ONZ młodzi chcą być rolnikami (głównie ze względu na aż 30-procentowe bezrobocie i brak innych szans na karierę), ale nie ma dla nich ziemi. Nie tej, na którą ich stać, tylko tej, na której cokolwiek by wyrosło. I to chyba jest największy problem w całej dyskusji o rolnictwie. Zaczyna się ono od ziemi, a tej żyźnej jest coraz mniej. Na pustyni marchewek nie zasadzą nawet najmłodszy i najlepiej wykształceni rolnicy.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kiedy siadam do tego tekstu, nie wiem bardzo wielu rzeczy. Nie wiem, kto uszkodził gazociąg Nord Stream, nie wiem, w ilu ostatecznie miejscach, nie wiem, jakie to będzie miało konsekwencje dla sytuacji politycznej Europy, świata, ale wygląda na to, że bliżej jest do przekroczenia kolejnej groźnej granicy. Czy podmerskie eksplozje w dniu otwarcia innego gazociągu przywołują strzały do księcia Ferdynanda w Sarajewie w 1914 r.? W mojej głowie – owszem. Dla świata, nie tylko Europy, nadszła potem straszliwa 30-letnia wojna, dla szkolnego ułatwienia zwana I i II wojną światową. W tej kwestii niewiele albo jeszcze mniej mogę zrobić.

Nie wiem, kto dostanie literackiego Nobla, chociaż akurat na tę niezmienną naszego, globalnego, ludzkiego życia informację czekam, bo mam taki przywilej. Albo się zachwyję, jeśli znam twórczość nagrodzonej osoby, albo skrzywię, albo

pochodził z Polski, matka z Wiednia, a ojciec urodził się w Anglii: „Zachowuję wobec nacjonalizmu szczególną postawę: nie znoszę go, nie ufam mu, nie aprobuję go i boję się wszystkich jego przejawów, lecz dostrzegam drżącą w nim ogromną moc, którą – w miarę możliwości – należy okiełznać dla postępu”. Z podziwem czytam o jego rozumieniu misji historyka jako zawodu. Kiedyś myślał, że w przeciwieństwie do architektów i inżynierów budowlanych historycy nie są w stanie powodować katastrof. Z czasem uznał, że historia w rękach nacjonalistów może zabić więcej ludzi niż nieudolni budowniczowie. „Historycy są dla nacjonalizmu tym, czym hodowcy maku dla heroinistów, dostarczają na rynek niezbędny surowiec”. Nacjonalizm w drugiej dekadzie XXI w., wbrew przewidywaniom i nadziejom, świętuje swoje zwycięstwa, czy to wyborcze (Polska, Węgry, Włochy, Francja), czy niestety,

Potężne, niewidzialne potwory

zaciekawie. Tak czy owak, świat bez tej nagrody przetrwa. Nie wiem także, kto zostanie uhonorowany nagrodą Nike, akurat tegoroczny skład finałowych książek zaciekawia i intryguje. Między „Baumanem” Domostawskiego a „Chamstwem” Półbłockiego, między powieściami „Rozpływaj się” Anny Cieplak, „Pulverkopf” Edwarda Pasewicza oraz „Golem” Macieja Płazy a wierszami Jerzego Jarniewicza z „Mondo cane” trwa niewidoczna rozmowa. I jeszcze odkrywczą epopeję historyczną „Oni. Homoseksualiści w czasie II wojny światowej” Joanny Ostrowskiej. Śledzę te „nie-zmagania” z poczuciem wybrania i luksusu. Kiedy ten felieton się ukaze – już będziemy wiedzieli, niektórzy z nas. Wolałbym, żeby było nas więcej, ale nie bardzo na to liczę.

Nie wiem też, czy Jarosławowi Kaczyńskiemu zrobiło się smutno, przykro czy irytująco, kiedy dowiedział się, że został ukarany przez komisję etyki poselskiej za swoje obraźliwe wypowiedzi o osobach transpłciowych. I nawet nie wiem, czy trochę się wstydzę, pisząc, że to raczej po nim spłynie.

Nie wiem, w jakim miejscu politycznej odnowy i odbudowy konstytucyjnego systemu europejskiego państwa jest Jarosław „koniunkturalizm” Gowin.

Nie wiem, jakie straty spowoduje huragan Ian w USA, nie wiem, kiedy rakieta SLS polecą na Księżyc, gdy w ostatniej chwili udało się ją odholować do hangaru przed potężnym wiatrem. Nie wiem, kiedy i czy w ogóle zrozumiemy, że ten wiatr już nie przestanie wiać.

Krążę wokół tych pozornie bez połączenia kwestii, bo będę debatował o nacjonalizmie i humanizmie podczas krakowskich Dni Świeckości. Wobec nacjonalizmów żywię, ogłędnie mówiąc, uczucia skrajnie niechętnie, odnajduję się w słowach brytyjskiego historyka Erica Hobsbawma, którego dziadek

co wydaje się bardziej niepokojące, opiniotwórcze i światopoglądowe. Chwilami uświadamiam sobie, że tym, co mnie najbardziej niepokoi we współczesnej Polsce, jest wszechobecna niewidzialność nacjonalizmu. Stał się niemal przezroczysty jak powietrze, oddychamy nim, nie zdając sobie sprawy, że to on – potwór ludzkiego umysłu i kultury europejskiej. Wydaje się nawet chwilami przereklamowany ostrzeżeniami. Tak nie jest. Jego codzienna niezauważalność jest wyższym etapem obecności. To trochę tak, jakby zawartość azotu w powietrzu niezauważalnie się zwiększała, wypierając życiodajny tlen. I w pewnym momencie taka mieszanina zabija. Tak działają kapsuły do eutanazji.

Nacjonalizm w rozmaitych swoich odsłonach sprawił, że wiek XX był stuleciem wojny, zagłady, ludobójstwa. Remedium miało być uniwersalne panowanie praw człowieka, zasad równości, dbałość o godność i dobrostan jak największych grup ludzkich. Te reguły utraciły moc przekonywania, mobilizowania, organizowania solidarności. Lepszego, bezpiecznego i pokojowego życia. Świat żegna się z nimi po cichu, przytłoczony złudnym powabem drugiego potwora – kapitalizmu, filozofii nieograniczonego wzrostu i dominacji zysku. I chętnie okrasza to jeszcze religijną mgłą.

A Sebastian Kulczyk sprzedaje za 500 mln zł jacht swojego taty, z bogactwa powstałego po uwłaszczeniu się na majątku, nomen omen, „narodowym”.

A kobiety w Iranie własną krwią, życiem, wolnością walczą z religijnym szaleństwem opresyjnego islamskiego patriarchy.

Nie wiem, czy damy radę odeprzeć władzę tej globalnej triady: nacjonalizmu, kapitalizmu i ich religijno-patriarchalnej legitymizacji. Ale inaczej – zginiemy. I dlatego wierzę, że zdołamy.

Turcja nowym centrum handlu kokainą

Organy ścigania konfiskują rekordowe ilości narkotyków przewożonych z Ameryki Południowej

Tomasz Skowronek

Pod koniec lipca na Morzu Egejskim, nieopodal Bodrum, miejscowości wypoczynkowej na Riwierze Egejskiej, straż przybrzeżna zauważyła podejrzany luksusowy jacht pod banderą USA. Gdy jednostka zignorowała prośbę o zatrzymanie się i zaczęła uciekać w stronę greckich wód terytorialnych, tureckie służby rozpoczęły pościg. Załoga jachtu miała powód do ucieczki – służby skonfiskowały 84 kg kokainy z Ameryki Południowej i zatrzymały cztery osoby.

Miesiąc wcześniej ekwadorska policja skonfiskowała 850 kg kokainy, ukryte wśród bananów. Z kolei 6 lipca br. również ekwadorskie służby udaremniły wysyłkę 158 kg kokainy z Guayaquil do Europy. Oba transporty miały trafić do tureckich portów. Turecka straż przybrzeżna co jakiś czas zatrzymuje kontenery z ekwadorskiego portu bądź jachty przewożące biały proszek. Opisane przypadki to tylko wierzchołek góry lodowej, ponieważ turecka przestępczość zorganizowana, wiodąca prym w handlu heroiną w Europie, coraz częściej sięga po kokainę, na której można zarobić jeszcze więcej.

Już na początku XXI w. nad Bosforem skonfiskowano setki kilogramów kokainy. Według Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC) Turcja coraz bardziej angażuje się w światowy handel kokainą. W latach 2014-2020 ilość skonfiskowanej kokainy w tym kraju wzrosła prawie pięciokrotnie; w samym 2020 r. przechwycono ok. 2 ton.

Jak alarmuje raport organizacji InSight Crime, krajowe i zagraniczne organy ścigania konfiskują rekordowe ilości kokainy przewożonej z Ameryki Południowej do Turcji,



Turecka policja udaremniła przemyt 615 kg kokainy. Mersin, luty 2019 r.

ujawniając przy tym rosnącą rolę przemytników z tego kraju w transporcie narkotyków na rynki Europy i Bliskiego Wschodu. I chociaż tureckie gangi nadal są drugorzędnymi graczami na Starym Kontynencie w porównaniu z mafiami włoskimi i albańskimi, przejmują pierwsze miejsce w zaopatrywaniu mniejszych, ale rozwijających się rynków kokainy.

Już w latach 60. XX w. Turcy zdominowali światowy handel heroiną, tworząc rozległe sieci korupcji w kraju i w całej Europie. Z kolei w latach 80. tureccy narkohandlarze transportowali opium z Afganistanu i Iranu trasami lądowymi przez Bałkany do Europy. Czasami współpracowali z albańskimi klanami, innym razem przemycali towar przez Rumunię lub Mołdawię, przekazując narkotyki rosyjskim mafiom. Często korzystali z kanałów morskich, aby wysłać heroinę do portów w Antwerpii i Rotterdamie. Również w latach 80. tureccy gangsterzy zetknęli się z handlem kokainą w Hiszpanii, gdzie

nawiązywali kontakty z pierwszym pokoleniem kolumbijskich i galisyjskich baronów kokainowych.

Cengiz Erdinç, turecki dziennikarz śledczy zajmujący się narkohandlem, uważa, że Turcy mieli kontakty, infrastrukturę, doświadczenie i siłę polityczną, by przemycać cokolwiek. „Był to związek oparty na wymianie droższej wówczas heroiny na kokainę – wyjaśnia. – W latach 90. zamieniano 25 kg kokainy na 1 kg heroiny”. Tureccy przestępcy zaczęli wykorzystywać hiszpańskie kontakty, jednocześnie przy wymianie większej ilości heroiny posiłkując się Antwerpią i Rotterdamem jako rozkwitającymi centrami kokainowymi. Wysiłki Turków mające na celu zabezpieczenie dostaw kokainy zostały wzmocnione dzięki współpracy z handlarzem narkotyków z Galicji, znanym jako Sito Minaño.

W XXI w. tureccy mafiosi i „biznesmeni” nawiązali natomiast szersze kontakty z meksykańskimi i kolumbijskimi kartelami. Są także obecni w wielu krajach

latynoamerykańskich. Relacje polityczne i gospodarcze między Turcją a Ameryką Łacińską wzmocniły się w ostatnich dwóch dekadach. Firmy tureckie coraz więcej inwestują na tamtym kontynencie – np. Yilport zarządza terminalami w Puerto Bolívar (Ekwador) i Paicie (Peru), co tylko ułatwia handel narkotykami.

Głośnym echem w mediach odbiło się zatrzymanie w Brazylii tureckiego odrzutowca pełnego kokainy. Incydent ten pokazał rosnącą rolę Turcji w światowym handlu narkotykami. 4 sierpnia 2021 r. w mieście Fortaleza brazylijska policja federalna weszła na pokład samolotu zarejestrowanego w stambulskiej firmie czarterowej ACM Air. Prywatny odrzutowiec przewoził jednego pasażera pochodzenia belgijsko-hispańskiego, czterech tureckich członków załogi oraz 24 walizki z 1,3 tony kokainy o wartości rynkowej 45,6 mln euro. Materiały z nalotu były emitowane przez media w Ameryce Południowej, a także w Hiszpanii, Belgii i Turcji oraz udostępniane w mediach społecznościowych. Smaczku tej historii dodaje fakt, że odrzutowiec pełen narkotyków kiedyś należał do tureckich władz – był to samolot, którym prezydent Recep Tayyip Erdoğan został przetransportowany w bezpieczne miejsce podczas zamachu stanu w 2016 r.

Antoine Vella, badacz z UNODC, potwierdza, że tureccy handlarze mają coraz większy udział w europejskim rynku kokainy: „Jest ona przemycana do Turcji za pośrednictwem zarówno kurierów lotniczych, jak i przesyłek morskich. Kurierzy lotniczy często korzystają z lotniska w Stambule i mogą podróżować nie tylko z Ameryki Południowej, ale i z Afryki. Ostatni wzrost jest prawdopodobnie spowodowany transportami morskimi”.

Tureckie gangi zainteresowały branżę kokainową ze względu na ich doświadczenie morskie, rosnący popyt na kokainę w słabo zaopatrzonych częściach Europy Wschodniej i na Bliskim Wschodzie oraz powiązań tureckich przestępców – w tym organizacji terrorystycznej Szare Wilki – z kartelami w Ameryce Łacińskiej. W rezultacie tureccy handlarze

stali się kluczowymi dostawcami kokainy z Ameryki Południowej na wschodzące rynki. Narkohandlarze z Ameryki wysyłają ok. 60-70% swojego towaru do Zatoki Perskiej, a 30% na Bałkany, Kaukaz oraz do Rosji.

Jak zauważa portal Atalayar, kokaina z Ameryki Południowej trafia do tureckiego portu w Izmirze, tam jest przeładowywana na jachty. Następnie płynie do Tureckiej Republiki Cypru Północnego, a dokładnie do Famagusty, gdzie jest rozładowywana i przechowywana w magazynach sieci hoteli Grand Yazici. Z terytorium Cypru Północnego transportowana jest prywatnymi jachtami do syryjskiego portu Latakia, a tam dzielona na małe pakunki. Część przeznaczona jest do sprzedaży na terenie Syrii, reszta jedzie do Iranu, Arabii Saudyjskiej, Bahrajnu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Iraku, Kataru czy Jordanii. Jednym z najbardziej dochodowych rynków, wręcz najdroższym rynkiem kokainy

kilku synów ministrów, którzy na tym interesie zarobili miliardy, przede wszystkim płacąc łapówki członkom rządu. Syn Erdoğana, Bilal, także znalazł się na celowniku.

„Turecka policja wykonała świetną robotę w walce z korupcją – uważa Cengiz Erdiñç i dodaje: – Sytuacja w Turcji zmieniła się diametralnie od 2010 r. W tym czasie kraj robił się coraz bardziej autorytarny. Członkowie rządu lub ich krewni najwyraźniej również byli zaangażowani w transakcje narkotykowe, tak jak Erkam Yıldırım, syn ówczesnego premiera Binaliego Yıldırma. Były szef mafii Sedat Peker, który uciekł, ujawnił na jednym z filmików, że Erkam Yıldırım podróżował do Ameryki Południowej w 2020 i 2021 r., aby organizować transporty kokainowe z Kolumbii i Wenezueli”.

Podobnego zdania jest Murat Çetiner, były szef wydziału bezpieczeństwa policji w mieście Diyarbakır: „W tamtych czasach zwolniono nie tylko dziesiątki tysięcy policjantów.

Turcy mieli kontakty, infrastrukturę, doświadczenie i siłę polityczną, by przemycać cokolwiek.

na świecie, jest właśnie Zatoka Perska. Chodzi przede wszystkim o Arabię Saudyjską i ZEA, a tu o rosnące kryminalne „centrum” – Dubaj. W Arabii Saudyjskiej 1 g kokainy kosztuje bowiem aż 500 dol., czyli ok. 10 razy więcej niż w Londynie.

Często jachty, magazyny i hotele, gdzie ukrywana jest kokaina, należą do tureckich „biznesmenów”, powiązanych z mafią, a nawet z politykami. „Ekspansja handlu kokainą w Turcji wynika w dużej mierze z zaangażowania władz: policji, służb celnych, prokuratorów, sędziów i wojska, utrzymujących system korupcji instytucjonalnej”, twierdzi Cengiz Erdiñç. Dziennikarz wyjaśnia, że Turcja stała się centrum narkotykowym m.in. dlatego, że tysiące policjantów zostało zwolnionych przez prezydenta Erdoğana, zwłaszcza po skandalu korupcyjnym w 2013 r. Śledczy aresztowali wówczas dziesiątki biznesmanów powiązanych z otoczeniem głowy państwa, w tym

Doszło do czystek we wszystkich obszarach państwa”. Kraj się zmienił od czasu owych czystek. „Wyniki gospodarcze pogarszają się, wzrasta liczba morderstw kobiet i sytuacja w zakresie praw człowieka się pogarsza”, wylicza Çetiner, który w 2014 r. został zwolniony, a następnie aresztowany. Prowadził bowiem śledztwo w sprawie organizacji terrorystycznej Selam Tevhid. Mówi się, że ma ona powiązania z tureckimi tajnymi służbami MIT.

Tymczasem turecki minister spraw wewnętrznych Süleyman Soylu lubi się chwalić sukcesami służb, gdy te zatrzymują przemytników: „Przejmowanie narkotyków to jeden z najlepszych sposobów odcinania środków mafii i terroryzmowi”. Niestety, jak podaje madrycki dziennik „El País”, na całym świecie wykrywane jest 10-20% dostaw kokainy. W Turcji, gdzie utrzymuje się system korupcji instytucjonalnej, może to być jeszcze mniej. ■

POTRÓJNA KLĘSKA

**Tyle lat wojny przetrwać cało i bez uszczerbku,
a teraz u brzegu taka straszliwa katastrofa,
i to dzięki nieopatrznej decyzji ambitnych wojskowych**

W dniach obchodów kolejnej rocznicy upadku powstania warszawskiego, określanego w polityce historycznej prawicy i IPN jako moralne zwycięstwo, nie da się zrywu warszawiaków nazwać inaczej niż potrójną klęską. Polityczną, militarną, ale przede wszystkim ludzką!

Od wielu już lat podczas uroczystości upamiętniających powstanie rzadko mówi się o jego bilansie. A jest on przerażający. W czasie powstania zginęło ok. 180 tys. cywilów i ok. 2 tys. powstańców. Po stronie niemieckiej zginęło 1570 żołnierzy, a prawie 5 tys. zostało rannych. To są dane z meldunku gen. Ericha von dem Bacha, wysłanego 5 października 1944 r. do Himmlera. Niektórzy historycy piszą, że ofiar cywilnych było mniej, od 120 tys. do 150 tys., ale znając skrupulatność Niemców, trzeba ich dane uznać za wiarygodne.

Na to, co Niemcy zgotowali warszawiakom, jest tylko jedno określenie – ludobójstwo. Było ono dokładną realizacją rozkazów Hitlera i Himmlera. Ten pierwszy na wieść o wybuchu powstania wydał rozkaz zniszczenia stolicy Polski i wymordowania jej ludności. Himmler natomiast przekazał ten rozkaz niemieckim dowódcom w Warszawie w sposób niepozostawiający wątpliwości, co trzeba zrobić z warszawiakami i ich miastem: „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”.

Niemieckie szwadrony śmierci dokonywały mordów na cywilach, wyciągając z mieszkań całe rodziny, od starców po niemowlęta. Zabijano, nie oszczędzając nikogo, dom po domu, ulica po ulicy, szczególnie 5 i 6 sierpnia 1944 r. Po rozstrzelaniach palono domy, nierzadko wraz z żywymi ludźmi, nie pozwalając im opuścić budynków. Na Woli zamordowano w różny sposób ok. 50 tys. osób,

często umierały one w męczarniach. Eksterminacją kierował SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth. Nigdy za to nie został ukarany, po wojnie był burmistrzem kurortu Westerland na wyspie Sylt w Szlezwiku-Holsztynie, posłem do Landtagu.

W obecnej polityce historycznej nie podnosi się stosunku warszawiaków do powstania. Warto więc zapoznać się z dziennikiem Antoniego Mieczkowskiego i raportem mjr. Tadeusza Wardej-Zagórskiego „Gromskiego” adresowanym do szefa Biura Informacji i Propagandy KG AK płk. Jana Rzepeckiego „Sędziego”.

Dokumenty pochodzą z wydanego przez PRZEGLĄD pięcioksięgu „Zakłamaną historią powstania”.

Paweł Dybicz

**19 sierpnia
Godz. 19.15**

(...) Cała ta katastrofa wywołana niefortunnym porywem „kilka dni za wczesnym”, jak łagodnie piszą angielskie pisma. Musi być taki pogląd wśród ogółu ludności, bo dzisiejsza ścienna gazetka wojskowa „Warszawa Walczy” zwalcza piwniczny defetyzm i usprawiedliwia wybuch powstania przewidzianymi zarządzeniami władz niemieckich zabrania z Warszawy 100 tys. mężczyzn na roboty za pomocą łapanek i blokad, zniszczenia elektrowni, gazowni, fabryk itd.

Jeżeli chodzi o zniszczenia, to nawet jednej trzeciej obecnych zniszczeń by nie było. A z tymi mężczyznami, to w obecnej sytuacji Niemców brzmi to mocno nieprawdopodobnie – 100 tys. ludzi to co najmniej 2 tys. wagonów, do wyłapywania tych ludzi trzeba by co najmniej dywizji wojska czy SS.

A zresztą – od czego dyplomacja? Niemcy dobrze wiedzieli o istnieniu Armii Krajowej i panicznie bali się

powstania. Postawienie im ultimatum, iż w razie zabierania ludzi i niszczenia miasta będzie powstanie, a jak będą grzeczni, damy im wyjść spokojnie, miałyby prawdopodobnie skutec. Armia nasza, jako *army in being* (ang. armia na papierze), byłaby dla nich bodaj groźniejszą niż po wkroczeniu do akcji, czym obnażyła swoją zbrojeniową nędzę.

Zresztą mogła być w pogotowiu i w razie wrogich wystąpień Niemców uderzyć na nich. Ale przecież ostatnie tygodnie lipca to była niemal idylla w Warszawie. Niemcy wiali bez bagaży, żadnych łapanek nie było, aresztowania osłabły, nasi też dali spokój zamachom. Hasło dnia było: „Stać nas na to, aby ich nie wypuścić”. Wygląda to raczej na to, że nasi dali się sprowokować elementom bojowym, a naszym, może chcącym się popisać swą pracą i wyszkoleniem, może w ten dziecinny sposób wpłynąć na moskiewskie pertraktacje?

**3 września
Godz. 17.30**

Coraz gorszy pesymizm nas ogarnia; sytuacja Warszawy wprost potworna. Z dzisiejszego „Robotnika”, gdzie pierwszy raz opisany był nasz odcinek jako „Drogi Powiśle”, wiadać, że jak dotychczas jesteśmy bodaj w najlepszej sytuacji z całej Warszawy.

Przychodząc z piwnic i schronów zadymionego Śródmieścia, oddycha się tu pełną pierśią – przestrzeń, zieleń, Wisła, działki z pomidorami. A to Śródmieście wydaje się znowu przybyszowi ze Starego Miasta razem w porównaniu z tym, co oni tam przeżywali.

Ludzie tak stłoczeni w podziemiach i schronach, jak w tramwaju



– nawet usiąść trudno! I w tych warunkach trwać całymi tygodniami – przecież to męczarnie nie do opisania! A na zakończenie wszystkiego oddziały nasze musiały się jednak z ruin Starówki wycofać, zabierając „część ludności”, czyli że przypuszczalnie prawie wszyscy zostali na łup Niemcom i w najlepszym razie czeka ich Pruszków i roboty! I po to takie straszne ofiary, zupełne zniszczenie wszystkich wielowiekowych pamiątek, nawet Kolumna Zygmunta runęła – symbol tragicznego upadku Warszawy!

A wszystko dlatego, żeby przez parę tygodni blokować Niemcom drogę przez most Kierbedzia na zachód i północ – drogę niezbędną dla ich odwrotu! I za tę złośliwość, która zresztą Rosjanom niewiele pomogła, zapłacono tak straszną cenę. Teraz zaś, po upadku Starego Miasta, Niemcy zabiorą się kolejno do innych dzielnic. Całe rano dzisiaj,

aż do spadnięcia deszczu, krążyły co godzinę samoloty nad miastem i waliły bombę za bombą. (...)

Szansa przetrzymania przez nas cało tej awantury zmniejsza się z każdym dniem. Tyle lat wojny przetrwać cało i bez uszczerbku, a teraz u brzegu taka straszliwa katastrofa, i to dzięki nieopatrznej decyzji ambitnych wojskowych i polityków! Przecież zupełnie wyraźnie powstanie miało nie tylko dokuczyć Niemcom, ale i zmanifestować wobec Sowietów naszą niezależność im na złość, więc skąd teraz pretensje i niewczesne żale na brak pomocy?

Informacja oficera łącznikowego przy KG mjr. „Gromskiego” dla „Sędziego” z 22 VIII 1944 r.

Z polecenia Generała¹ piszę w sprawie odmiany pewnych akcentów naszej propagandy, która

Powstanie przyniosło śmierć setkom tysięcy warszawiaków i zniszczenie 85% budynków lewobrzeżnej części stolicy.

musi być oparta o spostrzeżenia wysunięte w meldunkach informatorów II-ki².

Podaję tekst tych spostrzeżeń:

(„Hipolit”³): „Przedłużenie się okresu walki powoduje powoli, lecz systematycznie przyptyw elementu rozumowania w ocenie sytuacji i w związku z tym w zachowaniu się ludności. Entuzjazm okresu początkowego zaczyna być n i e j e d y n y m czynnikiem. Czas powoduje u poważnego odłamu społeczeństwa nawrót do analizy podstaw i przyczyn wybuchu [powstania], każąc poważnie zastanowić się nad możliwościami wyjścia z sytuacji”.

„Koniunktura w związku z pewnością przyjscia bolszewików jest ►

► również czynnikiem, który powoduje zmiany w rozumowaniu społeczeństwa". „Zasada wymyślania na Sowietów z równoczesnym żarliwym oczekiwaniem ich przyścia jako jedyne wyjście z walki zawiera w sobie pewną wewnętrzną sprzeczność. Sytuacja ta jest sprytnie wykorzystywana przez tych, którzy przygotowują się do współpracy z bolszewikami (PAL i AL)".

(„Hipolit”) z dnia 20 VIII 44 r.: „Nastroje społeczeństwa uległy ostatnio pogorszeniu. Wpływa na to przedłużanie się akcji, wyczerpanie żywności, duże ilości spalonych domów i wędrowni pogorzalców”.

„Dużą podporę znajdują czynniki PPR w dużej rzeszy nowego proletariatu, utworzonego z ludzi, którzy utracili wszystko mienie i dach nad głową. Ludzie ci będą podatni na hasła obiecujące podział majątku posiadaczów⁴, będąc przy tym rozgoryczeni na »sprawców«⁵ ich nieszczęścia”.

Tyle było punktów zakreślonych w sprawozdaniach, które – mimo

żądania oddania ich na nasz użytek – polecono mi zwrócić (załączam po targach o ich wydanie – PS. „Gromski”).

Wyobrażam sobie, że chodzi tutaj o następujące postulaty:

1) Wy tłumaczyć ludziom, że gdyby Niemcy przygotowywali Warszawę do obrony, jak np. Tarnopol lub Kowel⁶, wtedy byliby zniszczyli wszystko, całe miasto, a ludność wypędziliby na zachód. Straty byłyby jeszcze większe zarówno w ludziach, jak i w majątku;

2) Należy złagodzić propagandę wobec bolszewików i wykazywać tylko najbardziej rażące ich kłamstwa i obłudy. Podkreślać, że walka o Warszawę dała już przed światem dowód praw naszych do samodzielności i samostanowienia, co byłoby potrzebne dla poparcia naszych postulatów. Wskazaliśmy też na dobrą wolę współpracy z Sowietami i raz jeszcze swe antyniemieckie stanowisko. Walkę w tym sensie wygraliśmy!

Przybycie bolszewików do Warszawy jest tylko „mechanicznym”

wyzwoleniem nas od Niemców, podczas gdy duchowo już wyzwoliliśmy się przez sam akt walki.

3) Starać się przez m a k s i m u m prawdy, bez bujania prasowego osiągnąć odgródzenie oddziałów wojskowych od defetystycznych nastrojów społeczeństwa starszego. Można tej młodzieży przypomnieć, jak od dawna wyrwała się do walki i nie chciała zrozumieć, że to nie będzie zadanie łatwe. Dziś – musi przetrwać i nie poddawać się nastrojom starszych.

„Gromski” mjr dypl.

¹ Bora-Komorowskiego.

² II Oddziału KG AK, wywiadu.

³ Bernard Michał Zakrzewski, szef Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu w Oddziale II KG AK.

⁴ Czegoś takiego nie zawierał program PPR.

⁵ Tych, którzy podjęli decyzję o powstaniu.

⁶ W okolicach tych miast i o nie same (zwłaszcza o Tarnopol) toczyły się zacięte walki, ale nic nie wiadomo, by w podobny sposób Niemcy mieli bronić Warszawy. Wydaje się, że Niemcy prawidłowo oceniali, że ACz będzie chciała zająć Warszawę poprzez okrążenie. Co też nastąpiło.

Książki
PRZEGLĄDU

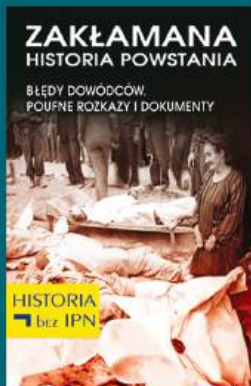
DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

5 tomów w pakiecie ~~210 zł~~ 140 zł



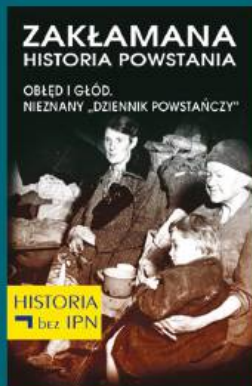
~~41 zł~~ 31 zł

Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów



~~42 zł~~ 32 zł

Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty



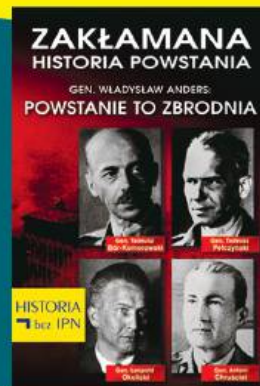
~~40 zł~~ 30 zł

Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy”



~~44 zł~~ 34 zł

Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą



~~43 zł~~ 33 zł

Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

KURIER
GRATIS

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7.



Tytuły dostępne
jako **e-booki**
~~29,90 zł~~
9,90 zł

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Co to jest poezja

Przemyśl, hotel Accademia nad Sanem, kiedyś pusty, teraz pełen Ukraińców. Niegdyś hotel Gromady, brzydki, z lat 70. i nietknięty renowacją, ale wzruszają mnie takie miejsca, czuję się w nich młodszy. Trzy duże spotkania poetyckie na Zamku Przemyskim, jedno prowadzę. Spacer po Przemyśle, magiczne miasto na wzgórzach, nagromadzenie kościołów, są jak schody do nieba. Przyjechałem tu samochodem ze znajomymi poetami, miła podróż, w całości przegadana. Autostrady, trasy szybkiego ruchu, o ileż teraz łatwiej i szybciej się jedzie niż kiedyś. Pamiętam, jak jechałem samochodem kilkanaście lat temu, tłukąc się kiepskimi drogami. Był wtedy poeta Julek Kornhauser, w świetnej formie, nie wiedział, że za chwilę będzie miał wylew i zostanie sparaliżowany, a jego córka stanie się straszną żoną strasznego prezydenta strasznego PiS. Dwa lata temu piłem piwo z Adamem Zagajewskim na rynku, a jego już nie ma na zawsze.

Spotkanie z uczniami w dużej sali widowiskowej na zamku, prowadzę potem seminarium „Co to jest poezja”. Sam wymyśliłem ten temat, trudny i kłopotliwy. Poezja bowiem nie mieści się w definicji, w tym też jej niezwykłość. Ale powstał ciekawy wielogłos. Potem następny występ, czytanie wierszy...

I rozmowy w Sali Rycerskiej. Przyszła bliska mi G., dawno niewidziana przemysłanka, fotograficzka, rzeczoznawca sztuki, miała tu kiedyś na rynku sklepik ze starociami, który bardzo lubiłem. Mówi: „PiS to jest jak okupacja”. Słusznie mówi. Miły wiceprezydent miasta, rozmawiam z nim o fali uchodźców z Ukrainy, jak dzielnie miasto sobie poradziło z dramatem. On z kolei mówi: „Państwo nic nam nie pomogło, żadnej pomocy, żadnego pomysłu, ale Przemyśl stał się słynny w świecie z dobrego serca”. Stwierdza: „Obliczyliśmy, że musielibyśmy wydać 230 mln, by tak wypromować miasto, jak zrobiła to ta wojna”.

Wracając do poetyckiej dyskusji i próby definicji poezji, pamiętam, jak w 1994 r. prowadziłem w Sztokholmie spotkanie z Wisławą Szymborską. Ktoś z sali jak dziecko zapytał: „A co to jest poezja?”. Wisława okropnie się zmieszała i zdawała się bezradna. Wtedy przypominałem zabawny aforyzm Tuwima: „Znam się na poezji tyle, co ptak na ornitologii”. Rozpogodziła się, że jest zwolniona z odpowiedzi.

Jestem w Przemyśle, gdy pojawia się wiadomość, że jest mobilizacja w Rosji. Chociaż jestem pesymistą, nie spodziewałem się i zmroziło mnie to. Niedźwiedź jest ranny, niedźwiedź się ciska, niebezpieczny dla całego

świata, tak mi żal ludzi, którzy będą ginąć po obu stronach frontu, to będzie trwać latami. Równolegle jak mały wrzód wiadomość, że Antoni Macierewicz został odznaczony Orderem Orła Białego. Kłamca smoleński, snujący obłąkane teorie, człowiek, który ma wielkie zasługi w tym, że Polska na pokolenia podzieliła się na dwa wrogie sobie plemiona. A prezydent Duda stoi naprzeciw z okrągłym jak księżyc w pełni, wzruszonym obliczem. Odznaczony też został Mirek Chojecki, kolega z podziemia wydawniczego z lat 70., twórca oficyny NOWA. Zastąpił, ale nie wypada, Mirku, przyjmować orła czy nawet wróbla w takim towarzystwie, od takich ludzi. Co się z nami porobiło? To przecież nie było dla odznaczeń, a teraz próżność górą. Po latach dobrze widać, jak skomplikowane bywają motywy heroicznej postawy, jak wiele za tym stało próżności. I że ofiarom często bliżej do oprawców, niż to się zdaje.

Znam kilku przedsiębiorców, wszyscy borykają się z tym samym problemem. To nie tylko podniesienie płacy minimalnej, nowe opłaty za prąd i gaz. Mój znajomy ma firmę, kryją dachy papą, mówi mi: „Nie ma ludzi do

Po latach dobrze widać, jak skomplikowane bywają motywy heroicznej postawy, jak wiele za tym stało próżności.

pracy, do podaj, przynieś. A płacę 400 zł dniówki. I nie ma chętnych”. A Jacek Sasin chce, by firmy zatrudniające powyżej 250 pracowników zapłaciły 50-procentowy podatek od nadzwyczajnych zysków. A więc łupimy bogatych. Będą zwalniać pracowników, nie będą inwestować. Więcej strat niż zysków.

Skrajna prawica wygrała wybory we Włoszech, Giorgia Meloni stworzy rząd z Salviniem i z Berlusconiem, który ma głowę manekina po operacjach plastycznych. Straszni ludzie. Nie tylko w Polsce lud zwariował, że na takich głosuje. A PiS świętuje. Włochy przypominają nam, że mamy kryzys zachodniej demokracji, nie jest on wymyślony, jest realny. Przyczyny są złożone. Ludzie przestali wierzyć, że cokolwiek od nich zależy, więc głosują na skrajności, w nadziei, że odzyskają głos. Plus szybkość zmian cywilizacyjnych, a też imigranci i lęk przed obcymi. Naiwna jest radość radykałów, że inni radykałowie w pobliżu dochodzą do głosu. Radykałowie, jak drapieżniki, prędzej czy później rzucają się sobie do gardeł. Z czego tu się cieszyć?



Rosyjskie czołgi porzucone w marcu w Ukrainie.

Modlitwa o deszcz i błoto

Wojny mają swoje uniwersalne reguły

Marcin Ogdowski

Początek 1807 r. przyniósł woj-
skom Napoleona pchniętym na
polskie ziemie wytchnienie. Cesarz
ogłosił pauzę operacyjną i posłał
żołnierzy na zimowe kwatery. Innego
wyjścia nie miał – umęczeni wiaru-
si niespecjalnie już nadawali się do
walki. Za nimi były nie tylko liczne
bitwy i potyczki z Rosjanami, ale też
nie mniej wyczerpujące zmagania
z... błotem. Francja już w tamtym
czasie mogła się pochwalić gęstą
siecią utwardzonych dróg, więc fran-
cuscy żołnierze nie byli przygotowani
na realia komunikacyjne dawnej
Rzeczypospolitej. W przerażającym
błocie tonęły przede wszystkim
działa, których zabrakło np. pod
Gołyminem, gdzie armia Bonapar-
tego starła się z siłami księcia Goli-
cyna. Rosjanie, choć pobici, zdołali
umknąć – w innych okolicznościach
przyrody najpewniej zostaliby zdzie-
siątkowani ogniem artyleryjskim.
Zapewne nikt ze współczesnych nie
przewidywał wtedy, że błotne za-
pasy to zaledwie przedsmak piekła,
jakie czeka cesarską Wielką Armię

w kampanii rosyjskiej w 1812 r. Kam-
panii – głównie przez błoto i mróz –
sromotnie przegranej.

Bitewne rozlewisko

Jeśli chodzi z kolei o zmagania
z lat 1914-1918, to zachodniocen-
tryczna wizja zdominowała ich po-
toczne postrzeganie. Nawet w na-
szej części Europy I wojna światowa
to nade wszystko okopowa rzeź na
polach Flandrii, w błotnym entoura-
ge'u, odpowiedzialnym za wysoce
śmiercionośne warunki sanitarne.
Ale przecież i na froncie wschod-
nim maź zatruwała żołnierzom życie.
W zapiskach dokumentujących szlaki
bojowe niemieckich i austro-węgier-
skich pułków wielokrotnie wspomina
się o błocie (niekiedy, w zależności
od rejonu działań, towarzyszy te-
mu przymiotnik „polskie”). Hamo-
wało one ofensywę na Warszawę
z wczesnej jesieni 1914 r., solidnie
krzyżowało szyki podczas zmagañ
nad jeziorami mazurskimi w lutym
1915 r. Wówczas to gwałtowna od-
wilż i rześiste deszcze przemieniły
pole bitwy w rozlewisko, a szlaki
komunikacyjne w bagna i potoki.

A potem przyszedł mróz, skuwając
wszystko lodem. Rosjanom utrudnił
ucieczkę, nie tak skutecznie jednak,
jak Niemcom pościg.

Pomni tych doświadczeń dowód-
cy Wehrmachtu kampanię w Polsce
zaplanowali na późne lato 1939 r.
Suchy wrzesień nie zawiódł ich ocze-
kiwań, pomagając w przeprowadza-
niu błyskawicznych uderzeń. Dwa
lata później ów czynnik pogodowy
wzięto pod uwagę, planując ope-
rację Barbarossa. Przewidywano,
że im dalej na wschód, tym gorsze
drogi, czyli większe problemy. Wie-
lu amatorów historii podziela dziś
mylne przekonanie, że niemiec-
ki atak na ZSRR został opóźniony
o kilka tygodni z uwagi na nieplano-
wane wcześniej zaangażowanie sił
zbrojnych III Rzeszy na Bałkanach
(co miało zadecydować o klęsce
Niemców pod Moskwą, do której
najeźdźcy dotarli za późno). Tym-
czasem jeszcze na początku czerwca
1941 r. rozległe obszary Rosji, Bia-
łorusi i Ukrainy z powodu deszczu
tonęły w błocie, w którym utknęłyby
nie tylko zmotoryzowane oddzia-
ły uderzeniowe armii niemieckiej,
ale i jej wciąż oparta na transporcie

konnym logistyka. Wiedział o tym Hitler, wiedzieli jego generałowie, stąd końcówka czerwca świadomie wybrana jako moment ataku. I stąd podjęcie kolejnej operacji zaczepnej dopiero w lipcu następnego roku.

Czterech jeźdźców

W języku rosyjskim warunki pogodowe sprzyjające powstawaniu błota doczekały się własnej nazwy: *rasputica*. To swoisty dowód uznania dla skutków rasputicy. Doniosłość jej znaczenia militarnego jest odczuwalna raz na jakiś czas, na co dzień to po prostu paskudna niedo- godność rzutująca na życie milionów ludzi. W ZSRR zjawisko to odcinało od świata ok. 40% wiosek w europejskiej części kraju. Potężne imperium nie było w stanie zbudować przyzwoitej sieci dróg, w związku z czym dwa razy do roku gruntowe w większości szlaki stawały się trudno- lub w ogóle nieprzejezdne. Po rozpadzie ZSRR sytuacja nie zmieniła się w istotny sposób – *rasputica* nadal dokucza Rosjanom, Ukraincom i Białorusinom. Ta jesienią, wywołana intensywnymi opadami deszczu, rozpoczyna się w połowie października, kończy miesiąc później wraz z pierwszymi mrozami, kiedy wilgotna ziemia zamara na głębokość metra. Podczas roztopów następuje *rasputica* wiosenna, groźniejsza z powodu wody uwięzionej w glebie. Jej wytopienie rozmiękcza grunt, co prowadzi do powstania grząskiego błota, głębokiego nawet na kilkadziesiąt centymetrów.

W marcu tego roku w takim błocie utopiło się mnóstwo rosyjskich czołgów, biorących udział w inwazji na Ukrainę. Świat obiegły wówczas zdjęcia porzuconych wozów, będące kolejnym dowodem fatalnego planowania w rosyjskiej armii. *Rasputica* nie powinna była zaskoczyć Rosjan – żyją z nią od wieków. Generałowie z Moskwy doskonale też wiedzieli, że na obszarze między Ukrainą a Białorusią dominują bagna i mokradła. I że podczas odwilży teren ten będzie nieprzejezdny. Jeśli chcieli zacząć wojnę zimą, należało to zrobić do połowy lutego, podczas największych mrozów. Atak tymczasem

nastąpił kilkanaście dni później, na najbardziej priorytetowym kierunku, akurat przez „królestwo rasputicy”. Media ochrzciły ją wtedy mianem „jednego z czterech jeźdźców armii ukraińskiej”, obok pocisków Javelin i Stinger oraz platform społeczno-ściowych (gdzie Ukraińcy toczą skuteczną wojnę informacyjną).

Rasputica obnażyła jeszcze inną słabość rosyjskiego wojska – fakt, że korzysta ono z kiepskiej jakości ogumienia. Przekłada się to na poważne kłopoty z transportem i logistyką – tym większe, im gorsza pogoda. W czasach radzieckich przemysł oponiarski produkował solidne opony, sprawdzające się w każdych warunkach atmosferycznych. Ale to już pieśń przeszłości, także z powodu sankcji gospodarczych, uniemożliwiających Rosji import niezbędnych narzędzi i komponentów do produkcji. W praktyce oznacza to, że zity i kamazy jeżdżą na oponach importowanych z zaprzyjaźnionych

wtedy w jednej drużynie z Ukraincami. Komu przysłuży się ta jesień? Ukraińska kontrofensywa w obwodzie charkowskim z początku września oraz wcześniejsze „mielenie” rosyjskiego zaplecza logistycznego i systemu dowodzenia przy użyciu precyzyjnych systemów artyleryjskich, głównie amerykańskich wyrzutni HIMARS, sprawiły, że na froncie Rosjanie stracili inicjatywę operacyjną. Nadal, przy użyciu broni strategicznej, mogą razić cele w całej Ukrainie, bez większego ryzyka symetrycznej odpowiedzi. Tyle że nie przekłada się to na sytuację ich wojsk bezpośrednio zaangażowanych w walkę. Obecnie zdolne są one do prowadzenia niemal wyłącznie operacji obronnych (w skali frontu pojedyncze akcje zaczepne nie mają większego znaczenia). Od chwili szokującej porażki pod Charkowem rosyjscy generałowie modlą się o deszcz i błoto, zakładając, że dzięki temu ukraińska presja wyhamuje.

Warunki pogodowe sprzyjające powstawaniu błota doczekały się własnej nazwy: *rasputica*.

krajów. W użyciu są m.in. chińskie Yellow Sea YS20, czyli kiepska kopia doskonałej skądinąd wojskowej opony Michelin XZL. Podróbka ściera się setki razy szybciej niż oryginał, zwykle wystarcza na pojedynczy przejazd z bazy logistycznej w Rosji do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów zgromadzenia własnych wojsk. Rosjanie korzystają też z białoruskich opon Belshina Bel-95, np. do ogumienia ciężarówek będących nośnikami niezwykle kosztownych systemów przeciwlotniczych Pancyr. W marcu br. jeden z takich kamazów nie był w stanie samodzielnie wydostać się z błotnej pułapki. Rosjanie wóz porzucili, Ukraińcy puścili go z dymem.

Generał Mróz

Nie tylko w ocenie mediów, ale i zdaniem wojskowych analityków pogoda i wywołane nią komplikacje w sposób istotny przyczyniły się do ukraińskiego zwycięstwa w bitwie o Kijów. Wiosenna *rasputica* zagrała

A to pozwoli im przegrupować wojsko, uzupełnić stany osobowe i zapasy. Z tym jednak może być niemały problem, bo po rosyjskiej stronie linii frontu w Donbasie jest niewiele solidnych szlaków komunikacyjnych. Z konieczności więc uzupełnienia będą musiały pójść głębszym zapleczem, przez tereny Rosji – co istotnie wydłuży drogę.

Na tym etapie wojny wydaje się, że Kreml chce ją przeciągnąć przez zimę. Licząc, że niskie temperatury dadzą się we znaki zachodnim Europejczykom. Zmarznięci obywatele Unii zażądają od swoich rządów powrotu do taniej rosyjskiej energii, co będzie możliwe wyłącznie po zawieszeniu wsparcia wojskowego dla Ukrainy. A odcięci od „zachodniej kropłówki” Ukraińcy nie będą w stanie długo się bronić. I tak pogoda znów ocali Rosję, kalkuluje Putin. *Rasputica* to jedno, ale i generał Mróz ma przecież niemałe w tym zasługi...

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FRANCISZEK PIECZKA 1928-2022

Górnik z pastorałem w dłoni

Potrafił zagrać każdego, ale gdyby miał wybór, wolałby role aniołów niż diabłów. Bo aktorstwo ma prowadzić ku dobru

Wiesław Kot

Ślązakiem był do gruntu i Ślązakiem pozostał, mimo że większość życia spędził w Warszawie. Urodził się w Godowie nad Olzą, u wylotu Bramy Morawskiej, przez którą od wieków wędrowali za chlebem wyrobownicy do śląskich kopalń. A ród Pieczków notowany jest tam w księgach parafialnych od XVIII w. Franciszka, szóste, najmłodsze dziecko górnika – często zresztą bezrobotnego – z góry przeznaczono do kopalni. Musiał zarabiać, żeby rodzina w najtrudniejszym okresie, na przednówku, miała bodaj na kawałek chleba omaszczony stoniną.

Ślązakiem był do gruntu i Ślązakiem pozostał, mimo że większość życia spędził w Warszawie.

Frankowi jednak kopalnia nie pachniała. Nie dlatego, by bał się fizycznej roboty, nie... Ot, zaszedł epizod niby marginalny, a przecież przełomowy. Chłopak przeszedł na czeską stronę i tam, w miasteczku Zawada, zobaczył film „Znachor” z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim. Zamurowało go! Kino go pochwyciło i nie chciało wypuścić. Ale nie jako biernego widza. Bo on zamarzył, że będzie figurować na ekranie. Uciekał i, kiedy tylko mógł, za ostatnie grosze kupował bilet do kina, choć ojciec, który uważał, że „kine-matograf to świństwo i bezbożność”, próbował synowi pasem wyperswadować te fanaberie. I tak Franek za dnia karnie woził taczkami żwir przy regulacji Olzy, a wieczorem biegł na próby amatorskiego teatryku. A gdy

fedrował w kopalni Barbara w Chorzowie, co było dla syna górniczej rodziny nieuchronne, podobnie jak pylica, którą wynosiło się z tej kopalni, po szychcie także stawiał się na amatorskie próby.

Student Pieczka deklaruje się

Wreszcie urwał się rodzinie wprost do warszawskiej szkoły teatralnej, gdzie sam Aleksander Zelwerowicz postawił mu zadanie: kandydat Pieczka ma powtarzać słowo miasto, ale tak, by za każdym razem brzmiało w nim coś zupełnie innego. Raz niech dudnią w nim echa przemysłowego molocha, a innym razem niech to miasto chichocze jak Los Angeles

w weekend. Gdyby tylko biedny górnik z Godowa wiedział, jak się chichocze w Los Angeles... No ale trafił do akademika przy pl. Narutowicza, gdzie dzielił pokój z Wieśkiem Gołasem, Mietkiem Czechowiczem i Zdziśkiem Leśniakiem. Żeby jako tako się pokazać na mieście, kupili na spótkę jeden wyjściowy garnitur i wymieniali się nim przy co bardziej uroczystych okazjach.

Wszyscy adeptci aktorstwa działali wówczas na pierwszej linii frontu ideologicznego, było więc nie do pomyślenia, by nie należeli do Związku Młodzieży Polskiej. Zwłaszcza ci ze zdrowym proletariackim rodowodem, tymczasem kolega Pieczka omal nie wyleciał i z ZMP, i ze studiów, gdy nie wykazał się „instynktem klasowym”. Na zebraniu koledzy

z kierownictwa zdecydowali się szurnąć ze szkoły studenta Krzysztofa Chamca. Z powodu, że doniósł na niego kolega, iż jest synem „jaśnie pana”, przedwojennego właściciela majątku na Wołyniu. Ów kolega był synem parobka pracującego w tym majątku i teraz nadarzyła mu się okazja historycznego rewanzu. Wszyscy koledzy – przestraszeni i zaszantażowani – podnosili rękę za. Wyłamał się tylko Pieczka, górnik z pochodzenia. Bo – jak tłumaczył – dlaczego chłopak ma odpowiadać za winy ojca, na pewno przeżył stosowną ideologiczną reedukację i jeszcze w tym kierunku się wykaże. „Kolego, wy się deklasuście! Rozumiecie? Zdradzacie swoją klasę społeczną!”, krzyčeli przełożeni ze związku, ale górnika o jak najbardziej słusznym pochodzeniu nie odważyli się ruszyć. Krzysztofa Chamca zresztą też nie.

Po egzaminie końcowym pierwszy angaż do teatru w Jeleniej Górze. A tam pierwsza rola – kierownika PGR, który walczy z wypaczeniami w trakcie kampanii buraczanej. I w trasę! Pakowało się wtedy parę dekoracji i obsadę aktorską do zdezelowanego autobusu i objeżdżało okoliczne remizy. Ale Franek Pieczka wraz z oddelegowanym tu również kolegą Gołasem przykładali się, o czym wieść dotarła do samej Warszawy. Padło zaproszenie do Teatru Narodowego, ale Pieczka miał już swój rozum. Doskonale wiedział, że tam do czterdziestki będzie wyłącznie nosił halabardę, grzecznie zatem podziękował.

Zapachniała mu za to Nowa Huta z jej pozornie marginalnym teatrem, gdzie szlifowali umiejętności półamatorzy, np. Witek Pyrkosz, który do niedawna zarabiał na życie na posadzie



Konopielka

szpitalnego intendenta. Tutaj także badał swoje możliwości wieczny epizodysta Ryszard Kotys, który pod koniec życia pozwoli się zapamiętać ze „Świata według Kiepskich”. Tymczasem Franciszek pilnie szlifował rzeźmiostło, co potwierdził nawet recenzent „Trybuny Ludu”: „Nie ma w jego grze żadnego »przeżywania« ani »bebechów«, wszystko powiedziane jest spokojnie, zwięźle, obiektywistycznie, zgodnie z duchem utworu”.

Czołgista bezradny wobec sztuców

Przyszły też pierwsze zaproszenia z filmu. Początkowo wydawało się, że kino przejmie go na zasadzie zabawnego akcesorium – wstawia się takie często do drugiego planu, aby ożywić akcję. Wojciech Jerzy Has dał Pieczce w „Rękopisie znalezionym w Saragossie” (1964) rolę opętanego przez demony, który gania kozy po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej udającej wzgórze Sierra Morena w Hiszpanii. Aktor nadawał się, ponieważ widział kwalifikował go od pierwszego spojrzenia: typ niedźwiedziowaty, sękaty, ludowy, ale równocześnie łagodny, na wskroś pocciwy. Ostatecznie takiego osiłka i pocciwinię oglądaliśmy w serialu o czterech pancernych.

Pieczka akurat świetnie sobie radził na deskach krakowskiego Teatru Starego w Krakowie, któremu dyktował wówczas Konrad Swinarski. I to on dał aktorowi, choć niechętnie,



w 1965 r. półtoraroczny urlop „ze względu na występy telewizyjne”. Zresztą nie miał wyjścia – telewizja zażyczyła sobie Franciszka Pieczkę do obsady serialu o polskich czołgistach, którzy wyzwalają ojczyznę u boku żołnierzy Armii Czerwonej. Był bardzo potrzebny, ponieważ jako proletariusz ze Śląska miał stanowić przeciwagę dla inteligentnika Janka, wywodzącego się z wielkomiejskiego Gdańska, i to bynajmniej nie z szeregow klasy robotniczej.

Zagrał farsowo, na lekkim przerysowaniu, ale za to właśnie pokochała go publiczność, która na najrozmaitszych spotkaniach podsuwała mu talerz z jajkami, prosząc, aby

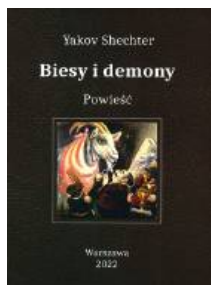
wykonał swój słynny numer górnika z przodka, który nie umie się posługiwać sztucami. Dzięki serialowi mało dotąd znany aktor stał się kimś w rodzaju bohatera narodowego. Choć po latach serial kwalifikowano nie jako sprawnie nakręcone widowisko telewizyjne, lecz jako rodzaj „miękkiej propagandy”, aktorom zaś zarzucano, że brali udział w wielkim historycznym kłamstwie adresowanym do milionów rodaków. Pieczka tłumaczył spokojnie, że zagrał w „Pancernych”, ponieważ w tamtych latach niewyobrażalne było nakręcenie serialu o armii Andersa. Udziału w „Pancernych” się nie wypierał, podkreślał, że dali mu „twarz i pieniądze”. Pocięszat się, że skończyło się na 26 odcinkach, bo w planach były jeszcze

jego wspólne eskapady z Barbarą Krafftówną w roli Honoraty, ale bez czołgu to już byłoby nie to.

Naiwniak obrotowy

Wydawało się, że Pieczka nigdy poza te skromne ramy nie wyjdzie, a tu trafia mu się rola w filmie „Żywy Mateusz” (1967) Witolda Leszczyńskiego. Tutaj również ten odklejony od świata niezgrabiasz z chatki nad jeziorem wędruje po polach i rozmawia z ptakami, z tym że akcja nie toczy się na wsi rozumianej wąsko, cepeliowsko. Ta wieś bytuje ponad czasem. A Mateusz jest bardziej symbolem niż człowiekiem. To nawiedzony, jakby ▶

Yakov Shechter
Biesy i demony
Przeł. Piotr Fast
Wydawnictwo Poznań, Warszawa 2022



Izraelski prozaik Yakov Shechter (ur. w 1956 r. w Odessie) wszedł do literatury żydowskiej pod koniec XX w., zajmując bezapelacyjnie miejsce obok Szmuela Josefa Agnona i Isaaca Bashevisa Singera. Na kartach książek Shechtera bohaterowie talmudycznych dysput spotykają się z wcieleniami postaci Nabokowa, Bunina, Umberto Eco i innych. Niekiedy tworzy to zaskakujące zderzenia paralele i konflikty, nieznanne wcześniej w literaturze żydowskiej. Autor, który opublikował już 25 książek, tworzy w języku rosyjskim autentyczne żydowskie teksty, próbujące zawrzeć i wyrazić doświadczenie tradycyjnego życia żydowskiego – doświadczenie filozoficzne, a nie tylko etnograficzne czy życiowe. Yakov Shechter niejednokrotnie był w Polsce i jest z nią związany poprzez swoją prababkę urodzoną w Lublinie.

Vladimir Kvint
Strategiczne przywództwo Amira Timura. Komentarze do Kodeksu
Wydawnictwo Poznań, Warszawa 2021



Kontynuacja publikowanych od 2017 r., Vladimira Leonovicha Kvinta dzieł wielkich strategów w postaci faksymile, w serii wydawniczej „Biblioteka Stratega”. W polskim wydaniu wykorzystano faksymile „Kodeksu” Timura, opublikowanego przez Uniwersytet Imperatorski w Kazaniu w 1894 r. Niniejsze wydanie „Kodeksu” w języku polskim jest pierwsze w historii, a powstało z okazji 685. rocznicy urodzin Amira Timura.

Wprost wyjęty z franciszkańskiej legendy. Dla widowni kinowej było to całkowite zaskoczenie, bo z jednej strony drągał, który przeżył muskuły, a z drugiej wieczny dzieciak z jego prostotą, nieśmiałością i liryzmem. Na tej nucie Franciszek Pieczka grał wiele lat: nie kompromitował swojego bohatera, nie ośmieszał go, raczej dosmaczał liryzmem i wdziękiem. Z własnym aktorstwem trochę trudno mu było się uporać. Mawiał: „Czasami myślę, że aktorstwo to niemęski zawód. Taki psychiczny ekshibicjonizm. A jednocześnie czuję, że tylko wcielając się w daną postać, mogę widzowi powiedzieć coś od siebie”.

I teraz zaczęły biec, jedna za drugą, role, w których stąpiła się swojska ludowizna z nutą liryczną. Przeważało raz jedno, raz drugie. W „Perle w koronie” (1971) Kazimierza Kutza Pieczka to górnik dołowy, który trafia do powstania śląskiego wprost z kopalnianego chodnika, kilof zamienia na karabin. Do powstania idzie jak na szczytę.

Franciszek Pieczka nie kompromitował swojego bohatera, nie ośmieszał go, raczej dosmaczał liryzmem i wdziękiem.

Pewne rozwiązania Pieczka podpowiadał sam. Andrzej Wajda obsadził go w „Weselu” (1972) w roli Czepca, chłopca z podkrakowskich Bronowic, który gotów byłby biec z kosą na austriackich żandarmów. I Pieczka, żeby to było bardziej przekonujące, zaproponował, że on tą kosą najpierw zetnie głowy kilku gęsiom, żeby wyrazić swój chłopski zapach do walki. Podobnie było, gdy Wajda dwa lata później przydzielił mu w „Ziemi obiecanej” rolę łódzkiego fabrykanta, który wybudował sobie pałac kąpiący od złota. Muller po swoich cennych parkietach chadza boso, bo szkoda by mu było niebacznie je porysować. Żeby wzmocnić to nuworzysztwo, Pieczka wpadł na pomysł, że wprawdzie będzie palił drogie cygaro, ale niedopałka nie wyrzuci, bo też mu szkoda; wsunął go cichcem do kieszeni.

Aktor Pana Boga

I wtedy w sztuce aktorskiej Franciszka Pieczki rozpoczął się kolejny

rozdział. Aktor awansował na Pana Boga – albo na pokrewną figurę symboliczną. Takim był jego Tag z „Austerii” (1982) Jerzego Kawalerowicza. Pieczka zagrał starego, mądrego Żyda, który usiłuje zapanować nad chaosem, w jaki świat popadł z pierwszym dniem wojny z 1914 r. I to się ciągnęło. W „Konopielce” (1981) Witolda Leszczyńskiego zmienił się w Pana Boga przebranego za dziada prośalnego, który chodzi po wsiach Białostocczyzny zaraz po wyzwoleniu od Niemców i przypomina ludziom rozchwiejanym przez wojnę podstawowe prawdy. A także przestrzega, zapowiada wraz z nadejściem komunizmu czasy ostateczne: „O, do czego idzie?! Krowy będą się żrebiły, kobyły cielili. Owieczki prosiły... Chłop z chłopem spać będzie, baba z babą... Wilki latać będą, bociany pływać. Słońce wszędzie na zachodzie, a zajdzie na wschodzie... (...) Oszukaństwo, złodziejstwo, kurestwo... Sodoma i Gomora!”. No i wreszcie w „Quo vadis”

Kawalerowicza (2001) Franciszek Pieczka zagrał św. Piotra, który zdradza przedziwne pokrewieństwo z Janem Pawłem II.

I kiedy wydawało się, że z tego piedestału już nie zejdzie, na powrót pociągnęło sędziwego aktora w stronę typów przasných. Nie tylko dla wyrobionych widzów miał postać Janczia Wodnika (1993), wiejskiego dziwaka, który bytuje w mitycznej polskiej wsi, zakorzeniony tam i obrośnięty lokalnym mchem. A dla widza najpopularniejszego, takiego, który za młodu oglądał „Czterech pancernych”, Pieczka przechował gębę Stacha Japycza. To jeden z tych wioskowych mędrków, którzy w serialu „Ranczo”, przysiadłszy przed wiejskim sklepikiem z butelką mamrota w dłoni, osądzają sprawę tego świata. Na podobieństwo chóru z greckiej tragedii.

W jednej ręce wino owocowe, w drugiej pastorał – tak Pana Franciszka zapamiętamy.

Wiesław Kot

NA EKRANACH

Simona

reż. Natalia Koryncka-Gruz, prod. Polska,
już w kinach

Pochodziła ze słynnego rodu Kossaków, ale nie mieściła się w modelu swojej rodziny. Jediną receptą na poczucie niezrozumienia okazała się przyroda, w której na zabój była zakochana. Zdecydowała się na bycie outsiderką, porzuciła krakowskie luksusy i zamieszkała w skromnej leśniczówce w Białowieży. Mowa o legendarnej obrończyni fauny i flory Simonie Kossak, o której opowiada dokument Natalii Korynckiej-Gruz. Formuła filmu jest pojemna – koncentruje się na ciotecznej wnuczce



tytułowej bohaterki, która bada tajemnice rodzinne, a jednocześnie bardzo dobrze pokazuje kobietę, która wyprzedziła swoją epokę. Gdy w latach 70. zaciekle broniła zdania, że zwierzęta mają własne sądy i myśli, że mają prawo do szczęścia, nikt jej nie rozumiał. Dzisiaj te tezy są drogowskazami – wpisują się w proklamacyjne narracje na temat potrzeby ponownego zdefiniowania relacji między nami a (innymi) zwierzętami. „Powinniśmy przyjąć do wiadomości, że Ziemia nie jest naszą własnością. Jesteśmy tylko jej współlokatorami”, mawiała Simona Kossak. To zdanie nigdy nie wydawało się bardziej aktualne.

Mateusz Demski

ZASŁUCHAJ SIĘ



Behemoth
Opvs Contra Natvram
Mystic

Z mrocznych czeluści blackmetalowych wychynął 12. album Behemotha, dowodzonego przez Adama Nergala Darskiego. Choć Nergal raczej nie cieszy się sympatią ministra Glińskiego, to Behemoth jest najbardziej rozpoznawalną polską grupą na światowym rynku muzycznym. Mimo obecnej sytuacji od pierwszych dźwięków słychać, że Behemothowi paliwa nie brakuje. Album otwiera intrygująca „Post-God Nirvana”, w której obok postindustrialnej elektroniki mamy sekcję dętą z rytualnymi bębnami. Szybka „Malaria Vulgata” wali niczym cios obuchem. „The Deathless Sun” z chóralnymi partiami wokalnymi może budzić skojarzenia z dokonaniem szwajcarskiego Samaela. Trochę wymęczone są „Ov My Herculean Exile” i „Thy Becoming Eternal”, ale mamy obok mocarne „Neo-Spartacus”, „Disinheritance” i „Off To War!”. Motoryczny gitarowy riff w „Once Upon A Pale Horse” sprawia, że utwór brzmi (jak na Behemotha) bardziej „rockowo”. Całość wieńczy epicki „Versus Christus” z fortepianowym udziałem Michała Łapaja z Riverside.

Rafał Pyznar

MIĘDZY OKŁADKAMI

Elżbieta Turlej
F*ck, fame & game.
Co faceci robią w sieci

Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022

Kobiety objaśniają świat, tłumaczą, wydają wyroki. Toksykny womansplaining zatacza coraz szersze kręgi. Jego przykładem jest reportaż Elżbiety Turlej. Reportażystka postanowiła sprawdzić, co siedzi w głowach polskich mężczyzn. Gdy jednak do pisania reportażu dochodzi się z tezą, trudno o zadowalające efekty. Historie opisane w książce są mocne, ale też oczywiste i banalne. Jesteś przemocowym bucem? Pewnie zabrakło miłości w domu. Pragniesz kasy, sławy i kobiet? Jesteś zagubionym Piotrusiem Panem. To spodoba się głosicielowi narracji o kryzysie męskości, czytelniczkom i czytelnikom „Newsweeka” i Pudelka. A okładka kojarzy się z serią „365” Blanki Lipińskiej. Zamierzone działanie wydawcy? Rafał Pikuta



KURTYNA W GÓRĘ



Marta Sokołowska,
„Fanatycy prawdy”,
reżyseria Piotr
Ratajczak,
koprodukcja Teatru
Ochoty i Festiwalu
Łódź Czterech Kultur,
prapremiera Łódźka
11 września 2022,
premiera warszawska
17 września 2022

Z prawdą na bakier

Spektakl przedstawia kolekcję postaw motywowanych podejrzanymi idejkami, które zatrują świadomość i blokują racjonalne działanie. Ludzie nimi owładnięci ujawniają obsesje na temat reptilian, płaskiej Ziemi, chipów Billa Gatesa w szczepionkach przeciw covidowi, inscenizowanego lądowania na Księżycu, hollywoodzkiego lobby pedofilskiego, Wielkiej Lechii, Judeopolonii, żydokomuny i masonerii.

Piotr Ratajczak, wybierając jako temat te manie, słusznie widzi w nich niebezpieczeństwo, coś co zatrzuwa życie społeczne i grozi poważnymi następstwami. Nie jest rzeczą teatru podpowiadanie sposobów radzenia sobie z takimi zjawiskami, ale już samo wskazywanie ich złowieszczonego sensu jest zasługą. Tak jak zasługą doświadczonego reżysera i scenarzysty jest stworzenie w rekordowo krótkim czasie z grupy młodych aktorów Teatru Ochoty, którym partneruje w tym spektaklu Paweł Pabisiak, zgranego zespołu, który wie, co robi i po co. W pierwszej części modelowanej na talk-show aktorzy roztaczają apokaliptyczne wizje przyszłości. O głosy widzów zabiegają: Astrid Van San (Agata Łabno) z partii Prawda Teraz, która nigdy prawdy nie głosi, DJ Majk (Filip Orliński), który już dawno wszystko przewidział, Pan V (Konrad Żygadło), wynalazca na miarę programu „Zrób to sam”, Aleksander Newski, natchniony teolog i mistyk (Jan Litvinovitch), i Son-Ja, piosenkarka i działaczka społeczna (Martyna Czarnecka). W części drugiej to zróżnicowane towarzystwo przemienia się w zdyscyplinowaną grupę konspiratorów, protestujących przeciwko knowaniom władz, które stawiają maszty radiowe albo zmuszają do szczepień, a wszystko kończy się niemal Gombrowiczowskim upupieniem. Tomasz Miłkowski

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Rozmawia Jan Tracz

Jedyne takie miejsce w Warszawie

Wejść do SPATiF-u nie było łatwo.
Ten klub był niczym wyspa,
ażyl dla artystów

Dlaczego zdecydowała się pani na opisanie Klubu Aktora w Warszawie?

– A zna pan inne miejsce, do którego przychodziłoby tyle znanych i interesujących osób, pozostali zaś marzyli, by choć raz w życiu tam się dostać? A wejść do SPATiF-u, czyli klubu Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, nie było łatwo. Szatniarz, legendarny pan Franek, żądał okazania legitymacji stowarzyszenia. Kto był powszechnie znany, wchodził „na twarz”, ale szatniarz wpuszczał też tych, których polubił. Prócz warszawskiego Klubu Aktora podobne miejsca powstały w Łodzi, Sopocie i Krakowie, ale SPATiF w stolicy był najpopularniejszy.

Podtytuł książki „Upajający pozór wolności” to gra słów, bo z treści wynika, że głównie upajał alkohol, a nie wolność. Ale dlaczego mowa tu o „pozorze wolności”?

– Poczuciem wolności też można się zachłysnąć, a wolność zawsze jest ważna. O nią się walczy, w imię wolności ludzie są zdolni do wielkich czynów. Aczkolwiek w czasach PRL-u prawdziwie wolnym nie był nikt. Prześwietlana była prywatna korespondencja, podsłuchiwane

współpracownicy. Ale peerelowski świat sztuki nie był znów taki wielki, ludzie się znali, wiedzieli, kto jest kim. Wystarczyło wyjść z klubu, aby zderzyć się z ponurą rzeczywistością. Stąd w podtytule ów „pozór wolności”. Z kolei przymiotnik „upajający” ma podwójne znaczenie: upajało nie tylko poczucie wolności, ale również alkohol, który był tam wszechobecny.

„SPATiF” wydaje się pretekstem do opisanie niektórych zapomnianych postaci polskiej kultury. Spora część poświęcona jest Januszowi Minkiewiczowi. Chciała pani ocalić te nazwiska od zapomnienia?

– Sugeruje pan, że opisałam historię klubu na tle historii Polski po to tylko, aby przypomnieć nazwiska, o których dziś nie pamiętamy? Ależ

Warszawy”, satyryk Józef Prutkowski oraz wybitny operator, współtwórca polskiej kinematografii i szkoły filmowej w Łodzi, prof. Stanisław Wohl.

Rdzeniem tego reportażu są rozmowy z różnymi osobistościami kultury. Ignacy Gogolewski, Andrzej Korzyński i Daniel Passent zmarli jeszcze przed publikacją. Czy wraz z ich śmiercią znika świadectwo tamtych czasów?

– Ależ wielu bywalców wciąż żyje i ma się dobrze! Niedawno rozmawiałam z Wiktorem Zborowskim, który żałował, że do SPATiF-u w Alejach Ujazdowskich mógł chodzić jedynie przez sześć lat. Wcześniej nie, ponieważ jako studentowi do miejsc, w których pije się alkohol, chodzić mu nie wypadało. Później zaś z powodu remontu lokal w Alejach Ujazdowskich zamknięto na całe trzy lata, klub zaś przeniesiono na róg Mokotowskiej i Pięknej. Dawna atmosfera gdzieś uleciała, a po remoncie do odświeżonego klubu nie wszyscy goście wrócili.

Co zaś się tyczy świadectwa, Olgierd Łukasiewicz, wieloletni prezes SPATiF-u, wyznał mi, że tą książką zdjęłam mu kamień z serca, ponieważ obawiał się, że za parę lat nikt już nie będzie o klubie pamiętał, że wszystko przepadnie wraz ze śmiercią osób, które tam bywały. Ja jednak poszłam dalej, głębiej. Pokazałam nie tylko sylwetki stałych bywalców, ale i drogi, które ich do tego miejsca doprowadziły. Także tradycje, które z przedwojnia do PRL-u przenieśli m.in. Antoni Słonimski, Stanisław Wohl i Kazimierz Wierzyński, oraz ludzi wstępujących po wojnie do panteonu literatury i sztuki, takich jak Marek Hłasko, Agnieszka Osiecka czy Janusz Głowacki.

W klubie ludzie mogli mieć różne przekonania, ale potrafili wspólnie się bawić i żartować. Inteligentny żart, kąśliwy dowcip były w cenie.

rozmowy telefoniczne, ludzie byli inwigilowani na różne sposoby. Pisarze nie mogli publikować swoich przemyśleń, reżyserzy kręcić filmów ani wystawiać na scenie dramatów, w których krytykowałiby system – zaraz interweniowała cenzura. Dlatego posługiwano się językiem ezo-powym, pełnym metafor i aluzji, co zresztą sztuce wychodziło na dobre. Tymczasem w SPATiF-ie można było powiedzieć wszystko! Artyści we własnym gronie czuli się wolni. Ten klub był niczym wyspa, rodzaj azylu dla artystów. Co nie oznacza, że nie przychodzili tam funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa czy jej tajni

nie, to błędna ocena. Ja jedynie na podstawie opowieści byłych klubowiczów pokazałam, kto w SPATiF-ie rozdawał karty, jaka obowiązywała tam hierarchia. A do Klubu Aktora przychodzili artyści dla polskiej kultury najważniejsi: Antoni Słonimski, Gustaw Holoubek, Tadeusz Konwicki, Andrzej Łapicki, Stanisław Dygat, Adam Ważyk, Józef Hen i inni. O nich pamiętamy, ale nie oni byli w klubie najważniejsi. Stoliki „zarezerwowane” należały bowiem do stałych bywalców, dziś zapomnianych. To właśnie satyryk i poeta Janusz Minkiewicz, którego Janusz Głowacki nazywał „nocnym księciem



ALEKSANDRA SZARŁAT

– dziennikarka, autorka książek, m.in. „Żuławski. Szaman”, „Pierwsze damy III Rzeczypospolitej”

Wymienia pani licznych gości, a następnie konkluduje: „Co za towarzystwo! Tylko westchnąć...”. Tęskni pani za czasami, których nie miała okazji przeżyć?

– Nie tęsknię! Jako urodzona w czasach PRL-u miałam możliwość na własnej skórze doświadczyć życia w dwóch systemach. Jestem więc znacznie bogatsza w doświadczenia i wiedzę od tych, którzy urodzili się po transformacji. Wiem, co znaczy siermiężny socjalizm, kiedy w sklepach mięsnych można było zobaczyć jedynie puste haki, a szynkę i prasę kupowano spod lady. A jednocześnie wstydem było nie czytać książek czy nie znać teatralnych premier. Wiem też, co znaczy dziki kapitalizm, pamiętam, jak ludzie popełniali samobójstwa, nie mogąc spłacić kredytów z powodu rosnącej inflacji, a inni z dnia na dzień stawali się milionerami. Znam również kapitalizm korporacyjny, wysysający soki z ludzi i wypychający ich w ramiona psychiatrów. On wciąż jest, ale już trochę złagodniał i powoli nabiera znamion normalności. Do przeszłości więc nie tęsknię. Ale ona mnie zbudowała, pozwala lepiej, ostrzej widzieć. Doceniać to, co było dobre, negocjować złe.

Dzięki temu miała pani także okazję poznać wiele legend polskiej kultury.

– Jako dziennikarka miałam szczęście przeprowadzać wywiady z bywalcami SPATiF-u, m.in. z Andrzejem Łapickim, Tadeuszem Konwickim czy Gustawem Holoubkiem, ale nie o Klubie Aktora – to wtedy nie był istotny temat – lecz o kulturze, literaturze, teatrze. A jeżeli już tęsknię za czymś, to za klimatem tamtych rozmów: inteligentnych, zabawnych,

Większość artystów potrafiła dopieć, niektórzy kochali się i nienawidzili, ale w głębi duszy doceniali swoje dokonania.

błyskotliwych. Tęsknię też za tym, co w „Złotej erze” Klubu Aktora było istotne – za radością z bycia razem. **Jeden z podrozdziałów książki opisuje męską społeczność SPATiF-u. Piszcie pani, że „PRL należy do mężczyzn”. Można odnieść wrażenie, że w klubie nie liczone były kobiety. Dlaczego?**

– Zapewne wpłynęła na to wojna, bo jednak w 20-leciu międzywojennym kobiety traktowano jak damy. Zresztą, sięgając do naszych narodowych tradycji, choćby czasów

powstania styczniowego, rolę męzczyzny było walczyć o ojczyznę, a kobiety – czekać na powrót swojego bohatera. W 1945 r. wielu artystów wróciło z wojny ze stopniami wojskowymi (np. Adam Ważyk, Stanisław Wohl, Aleksander Ford). Być może dlatego czuli się „ważniejsi”. W końcu walczyli o wolność i ryzykowali życiem. Kobiety natomiast były tymi, które miały się o nich troszczyć, prowadzić dom, wychowywać dzieci, podczas gdy oni, stworzeni do celów wyższych, przesiadywali w SPATiF-ie, bawiąc się nierzadko z innymi, wolnymi paniami.

To był świat, do którego kobiety nie miały wstępu. Zostały wykluczone.

– PRL należał do mężczyzny, a świadczą o tym zajmowane przez płęć męską stanowiska – redaktorów naczelnych czasopism, szefów teatrów i zespołów filmowych czy ministrów. Próżno szukać kobiet nawet w gronie autorów felietonów zamieszczanych w prasie. Oddech patriarchy praktycznie czuć było wszędzie. Kiedy Marian Brandys, mąż wielkiej gwiazdy Haliny Mikołajskiej, pisze w „Dziennikach” o parach przyjaciół, bez cienia złych intencji używa męskoosobowej formy „Stasiowie”, „Kazikowie”, „Jackowie”. Choćby w owej parze kobieta była równie znana jak jej partner. „Jackowie” to Barbara Wrzesińska i Jacek Janczarski. W efekcie brzmi to humorystycznie, choć humor był niezamierzony: „Wieczorem z Jurkami

► W książce odczarowuje pani mit artysty. Z reportażu wynika, że bywali to ludzie zakompleksieni, zawistni czy owładnięci własnymi demonami. Także wygodni: w końcu wielu z nich miało problem z tym, aby wyjechać za granicę na więcej niż kilka dni! Dlaczego idealizujemy tych ludzi?

– Zostawmy wyjazdy zagraniczne, to nie wygodą decydowała o tym, że szybko stamtąd wracali, lecz prozaiczny brak pieniędzy, a czasem nieznaną języka. Trzeba też oddzielać życie prywatne artystów od ich twórczości. Nawet jeśli ktoś tworzył wspaniałe rzeczy, nie musiał być aniołem towarzyskim. Kompleksy, zawiść, balansowanie między miłością a nienawiścią są stare jak świat. W klubie ludzie mogli mieć różne przekonania, ale potrafili wspólnie się bawić i żartować. Inteligentny żart, kąśliwy dowcip były w cenie. Daleka jestem od idealizowania świata, o którym piszę. Pokazuję tych ludzi takimi, jacy byli. Większość artystów potrafiła dopieć, niektórzy kochali się i nienawidzili,

ale w głębi duszy doceniali swoje dokonania. Słonimski i Iwaszkiewicz w czasach, gdy tworzyli Skamandra, byli przyjaciółmi. Po wojnie bardzo poróżnił ich stosunek do komunistycznej władzy. A jednak po niespodziewanej śmierci Słonimskiego Iwaszkiewicz ubolewał nad tym, jak dalece rozeszły się ich drogi i jak przebiegło ich ostatnie spotkanie.

Czy SPATiF był strefą komfortu, która, paradoksalnie, doprowadzała swoich gości do upadku? W końcu, głównie przez alkohol, upadały kariery, a niektórzy tracili rodziny i zdrowie.

– Alkohol na pewno nie pomaga ani w twórczości, ani tym bardziej w życiu. Dla niektórych gości codzienne bywanie w klubie – a alkohol łat się tam ostro – stało się przedśmionkiem piekła. Powód do picia zawsze się znajdował. „Tylko wódka zapomnienie da”, śpiewał harmonista w filmie według opowiadania Marka Hłaski „Pętla”. Pił sam Hłasko, pił Władysław Broniewski, Krzysztof Mętrak, Jonasz Kofta, Janusz Minkiewicz, Józef Prutkowski i wielu

innych. Mętrak tłumaczył, że alkohol sprawił, iż stał się dojrzałym mężczyzną. Przepadł tak jak bohater „Pod wulkanem” Lowry’ego.

Czy uważa pani, że dzisiaj jakiegokolwiek miejsce w Polsce ma szansę rezonować w ten sam sposób jak SPATiF w PRL-u?

– Nie ma takiej możliwości. Zmieniły się realia, pracujemy dłużej i więcej. Nikt nie ma czasu, by całe dnie spędzać w miejscu, które mogłoby zostać uznane za substytut SPATiF-u. Istnieje internet, komputery, smartfony, są portale społecznościowe, do których transmitujemy naszą codzienność. Teraz to one zabierają nasz czas. Mamy siebie w życiu wirtualnym. Aktorzy także pracują więcej niż kiedyś, więc i ich nie ujrzeliśmy we współczesnym SPATiF-ie. Wszelkie żale publikujemy na Twitterze, nie musimy rozmawiać o tym w barach czy restauracjach. Tym samym wiele ważnych momentów przeżywamy w samotności przed ekranami komputerów. Nie ma miejsca na SPATiF XXI w.

Jan Tracz



Filharmonia
Narodowa

BEETHOVEN IV SYMFONIA

14/15.10

Orkiestra Filharmonii Narodowej

Paul Goodwin – dyrygent / Gabriel Czopka – waltornia

Rameau, R. Strauss, Beethoven

Na koncerty zaprasza
Sponsor Roku
Filharmonii Narodowej



TAVEX

Organizator



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Sponsorzy





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Chamstwo nadzwyczajne

Oddaję felieton trzy dni przed galą finałową Nike, niegdyś największej, by nie rzec jedynej ekscytującej nagrody literackiej w Polsce, dziś już świecącej nieco przytłumionym blaskiem w szeregu równie lukratywnych wyróżnień dla prozaików, poetów, eseistów, reportażyistów, biografów, tłumaczy, debiutantów – ach, jakież to piękne czasy dla autorów... Książki sprzedają się coraz gorzej, zatem rozliczne nagrody należy traktować jako system odszkodowań dla najzdolniejszych. Reguły wyłaniania finalistów poprzez kolejne etapy nominacji mają na celu zwrócenie uwagi czytającej garsteczki na więcej niż jeden tytuł, ba, uczynienie z niej garstki, a może nawet sporej garści, bo wysokonakładowa prasa publikuje wywiady z nominatami, w których nierzadko łącznie i więcej mówią rzeczy istotnych, niżli to się im udało napisać w książkach. Niebezpieczeństwo wiekopomnych przeoczeń maleje, ale wyeliminować zupełnie się go nie da; „za moich czasów” autorzy mogli być odrzuceni najwyżej przez cztery gremia (Nike, Kościelscy, Paszporty „Polityki”, Nagroda Fundacji Kultury), dziś brak nominacji do którejkolwiek z rozlicznych nagród zawsze mogą sobie pozwolić na znalezienie swojego nazwiska na tzw. długiej liście Angelusa, na którą z automatu trafia właściwie każda proza wydana w Polsce, o ile tematycznie choć ociera się o kwestie Mitteleurop.

Uporczywie pomijam i permanentnie ignorowanym autorem, którzy są przekonani o tym, że spotyka ich niesprawiedliwość, życzę, aby nie łamali piór, a nawet nie wykrzykiwali stalówek, bo charakter pisma dziś uznawany za bazgroły zniechęca może stać się modnym i hołubionym. I odwrotnie – podnieceni jurorzy nominują, by potem z pasją denominować, gdy ktoś zanadto urośnie. Krytycy wyszukują debiutantów, by z dumą obwołać ich „swoimi odkryciami”, ale z jeszcze większą rozkoszą ostrzeliwiają piedestały, aby się puszyć: „To ja go pierwszy schlastałem”.

Literatura nie jest zlewnią, do której prędzej czy później trafi każdy pisarski strumień, przedtem wpadłszy do głównego prądu. Trzymając się metaforyki hydrologicznej, należałoby uznać, że po bibliotecznych kniejach kryją się rzeki okresowe i bezodpływowe jeziora, w których zanurzenie przynosi rozkosze nieporównanie większe niżli tłumne plażowanie u brzegu morza.

Wszelako finały Nike rokrocznie śledzę w zaciszu domowym, zaproszenia na galę grzecznie oddaję potrzebującym, wzruszam się niezmiennie, gdy w oczach laureata

odbija się blask fleszy, a potem radość miesza się z przeżeniem, że trzeba wystąpić, wygłosić mowę dziękczynną i okraścić ją bon motem. Bo najchętniej zemdłałoby się na miejscu i obudziło w klinice pod opieką pielęgniarek. Wiem, co piszę, bo kiedy w prekambryze ustrzeliłem nikowski swój dublet (nagroda główna i laur czytelników), musiałem wychodzić na scenę dwukrotnie i już po tym pierwszym wyjściu modliłem się w duchu, by posążek Zemty otrzymał kto inny, bo języka w gębie i rozumu we łbie mi zbraknie, a stres skracający życie o dekadę nie jest wart czeku na stówę. Bywali tacy laureaci, którym adrenalina wzmagająca retoryczne talenty: Jurek Pilch np. zagrał paradoksem, mówiąc, że jest „tak bardzo zaskoczony, że aż nie jest zaskoczony”, a potem dedykował swoim wrogom chiński aforyzm o cierpliwym czekaniu na brzegu rzeki, aż ich trupy spłyną z nurtem. Andrzej Stasiuk z kolei tak się znarowił wywołany przez przewodniczącego Berezę po błędnym imieniu Stanisław, że jako

Książki sprzedają się coraz gorzej, zatem rozliczne nagrody należy traktować jako system odszkodowań dla najzdolniejszych.

pierwszy w historii powiedział, iż... nic nie powie, tym samym otwierając furtkę dla przyszłych zwycięzców introvertyków. Bywały w historii nagrody skandale, które nie pozostawały bez wpływu na jej werdykt: gdyby np. Kinga Dunin nie wyoutowała Ignacego Karpowicza jako partnera sekretarza kapituły, pewnie byłby dostał zasłużoną statuetkę za wysmienite „Ości”, a tak jury dla świętego spokoju nagrodziło Karola Modzelewskiego za jego skądinąd nadzwyczaj smaczne w lekturze wspomnienia. Zdarzały się werdykty skrajnie chybione, o których zmilczę, dość mi powiedzieć, że ostatnia arcydzielna proza, którą jurorzy odważyli się nagrodzić, to dla mnie „Pióropusz” Mariana Pilota.

Spośród tegorocznych finalistów wyraźnym faworytem jawi mi się Kacper Pobłocki, którego „Chamstwo” jest zarazem wysmienitą dysertacją antropologiczną, jak i brawurowo napisanym esejem historycznym, co ważne – wpisuje się w gorący i ważki spór o chłopskie korzenie i folwarczne źródła współczesnych konfliktów społecznych w Polsce (tak autor nazywa naszą ojczyznę-pańszczyznę). Po „Prześnionej rewolucji” Andrzeja Ledera i „Ludowej historii Polski” Adama Leszczyńskiego przyszła w dziedzinie badań nad polskim niewolnictwem pora na literackiego Świętego Graala: rzecz ważką i zarazem wyborną literacko. ■

LOKALSI

– przypadek Radomska

Samorząd to miejsce, gdzie się człowiek nie narobił i nie narobi



Andrzej Andrysiak

Chór występuje w składzie: Wieloletni Radny Różnych Szczebli, Dziennikarka, Młody Polityk, Była Urzędniczka, Urzędnik, Były Dziennikarz, Młody Aktywista, Radny, Wieloletnia Radna, Samorządowiec, Polityk, Była Urzędniczka, Przedsiębiorca, Drugi Młody Polityk, Radny Kilku Kadencji, Prominentny Działacz Samorządowy i Polityczny, Polityk, Samorządowiec i Radny Kilku Kadencji.

No jest takie zachłyśnięcie na początku, nikt mi nie powie, że jest inaczej. Zostajesz radnym, twoje nazwisko pojawia się w mediach, zapraszają cię na imprezy, przedstawiają z nazwiska, siedzisz w pierwszym rządzie, jak oficjalna część się zakończy, to wokół ciebie tworzy się wianuszek, ludzie chcą zagadać, ale się krygują, no to podchodzisz do nich, wyciągasz rękę, przedstawiasz się, już nabijasz sobie punktów, pokazujesz, że tamten jest ważniejszy, a przecież nie jest... Nikt mi nie powie, że go to nie rusza. Jak tak mówię, to kłamie. Czujesz się ważny, potrzebny, wydaje ci się, że masz na coś wpływ, tu powstanie plac zabaw, a tu nie powstanie, tu chodnik będzie, a tu nie. Co, pan by się oparł? Nie wierzę.

Ja byłem naiwna. Pewnie miałam to wypisane na twarzy, czarnym flakmitem, wszyscy widzieli z daleka, tylko ja byłem tak zaaferowana nową sytuacją, że nie zauważyłam. Zapisywałam się, by popychać do przodu, dyskutować, rozwiązywać problemy... Naprawdę w to wierzyłam. Chce pan to usłyszeć, prawda? OK. Nic nie rozumiałam.

Przez pierwszy rok wierzyłam, że radni są po to, żeby Radomsko się rozwijało, żebyśmy budowali drogi, przygotowywali inwestycje, dyskutowali i wspólnie decydowali, które powinny być realizowane w pierwszej kolejności, które w drugiej.

Władza deprawuje nawet wtedy, jak masz jej odrobinę.

Nadal wierzę, że tak powinno być, że samorządowcy są po to, żeby podejmować dobre decyzje. Ale wiara to jedno, realia drugie.

Z czasem traciłam złudzenia. To jest polityka w najczystszej postaci, w dodatku bez sporu ideowego, jeśli już są spory, to są osobowe, a pobudki niskie. Szybko się przekonałam, że pomysły opozycji nie mogą być realizowane, bo są opozycji, że polityka na szczepku lokalnym niczym

się nie różni od krajowej. Każdy prowadzi własną grę, to ciągła próba sił, próba ogrania przeciwnika. Albo się to rozumie, albo dostaje w dupę. Albo jesteś graczem, albo rozgrywanym, takim radnym, co głosuje, kiedy go szturchną i każą podnieść rękę.

Wie pan, ja panu współczuję. Ile pan banialuk musi wysłuchać. Gada z nami raz, drugi, piąty, pięćdziesiąty, patrzymy panu głęboko w oczy i sadzimy ściemę bez mrugnienia okiem. Czy ja też taki jestem? No może i jestem, musisz pan sprawdzić. Powiedz pan, któremu staroście w Polsce przyszedłby pomysł wcisnąć się w radę nadzorczą w spółce miejskiej w swoim mieście? Jak już szukać, to gdzieś poza, transakcja wiązana, ty wchodzisz do rady w Pcimiu, ten z Pcimia do rady nadzorczej w Dziurkach Matych, a ty tego z Dziurek bierzesz do siebie. Ale tak na widoku? A tu nie ma z tym problemu. No co, media napisały, ludzie się wzburzyli i zapomnieli. A kasa płynie.

Kasa rzecz święta, robota dobrze płatna, dla leniwca, on więcej się rusza na tym drzewie niż taki zarząd w powiecie. Jest konkurs poetycki dla przedszkolaków, to cały zarząd siedzi dwie godziny w pierwszym rządzie, w ramach reprezentacji.

Cztery łby, zdjęcia są, rodzice widzą, potem się podejdzie, zagada, może zapamiętają, że miły. I tak dzień za dniem. Otwarcie dziesięciu metrów chodnika – to samo. To kiedy oni pracują?! Jeden by polazł, reszta pracowała. Choćby nad taką drogą. Powiedz mi pan, czy ktokolwiek sprawdza, jaka masa użyta jest do budowy dróg? Jakby to było twoje, tobyś siedział z miarką, nie popuścił, ale jest publiczne, znaczy niczyje.

Przykład dam. Ekipa remontowa łąta dziury, ma beczkę z masą. I kiedykolwiek by nie łątała, ilekroć by tych dziur nie było, zawsze w rozliczeniu są pełne beczki. Jedna beczka, trzy, sześć, piętnaście. Ale nigdy: jedna beczka i trzy czwarte. Dwie beczki i pół. I co, myślisz pan, że w dół zaokrąglają?

W samorządzie siedzą ludzie, co ich ojce wiedzieli, że się do roboty nie nadają, jak tylko ich po porodzie zobaczyli. Samorząd to dla takich idealne miejsce. No dobra, dla nas, w końcu też żem samorządowiec. Miejsce, gdzie się człowiek nie narobił i nie narobi. Nie mamy w samorządzie ambitnych marzeń, nie mamy projektów, to się nie musimy wkurzać, że coś nie idzie, radni też się nie denerwują, spokój jest.

Ja jestem z przypadku, taki bardziej wpadkowy, jeśli można to tak ująć. Powiaty się robiły, spotyka mnie znajomy na ulicy, z tych działających, kombatanów Solidarności, i pyta, czy bym nie wystartował. Czy Bóg cię, Zdichu, opuścił, pytam, ja do powiatu? No czemu nie, ten nie naciska, ale wcale się nie wycofuje, przemysł, zobaczymy. O czym tu myśleć? Podpytałem znajomego, a ten, że to nie taki głupi pomysł, czemu nie, przecież możemy wystartować obaj.

Kampania jakaś była, drukowało się ulotki, ale mieliśmy tę przewagę, że nas ludzie rozpoznawali, bo wcześniej działaliśmy jako młodzi w różnych organizacjach.

Zdobyliśmy mandaty. I zaczęła się duża polityka. Dobra, przeginam, dla nas duża, ostatecznie okazała się taka mała, że aż szkoda. Z robotą było wtedy krucho, ale się dla mnie znalazła. W placówce podległej, tak to

się ładnie nazywa. Zawołał starosta szefa tej placówki, patrz, jaki młody wykształcony człowiek, trzeba wykroić etacik u ciebie. No to się wykroiło. A jak już raz się wykroiło, to proszę pamiętać, że póki człowiek radnym, robota nie do stracenia. Na zwolnienie musi zgodę wyrazić rada. Nie wyraża.

Nigdy nie brałem udziału w wyborach, nigdy nie byłem zaangażowany. Cafe studia i kilka lat po nich mieszkalem poza Radomskiem, ale zawsze byłem tu zameldowany. W młodości moim ulubionym przebojem było „Nie wierzę politykom” Tiltu. Nie wyobrażałem sobie, że przejdę drogę od antysystemowości do establishmentu. Jest w tej drodze trochę przypadku, ale nie tylko. Mnie ten utwór, „Nie wierzę politykom”, zawsze brzmiał w uszach. Teraz nie mogę go już nucić, może w domu, pod nosem, gdy szlag mnie trafia, jak wyglądają przekazy w mediach

W samorządzie siedzą ludzie, co ich ojce wiedzieli, że się do roboty nie nadają.

i telewizji. Ja jako młody człowiek nigdy nie byłem zaangażowany, jedynie w harcerstwo.

Po studiach wcale nie miałem zamiaru wracać, ale tak się złożyło. Różne względy, głównie rodzinne. Wróciłem, rozglądałem się za robotą, poznaję ludzi, starym znajomym przypominam o sobie, ktoś mnie doprowadza do prezydenta, no i poszło. Dostałem pracę.

Ale nadal nie funkcjonowałem w życiu politycznym, chociaż prezydent mnie do tego namawiał. Aż przyszedł taki moment, gdy trzeba było się określić. Wymagali tego i jedni i drudzy, i władza, i jej przeciwnicy. Jestem lojalny, jak ktoś mi pomógł, to czuję się zobowiązany. Nie wyobrażałem sobie, że będę pluł na człowieka, który mi pomógł, więc przystałem do nich.

Mapa samorządu nie jest zbyt skomplikowana, tworzą się grupy ludzi, po części towarzyskie, po części biznesowe, które sięgają po władzę. Raz jedno, raz drugie.

Najpierw przyglądałem się samorządowi, bo mnie to zawsze interesowało. Jego jakość pozostawiała wiele do życzenia. Pamiętam przewodniczącego rady, który na sesję przynosił w teczce pod każdy punkt obrad dwa, trzy projekty uchwał. W zależności od tego, jak się układała sytuacja na sali i jaka była atmosfera, wyciągał jeden, drugi albo trzeci. Chociaż na komisjach procedowano inne.

Byłem młody, moi znajomi także, więc pomyśleliśmy, że spróbujemy. Wydawało nam się, że możemy wejść do samorządu i go zmienić. Dodać świeżej krwi. Była reforma administracyjna, utworzono powiaty, wydawało nam się, że to będzie jak najbardziej odpowiednie miejsce. Teraz, z perspektywy lat, wiem, że stworzenie powiatów to jeden z większych błędów tej reformy. Wtedy wydawało się, że takie ciała nad gminami będzie potrzebne.

To były czasy, gdy bezrobocie było duże, więc jak był dzień przyjęcia interesantów przez starostę, to na korytarzu był tłum ludzi. Po robotę.

Źle pan stawia pytanie. Nieważne, jakie są motywacje wejścia do samorządu, ważne, kto decyduje, czy gość może wejść, czy nie. A decydują pieniądze. Nie oszukujmy się, na wybory trzeba pieniędzy. Limity, które określa Państwowa Komisja Wyborcza, to fatamorgana, żaden z tych, co się biją naprawdę, ich nie przestrzega. Nie da się zrobić kampanii na prezydenta za 30 tys., a taki jest limit w Radomsku. Nie da się zrobić na radnego wojewódzkiego za marne grosze.

I pan wie, i ja wiem, że możemy o tym mówić głośno, możemy krzyć, opublikować ogłoszenie w mediach, i tak nikt nie zareaguje. To jest jedyne tabu polskiego samorządu. Bo wszyscy przewalają limity, więc nikt nikomu tego nie wyciągnie. Kto daje pieniądze na kampanię? Biznes. Przed każdą kampanią mają kolejki ▶

► i większość robi tak, żeby nikogo nie zrazić. Temu rzuci 5 tys., temu też, i tyle. Żeby pan słyszał, co o nich mówią, jak tylko zamkną się za nimi drzwi. Gardzą nimi, gardzą, jak się łaszą, ale dają dla świętego spokoju. No bo jak biznes nie da, to nie ma kampanii. A jak nie ma kampanii, to nie istnieje.

To nie są ludzie pazerni na władzę, tylko tacy zwyczajni, co zrozumieli, że jak się działa w samorządzie, to można dobrze żyć.

Dlatego nie ma konkurencji z zewnątrz. Jej stworzenie wcale nie jest takie proste, jak się wydaje. Nie masz zaplecza finansowego, to cię nie ma. A jak się dopchać do biznesu, jak znaleźć kanały dotarcia, jak cię nie znają? Zamknięte koło.

Bywa i tak, że władza nadeptnie na odcisk biznesowi, wtedy ma przerażane. Tak było w ostatnich wyborach w jednej z wioch. Biznesmen zażądał od wójta, by wstrzymał koncesję na wódkę dla sieci handlowej, co chciała się tam stawiać. On tam miał monopol, nie chciał konkurencji. Wójt powiedział, że nie może tego zrobić, to biznesmen wymyślił i zasponsorował konkurenta. Kilka głosów więcej i zamach by mu się udał. O głupią koncesję.

W sumie jedyna szansa dla nowych to wstrzelić się we właściwy moment. Władzę najczęściej traci się przez arogancję. Ludzie cię znają, uznają za fajnego gościa, a dostajesz mandat i ci odpala. Wierzysz, że jesteś nie do ruszenia. Ty jesteś pan, a inni mają leżeć, i to jeszcze grzecznie, jeżeli pozwolę. Bo jak nie, to jeszcze każe na was wleźć. Zwyczajni ludzie stają się chamami. Najważniejszymi czynnikami konfliktu stają się małość i małostkowość. Bo ten coś komuś powiedział. A tamten napisał w internecie. To staje się najważniejsze pod słońcem, siedzisz godzinami na fejsie, czytasz o sobie komentarze i buzuje ci pod kopułą.

To nikogo nie oszczędza. Samorząd zdegenerował brak kadencyjności. Czy to wójt, czy prezydent, czy radny – dwie kadencje i wypad. A skończyło się gminami, gdzie całe rodziny wójtów, radnych są

pozatrudniane. Teraz zmienił się rynek pracy, ale jeszcze kilka lat temu za lojalność zostawało się sprzątaczką albo dostawało się zasilek w opiece społecznej. To jest karykatura.

Ludzie to widzą i są wkurzeni, ale bezradni. Wiedzą, że sami nie zrobią nic. Nie potrafią się zorganizować. Zresztą, jak podejmą taką próbę,

to zaraz im władza jakiegoś kreta wpuści, co ich rozsadzi od środka. Albo gębę przypawi, że oni nic społecznie, tylko o robotę im chodzi, jak wszystkim.

To jest problem z obywatelskością. Jak we Francji czy Chile wzrośnie coś tam o 8%, to płonie Paryż, płonie Santiago de Chile. A u nas ile musi wzrosnąć, żeby coś ludzie zauważyli?

Zgadzam się, że patologie samorządowe wynikają z systemu, ale nie zgadzam się, że elementem tworzącym tę patologię jest jakiś zapis w prawie. Przyczynę widzę przede wszystkim w ordynacji wyborczej. To ona doprowadziła do sytuacji,

Pierwsza rzecz, która przychodzi ludziom do głowy, to zamordyzm. Mały patologie, dajmy władzy kontrolnej więcej uprawnień. Ale przecież to jej nie ukróci. Wytworzy tylko kolejną patologię.

Jest coś takiego jak masa krytyczna. Ale ona nie może się wytworzyć, bo jesteśmy w czasach globalizacji.

Przesypujemy się z miejsca na miejsce, nie jesteśmy niczym związani. Jak coś nam nie pasuje, możemy kupić bilet, spakować się i wyjechać. Kiedyś byliśmy związani z ziemią, miejscem i jeśli chcieliśmy zmiany, musieliśmy ją robić tu i teraz. A dziś nie. Chcemy zmiany, wynosimy się.

Zna pan taką książkę Kosińskiego „Wystarczy być”? To o niekumatym ogrodniku, który zbiegiem okoliczności zostaje kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wszystko się dzieje poza nim, on po prostu jest w odpowiednim miejscu i czasie. To właśnie samorząd.

Ludzie wiedzą, że tu są konfitury, można załatwić sobie dobre wynagrodzenie, można ustawić rodzinę. Dziś może to jest mniej atrakcyjne, bo i gospodarczo jesteśmy w innym miejscu, ale kiedyś było, i to bardzo.

Władzę najczęściej traci się przez arogancję. Wierzysz, że jesteś nie do ruszenia. Ty jesteś pan, a inni mają leżeć. Zwyczajni ludzie stają się chamami.

że chociaż komitet zdobywa 7% czy 8% w skali miasta, nie dostaje ani jednego radnego.

Jak mówimy o tym, że władza deprawuje, to ona deprawuje nawet wtedy, jak masz jej odrobinę. Radny trzeciej kadencji jest często gorszy niż nowicjusz. Ważne jest, jakie obywatel ma możliwości działania między wyborami. Co może zrobić jako społeczeństwo. Wyobraźmy sobie, że chcesz zadziałać na patologię. Jakie masz narzędzia? Policję i prokuraturę. Masz wojewodę, który może pogrozić paluszką, media, jeśli są, i społeczeństwo obywatelskie.



Samorząd działa siłą rozpędu. Nie ma tak, że ktoś decyduje, wszystko oparte jest na zarządzaniu bieżącym. To nie są ludzie pazerni na władzę, tylko tacy zwyczajni, co zrozumieli, że jak się działa w samorządzie, to można dobrze żyć. Jest cała szkoła, która mówi, że tylko jakiś procent ludzi jest liderami. Na spotkaniach głośniejsze się zachowują, w szkole to oni prowadzą imprezy, i zwykle to są samorządowcy. Ludzie ich znają.

Fragment książki Andrzeja Andrysiaka *Lokalsi. Nieoficjalna historia pewnego samorządu*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022



33. edycja Nagrody im. Zygmunta Glogera



Tegoroczni laureaci (nz. od lewej): prof. Kalina Bahneva, prof. Ludwik Malinowski – prezes „Stopki”, Michał Rydzewski – zastępca dyrektora Narodowego Centrum Kultury, Karolina Cicha, prof. Dariusz Rott, dr hab. Krzysztof Sychowicz, dr Krzysztof Skłodowski, prof. Tadeusz Panecki – przewodniczący kapituły, Maria Mielczarewicz ze Stowarzyszenia Rodzin Powstańców Wielkopolskich, Krystyna i Marek Wójtowiczowie, Beata Zadykowicz – dyrektor Książnicy Podlaskiej.

Wręczono nagrody 33. edycji Konkursu o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera. Otrzymały je następujące osoby i instytucje:

Nagroda I stopnia

- Prof. Kalina Bahneva (Sofia, Bułgaria) za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury polskiej w Bułgarii, wydobywanie polsko-bułgarskich związków kulturowych oraz wybitny dorobek naukowy, publicystyczny i translatorski

Nagroda II stopnia

- Karolina Cicha (Warszawa) za popularyzowanie muzyki mniejszości narodowych w Polsce i poza granicami

Dwie nagrody III stopnia

- Prof. Agnieszka Matusiak (Wrocław) za wybitny wkład w upowszechnianie kultury Słowiańszczyzny Wschodniej i budowanie współpracy polsko-ukraińskiej

- Dr hab. Krzysztof Sychowicz (Łomża) za pracę badawczą związaną z dziejami najnowszyimi regionu łomżyńskiego

Wyróżnienia

- Dr Krzysztof Skłodowski (Suwałki) za popularyzację tradycji pogranicza polsko-litewskiego

- Stowarzyszenie Rodzin Powstańców Wielkopolskich (Środa Wielkopolska) za upowszechnianie tradycji zrywu powstańczego w Wielkopolsce

Dwa wyróżnienia honorowe

- Krystyna i Marek Wójtowiczowie (Sieniawa, pow. nowotarski) za włączenie społeczności lokalnej w działania kulturalne
- Książnica Podlaska w Białymstoku za upowszechnianie i pielęgnowanie tradycji glogerowskiej



„Suite warszawska”, czyli tańce i piosenki starej Warszawy, wykonali odtwoje Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej.

Nagroda im. Zygmunta Glogera przyznawana jest co roku za szczególne zasługi w badaniu, ochronie i rozwoju kultury polskiej. Honoruje się nią badaczy oraz animatorów kultury tradycyjnej, którzy wzorem Zygmunta Glogera gromadzą dla przyszłych pokoleń, chronią i przekazują wiedzę o kulturze regionu. Konkurs zainicjowało i od lat organizuje Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze Stopka im. Stanisława Zagórskiego w Łomży.

LIST

✉ Nie tylko próg wyborczy

Pytanie tygodnia w nr. 39 dotyczy obniżenia progu wyborczego z 5% do 3%. Moim zdaniem próg wyborczy nie jest najważniejszym problemem. Jest kilka innych. Pierwszy to finansowanie partii politycznych z budżetu państwa, ale tylko tych, które w ostatnich wyborach przekroczyły próg 3%. Powoduje to ogromną nierówność podczas kampanii wyborczych, bo większe partie mają większe fundusze na organizowanie imprez wyborczych, na bardziej profesjonalne spoty wyborcze.

Drugim problemem jest sposób prezentowania przez stacje telewizyjne preferencji wyborczych. Często publikowane jest poparcie jedynie dla kilku głównych partii politycznych, a przecież zarejestrowanych ogólnopolskich ugrupowań jest więcej. Ludzie nieinteresujący się polityką

nie dowiedzą się z głównych stacji, że oprócz PiS, PO, PSL, Lewicy i Konfederacji są jeszcze inne, i automatycznie zamyka się krąg tych partii, które dostaną dofinansowanie.

Pamiętam sytuację z 2015 r., kiedy w jednej tylko debacie telewizyjnej występowali przedstawiciele wszystkich partii, które zarejestrowały listy wyborcze w ponad połowie okręgów wyborczych. Z ramienia partii Razem występował chyba Adrian Zandberg. I po programie poparcie dla Razem wystrzeliło w górę i zaczęło oscylować wokół 4%, a wcześniej było na poziomie ok. 1%

I to właśnie nierówny dostęp do mediów, a przez nie do potencjalnych wyborców, jest ważniejszy niż wysokość progu wyborczego.

Piotr Robecki



Bóle głowy przed Katarzem



Lewandowski zamiast skoncentrować się na własnej grze, musi nieustannie instruować kolegów, jak wybiegać na pozycje.

Postawa i gra Lewandowskiego to tylko jedna z wielu mundialowych niewiadomych

Maciej Polkowski

W piłkarskiej reprezentacji Polski występuje – zdaniem wielu – najlepszy napastnik świata Robert Lewandowski. Podczas minionego lata byliśmy chcąc nie chcąc świadkami jego perypetii związanych z przenosinami z Bayernu Monachium do FC Barcelony. Także w nowym klubie Lewandowski zdobywa gole jak na zawołanie. Z renomą supersnajpera przystępował do meczów z Holandią (0:2 w Warszawie) i Walią (1:0 w Cardiff), by nie oddać ani jednego strzału w kierunku bramki przeciwnika. Ani jednego strzału! Biało-czerwoni utrzymali się w dywizji A Ligi Narodów, zapewnili sobie też miejsce w pierwszym koszyku losowania grup eliminacji Euro 2024. Ale najpierw, już za kilka tygodni, finał mistrzostw świata

w Katarze. A postawa i gra RL9 to tylko jedna z wielu mundialowych niewiadomych.

Co zrobić z Lewandowskim?

Po części nawet rozumiem, dlaczego Lewandowskiego krew za-lewa. Zamiast skoncentrować się na własnej grze, musi nieustannie instruować niektórych kolegów, jak się ustawiać i wybiegać na pozycje. Na reprezentacyjnym poziomie jest zdecydowanie za późno na takie nauki. Wyraźnie widać, że selekcjoner Michniewicz wciąż nie ma jasności co do roli Roberta. Fakt, że Lewandowski jest kapitanem, to oczywistość i problem zarazem. Pojawiał się on już kilkakrotnie, wystarczy chociażby przypomnieć rosyjski mundial. Nie od dzisiaj wiadomo, że kolejni selekcjonerzy mieli znikomy wpływ na postawę oraz sposób

gry RL9. Nie inaczej wygląda relacja z Michniewiczem – przecież w pierwszą zagraniczną podróż, po nominacji, wyruszył właśnie do Monachium. Pan Czesław zdaje więc sobie doskonale sprawę, kto rzadzi i jest numerem jeden w narodowej kadrze. Najdobitniej świadczy o tym sytuacja z pierwszej połowy konfrontacji z Oranją, którą opisał kapitan narodowej: „Byliśmy przygotowani na nieco inną grę Holendrów, którzy po kilku minutach zmienili taktykę i trzeba było reagować. O tym rozmawiałem przy ławce z trenerem. Reakcja na boisku była zbyt późna”. Komentarz całkowicie zbyteczny.

A tak na rolę naszego asa zapatraje się Robert Szmigielski (Onet): „Zagranie Roberta Lewandowskiego do Karola Świderskiego przy zwycięskim голу z Walią było genialne. Jednak martwi, i to bardzo, że sam »Lewy« na takie podania nie ma co

liczyć. Czesław Michniewicz to kolejny już selekcjoner, który nie potrafi odpowiednio dobrać partnerów dla najlepszego napastnika świata. Sześć meczów i dwa gole. Tak wygląda bilans Roberta Lewandowskiego w reprezentacji Polski, odkąd na początku roku objął ją Czesław Michniewicz. Z tych dwóch bramek jedną Robert zdobył z rzutu karnego w spotkaniu barażowym ze Szwecją o awans do finałów mistrzostw świata. Z gry nasz najlepszy piłkarz jedyne trafienie zaliczył w spotkaniu Ligi Narodów z Belgią w Brukseli, gdy dostał doskonałe podanie od Sebastiana Szymańskiego. Było to 8 czerwca. Od tego czasu »Lewy« już nie otrzymał ani jednego dogrania, po którym mógłby zagrozić bramkarzowi rywali. (...) Ale dwa ostatnie spotkania Polaków pokazały, że jeśli sytuacja natychmiast się nie poprawi, to nasz as nie doczeka się pierwszego gola w finałach mistrzostw świata”.

Gwi(a)zdy na Narodowym

22 września biało-czerwoni przegrali 0:2 w żenujący sposób (bo trudno mówić o stylu) z Holendrami. Zamiast futbolowych fajerwerków w wykonaniu polskich gwiazd doczekaliśmy się donośnych gwizdów po zakończeniu spotkania. Najwyraźniej nasi zawodnicy – tak wychwalani za ligowe popisy – zostawili umiejętności w szatniach zagranicznych klubów. Zamiast grać w piłkę, bezproduktywnie za nią biegali. Nie można nad tą kompromitacją przejść do porządku dziennego.

Nie powstrzymał się od ostrej krytyki Maciej Petruczenko z „Przeglądu Sportowego”: „Zaraz po meczu nie miałem nawet ochoty na komentarz, bo moja opinia o stanie polskiego piłkarstwa od lat się nie zmienia. Tak jak Polska parafialna zamyka się na świat w ogóle, a Europę w szczególności, tak i na dworze PZPN wciąż utrzymuje się zatęchła atmosfera szkoleniowego zacofania. Jak na ironię, trenera, który okazał się za słaby na mizerniutką Legię, uczyniono selekcjonerem narodowego teamu. Może dlatego, że już dawno przestał czesać się u »Fryzjera«.

W Polsce nie brakuje piłkarskich talentów, które marnują się w pamiętającym czasy króla Ćwieczka systemie szkolenia. Dlatego najlepszymi graczami naszej – pożałuj Boże – Ekstrakasy (Ekstrakasy) są zawodnicy będący outsiderami w ligach zagranicznych. Oczywiście w futbolu już tak jest, że nawet dużo gorsza drużyna może wygrać lub zremisować z dużo lepszą, ale w skali wielu meczów, zwłaszcza na mistrzostwach świata, okazuje się, jakie są naprawdę umiejętności zespołu. W spotkaniu z Holandią nasi

Michniewicz doskonale zdaje sobie sprawę z tego, kto rządzi w narodowej kadrze.

reprezentanci, na których cześć zagrano hymn narodowy, pokazali, jak mierne są ich umiejętności techniczne i sprawność fizyczna. Oczywiście piłkarskich talentów w Polsce nie brakuje, ale do międzynarodowej klasy mogą dojść tylko taką drogą jak Robert Lewandowski, poprzez skorzystanie z zagranicznych wzorów. Sam »Lewy« jednak niewiele zdziała w otoczeniu futbolowych słabeuszy. Zwłaszcza wtedy, gdy na dodatek trener reprezentacji nie bardzo wie, kto w niej i w jakim układzie powinien grać”.

Albo wojna, albo przegrana

Najpierw (nagranie ujawnione po meczu w Cardiff, 25 września) zaapelował Wojciech Szczęsny: „Panowie, możemy godzinę gadać o taktyce. Ale jak dzisiaj nie będziemy gotowi na walkę, to nie mamy po co wychodzić na boisko. Wiem, jak wyglądają mecze z zespołami z Wysp. Albo jesteśmy k... na wojnie, albo przegrywamy”. Po nim zabrał głos kapitan Lewandowski. „My musimy walecznością najpierw na boisku pokazać, że chcemy grać, chcemy utrzymać się przy piłce, chcemy strzelić bramkę, dobrze będziemy bronili. Bez tego żadne »pykanie« nam nie pomoże. My jesteśmy reprezentacją, która musi walczyć i do tego dołożyć naszą jakość. Tylko tak możemy dzisiaj wygrać i zdobyć punkty. I to

jest nasze zadanie. Dawać! Idziemy!”, mobilizował kolegów przed wyjściem z szatni na boisko.

W Cardiff szatni nie było, ale naszym reprezentantom udało się wrócić stamtąd z trzema punktami. Zawdzięczając to fenomenalnej grze Szczęsnego w bramce, bo gdyby nie on, Walijszczyki mogli zdobyć nawet trzy gole; a także kapitalnej (zwycięskiej) akcji biało-czerwonych w 58. minucie. Wtedy Jakub Kiwior posłał piłkę w pole karne do Roberta Lewandowskiego, ten błyskotliwie odegrał do Karola Świdzkiego,

a napastnik w sytuacji sam na sam nie dał żadnych szans Wayne’owi Hennesseyowi. W zasadzie byłoby tyle dobrego.

Jakub Kiwior – kto to taki?

Do rozpoczęcia katarskiego mundialu pozostały niespełna dwa miesiące, co oznacza, że czas na jakiegokolwiek testowanie jest ograniczony do minimum. Selekcyonerzy większości reprezentacji nadają im już ostateczny szlif. Niepewna jest obsada dwóch, może trzech pozycji lub wyjściowa formacja. W wypadku kadry Polski prawie wszystko jest niepewne. Nasza gra jest nieprzekonująca, natomiast wybory Czesława Michniewicza w wielu wypadkach są kwestionowane.

Poza pewniakami, takimi jak Lewandowski, Szczęsny czy Zieliński, warto zwrócić uwagę na dwóch zawodników. Jednym z nich jest „odkurzony” przez Paula Souse napastnik Karol Świdzki, który w 17 występach w drużynie narodowej zdobył osiem bramek. Z Lewandowskim, najlepszym strzelcem w historii biało-czerwonych, łączy Świdzkiego m.in. gol w debiucie. Wychowanek Rawii Rawicz zdobył go w spotkaniu z San Marino (3:0) 28 marca 2021 r. Jego gol w 58. minucie zapewnił Polakom zwycięstwo 1:0. Napastnik amerykańskiego Charlotte FC zdobył też ▶

► bramkę w pierwszej konfrontacji tych ekip 1 czerwca we Wrocławiu, kiedy trafił w końcówce na 2:1. Ważnych goli w jego wykonaniu było już kilka. 8 czerwca 2021 r. bramka na 2:2 w 88. minucie uchroniła biało-czerwonych od porażki w meczu towarzyskim z Islandią w Poznaniu. Jeszcze większe znaczenie miało trafienie 12 października 2021 r. w Tiranie, które dało polskiemu zespołowi zwycięstwo 1:0 nad Albanią w spotkaniu eliminacji mistrzostw świata, mające duże znaczenie w walce

największy zwycięzca ostatnich zgrupowań przed mundialem. »W ogóle nie widać, że dołączył do tej drużyny niedawno. Po meczu z Holandią powiedziałem mu: Chłopie, ty tu nie przyjeżdżasz na kadrę, tylko grać w pierwszym składzie. To zawodnik z dużym potencjałem i mam nadzieję, że dalej będzie się tak rozwijał« – tak po meczu z Walią Jakuba Kiwiora komplementował Robert Lewandowski. (...) Dwoma ostatnimi występami w reprezentacji Kiwior zasłużył na pochwały jak mało kto. Po meczach

nowoczesnego stopera przystało«, mówi Sport.pl Jacek Magiera, który trzy lata temu powoływał Kiwiora do reprezentacji Polski do lat 20. Piłkarz Spezii to środkowy obrońca o charakterystyce, o jakiej marzy każdy trener. I nie chodzi tylko o umiejętności, które wymienił Magiera. Równie cenne, a rzadko spotykane, jest też to, że Kiwior to zawodnik lewonożny. To szczególnie istotne dla ustawienia z trójką środkowych obrońców, które preferuje Michniewicz. Lewonożny stoper ustawiony bliżej lewej strony boiska – przynajmniej w teorii – podaje szybciej, dokładniej, bardziej naturalnie», pisze Ferszter.

„W styczniu 2019 r., kiedy słowacki Żeleziarne Podbrezová sprowadzał Kiwiora za 10 tys. euro z juniorów Anderlechtu, słyszeli o nim nieliczni – kontynuuje. – Mimo że w tamtym sezonie jego zespół spadł do II ligi, to już pół roku później grał w MSK Žylina. Stamtąd latem zeszłego roku za 2,5 mln euro trafił do Serie A. (...) 22-latek, mimo że występuje w jednym ze słabszych zespołów Serie A, wyróżnia się do tego stopnia, że zainteresował się nim AC Milan. (...)

Tak samo dynamicznie rozwija się kariera Kiwiora w reprezentacji Polski. Jeszcze rok temu, gdy zaraz po transferze nie mieścił się w składzie Spezii, przyjeżdżał na zgrupowania kadry U-21 przed kluczowymi meczami w eliminacjach młodzieżowych mistrzostw Europy. Ostatni mecz w nich rozegrał 7 czerwca przeciwko Niemcom (1:2). Tydzień później miał już na koncie dwa występy w seniorskiej reprezentacji po spotkaniach z Holandią (2:2) i Belgią (0:1) w Lidze Narodów. Tak samo jak w klubach Kiwior wszedł do drużyny bez kompleksów i od razu należał do jaśniejszych postaci na boisku».

Problem w tym, że to nadal tylko czterech, pięciu piłkarzy, a o sukcesie w futbolu decyduje cała drużyna. Nie chodzi o to, aby była ona wypełniona największymi gwiazdami, musi po prostu funkcjonować jako całość. Nam do tego sporo brakuje. Pierwszy mecz na mistrzostwach w Katarze 22 listopada z Meksykiem – ale to już kompletnie nowy rozdział futbolowej księgi.

Maciej Polkowski

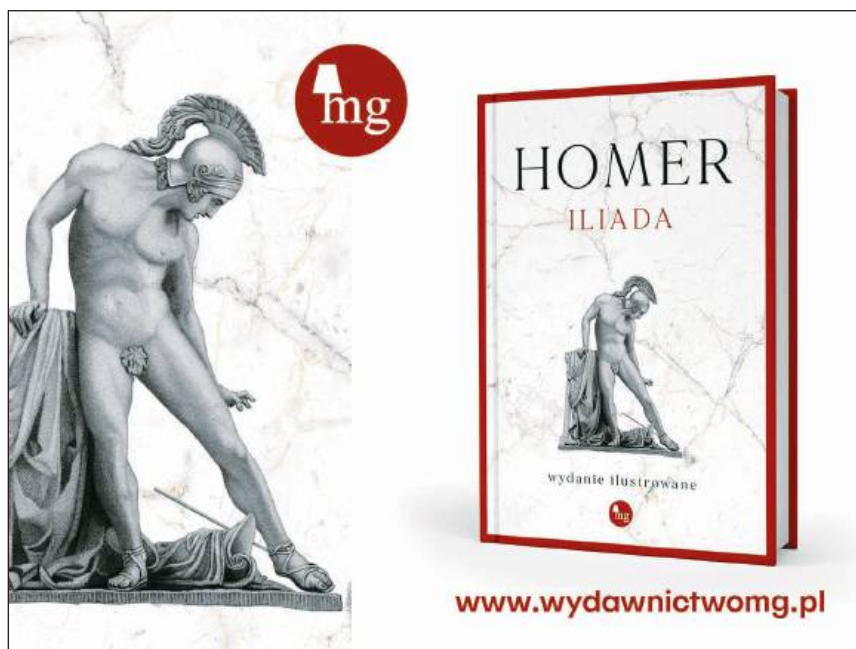
W meczu z Holandią nasi zawodnicy zostawili umiejętności w szatniach zagranicznych klubów.

o drugie miejsce w grupie, uprawniające do gry w barażach o awans, zakończonych sukcesem reprezentacji.

Sylwetkę drugiego gracza, Jakuba Kiwiora, który przebojem wywalczył miejsce w podstawowej reprezentacyjnej jedenastce, przybliżył Konrad Ferszter (Sport.pl). „Niewiele ponad trzy lata temu spadał ze słowackiej ekstraklasy i otrzymywał pierwsze powołania do reprezentacji Polski U-20. Dziś nie sposób sobie wyobrazić, że Czesław Michniewicz posadzi go na ławce w pierwszym meczu mistrzostw świata. Jakub Kiwior to

z Holandią i Walią można go nazwać największym wygranym ostatniego przedmundialowego zgrupowania. Kiwior nie tylko udowodnił, że zasługuje na wyjazd do Kataru. Na 57 dni przed meczem z Meksykiem w Dosze trudno wyobrazić sobie bez niego wyjściową jedenastkę. (...)

»Kiwior to zawodnik inny niż Kamil Glik i Jan Bednarek. Kiwior to piłkarz, który nie tylko doskonale broni, ale też znakomicie czuje się z piłką przy nodze i potrafi ją wprowadzić do gry. Takie połączenie to rzadkość u środkowego obrońcy, a on to ma, jak na



HOMER
ILIADA

wydanie ilustrowane

www.wydawnictwomg.pl



Miejsce to robi niesamowite wrażenie. Wokół zwykły, przemysłowy las sosnowy, a tu mikroklimat, intensywna zielen.

Wołanie na Puszczy Bydgoskiej

Przez bezcenne przyrodniczo źródłisko w środku lasu wytyczono nową drogę. Wbrew opiniom ekspertów

Grażyna Nowicka

Chciałoby się wierzyć, że tragedia Odry czegoś nauczy. obrońcy źródliśka w Puszczy Bydgoskiej nie mają jednak złudzeń. Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad niczego nie chce się nauczyć.

Puszcza Bydgoska nie dorównuje rangą Białowieskiej. Nie ma tu pozostałości pierwotnego lasu, nie ma żubrów, nie przyjeżdżają na polowania ostatni car Rosji. Piachy i sosny. Jedyne, co swego czasu uczyniło ją sławną, to batalia sprzed ponad 20 lat o maszt radiowy Programu I Polskiego Radia, który ostatecznie stanął w jej środku, bo referendum wygrali jego zwolennicy.

Nie ma co się łudzić, że teraz w obronie puszczy zjadą z całej Polski ludzie, by się przykuć łańcuchami do drzew, jak to robili w Białowieży i dolinie Rospudy. Ale czy

nie zrobią tego lokalni obrońcy przyrody? Bardzo prawdopodobne, że zostaną do tego zmuszeni. Puszcza Bydgoska ma bowiem skarb, a precyzyjniej – dwa skarby, z których jeden jest bezpieczny, a o drugi walczą z determinacją. Pierwszy to źródłisko Rudy i nie ma tu zagrożenia; ten drugi to źródłisko Wypaleniska, które ma rozjechać nowa droga. Bo tak zaplanowała sobie Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, za przyzwoleniem Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Bydgoszczy (decyzję środowiskową podpisała Maria Dombrowicz) i poparci GDOŚ. Bo tak wyrysował na mapie projektant z Katowic, który Puszczy Bydgoskiej nie widział na oczy, a o źródłisku nie słyszał. Nie pomagają argumenty o okaleczeniu, rozkopaniu cennych terenów i wycięciu hektarów lasu. Ze zdaniem lokalnej społeczności nikt się nie liczy. Z ekspertami także.

Wodopój

Moim przewodnikiem do źródliśka w Wypaleniskach jest Tomasz Głowski, prawnik, mieszkaniec Solca Kujawskiego. Kiedyś wołał, by mało kto o tym miejscu wiedział, bo po co straszyć zwierzęta, dewastować ściółkę. Teraz chętnie pokazuje, by ludzie wiedzieli, co mogą stracić na zawsze.

Skarpa na obrzeżach Puszczy Bydgoskiej. Graniczy z podsoleckimi osadami Makowiska i Otorowo. Wysoka jest na ok. 20 m, długa na 250-300 m. Na całej długości i szerokości tej ściany wypływa z ziemi setka albo i więcej źródełek czystej, natlenionej wody, niezamarzającej zimą, która podziemnymi kanałami wpada do niedalekiej Wisły. Zanim jednak zasili wody podziemne i największą polską rzekę, tworzy u stóp skarpy strugę – wodopój dla zwierząt. Zbudowano tu cztery zastawki, ►

► za unijne pieniądze zresztą, by woda nie uciekała tak od razu w głąb ziemi.

Miejsce to robi niesamowite wrażenie. Wokół zwykły, przemysłowy las sosnowy, a tu mikroklimat, intensywna zieleń. Dorodne drzewa: olchy, jesiony, dęby, jawory, stuletnie sosny, których wysokość dorównuje tym rosnącym na górze.

– To miejsce mało kto zna – mówi Tomasz Głowski. – Pokazał mi to cudo z osiem lat temu ówczesny nadleśniczy Jakub Siedlecki. Jest dzięki, nie prowadzi do niego na szczęście żaden szlak spacerowy po puszczy, żadna ścieżka dydaktyczna. Co innego Rudy, które mają status użytku ekologicznego. Tam to wszystko jest. Tu przychodzą napić się wody sarny, jelenie, lisy, dziki, łosie, może wilki. To jedyne, oprócz źródliska w Rudach, miejsce w Puszczy Bydgoskiej, gdzie mają wodę. I ten jedyne wodopój w tak wielkim lesie ludzie chcą im zniszczyć. Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych

wymyśliła. Ktoś na mapie pociągnął kreskę, bo mu tak pasowało, i mamy się cieszyć. Myśleliśmy, że pójdą po śladach starej, poszerzą pobocza, może drobna korekta, modernizacja. Jak ludzie zobaczyli, co nam szykują, zaczęły się protesty, odwołania.

– Ręce opadają – Elżbieta Wysocka, prezeska Stowarzyszenia Rozwoju Solca Kujawskiego, nie wie, co jeszcze można by zrobić. Dotychczasowa obrona Wypalenisk to dla niej oprócz satysfakcji moralnej stracony czas, zszargane nerwy i spore koszty. Kiedy w październiku 2017 r. na spotkaniu z przedstawicielami GDDKiA mieszkańcy wyraźnie powiedzieli, że nie chcą drogi w wersji im przedstawionej, zaczęła działać. Dla niej było oczywiste, że jeśli projekt nie zostanie poprawiony, dojdzie do dewastacji przyrody. Jako dyrektorka szkoły organizowała wyprawy do puszczy, w 2010 r. opracowała projekt „Tajemnice Puszczy Bydgoskiej” – dzieciaki robiły zdjęcia ptaków, roślin,

Wysocka nie złożyła broni. W ubiegłym roku przewodniczący parlamentarnego zespołu do spraw budowy drogi S10 obiecał, że zjawi się w Solcu na tzw. spotkaniu wyjazdowym. Miejscowi wszystko pozatłatwiali, poseł nie przyjechał. No to ona wprosiła się na posiedzenie do Warszawy i w grudniu ub.r. po raz kolejny zaprezentowała przeciwko praktykom GDDKiA, przekonując do trasy, która będzie omijać źródłiska oraz wysypisko śmieci. Towarzyszył jej Andrzej Hoffman, autor tego alternatywnego projektu, obecni byli eksperci z tytułami naukowymi. I cisza.

Eksperci kontra cała reszta

Opinia prof. dr. hab. Marka Bednarczyka z Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego (obecnie Politechnika Bydgoska) z końca listopada 2020 r. została przez GDDKiA zlekceważona. Profesor wykonał ją na zlecenie Drobeksu, zakładu jajczarsko-drobiarskiego, ponieważ zachodziła obawa, że droga, jaką wytyczono, może zakłócić pracę zainstalowanych tam bardzo czułych, kosztownych urządzeń. Napisał w niej: „Należy jednoznacznie stwierdzić, że realizacja planowanej trasy drogi (...) nosi znamiona biohazardu” (zagrożenie biologiczne).

Na zlecenie gminy Solec Kujawski ekspertyzę hydro-geotechniczną źródlisk w Wypaleniskach przeprowadzili naukowcy z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, prof. dr hab. inż. Maciej Kordian Kumor i prof. dr hab. Andrzej Sadurski. Nosi ona datę 11 lutego 2022 r. i jest druzgocąca dla projektantów S10 na odcinku Emilianowo-Solec Kujawski. Uczeń stwierdził, że najwrażliwszym rejonem dla lokalizacji pasa drogowego S10 według koncepcji Generalnej Dyrekcji jest właśnie teren źródlisk – obszar o najwyższych wodorach środowiskowych, wodnych i hydrogeologicznych. Wymaga on specjalnej ochrony m.in. ze względu na strefę zasilania zasobów wysokiej jakości wód pitnych, prawnie chronioną. Ale to nie wszystko. Eksperci stwierdzili, że to najtrudniejszy technicznie i najdroższy w realizacji wariant przebiegu drogi ekspresowej.

Wypaleniska mało kto zna. To dzięki miejscu, nie prowadzi do niego żaden szlak spacerowy. Tu przychodzą napić się wody tylko sarny, jelenie, lisy, dziki, łosie, może wilki.

i Autostrad udaje, że tego miejsca nie ma, nawet Naczelny Sąd Administracyjny chce o tym przekonać.

Po drugiej stronie życiodajnej skarpy dziura w ziemi. To stara zwirownia, skąd wydobywano kruszywo. Teren całkowicie zdegradowany. Za nim wysypisko popiołów poprzemysłowych. Tamtędy mogłaby przebiegać nowa trasa. Tym bardziej że po drodze znajduje się wysypisko śmieci dla bydgoskiej firmy ProNatura, do którego był dogodniejszy i tańszy dojazd.

Głową w mur

– Nikt w Solcu nie neguje, że nowa droga jest potrzebna – to słowa burmistrz Teresy Substyk. – Jest konieczna. Tę, którą mamy, nazwano drogą śmierci. Jeśli przez miasto jedzie karetka na sygnale, to pierwsza myśl, że znów był wypadek na dziesiątce i są kolejne ofiary. Nowa droga tak, ale nie trasą, którą GDDKiA sobie

zwierząt, powstał piękny album z ich pracami. Z byłym nadleśniczym Jakubem Siedleckim doprowadziła do powstania leśnej ścieżki w Rudach.

W lutym 2018 r. jej stowarzyszenie przedstawiło GDDKiA projekt trasy, która omijałaby źródłiska. Odpowiedź była szybka: przebiegi drogi ekspresowej wybrane przez drogowców są optymalne i koniec. Kiedy w maju zeszłego roku GDDKiA poinformowała, że obstaje przy swoim, Elżbieta Wysocka i jej stowarzyszenie wystosowali protest do Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu (i wszystkich świętych – mówi z ironią prezeska) przeciwko temu, co robi Generalna Dyrekcja. Napisał, że proponują własny projekt, który omija źródłiska, strugi i stawy. Na apel o wsparcie nie odpowiedzieli bydgoscy europosłowie Kosma Złotowski (PiS) i Radosław Sikorski (PO) ani posłowie (z PiS) Tomasz Latos, Ewa Kozanecka, Piotr Król, Łukasz Schreiber.

Korekty wymaga odcinek długości ok. 9,1 km. Proponowany przez ekologów przebieg drogi miałby taką samą długość i byłby tańszy.

Jak widać, decydentów nie obchodzi, że za ich sprawą naruszone zostaną obszary źródliskowe potoków Rudy i ciek z Wypalenisk w rejonie wydmy Puszczy Bydgoskiej, w bezpośrednim sąsiedztwie Solca Kujawskiego. Czyżby pieniądze również nie grały roli? Ta ekspertyza przedstawiona została przez profesorów na ubiegłorocznym posiedzeniu parlamentarnego zespołu ds. budowy drogi S10.

San wysycha, Odra zatruta, a GDDKiA pozwala sobie na ingerencję w źródła, których nie wolno ruszać. Będziemy miastem nad Wisłą, które wodę bierze z beczek.

Nie trafia też do drogowców inny argument. W styczniu br. ornitolożka Monika Wójcik-Musiał z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, wiceprezes Towarzystwa Przyrodniczego Kawka, przygotowała opinię ornitologiczną. Czytamy w niej: „Teren stanowi miejsce rozrodu, żerowania i odpoczynku kilkudziesięciu gatunków ptaków objętych ochroną. Z uwagi na występowanie licznych źródeł niezamierzających zimą stanowi całoroczny wodopój dla ptaków, jak i innych zwierząt”.

I jeszcze jeden głos. W opinii botanicznej (styczeń br.) dr hab. Katarzyna Marcysiak, profesor Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, zwróciła uwagę, że lekceważenie przez GDDKiA nakazów ochrony przyrody spotka się z dezaprobatą społeczną. Pani Profesor! Oni, jak wynika z dotychczasowych zachowań, tej dezaprobaty się nie boją. Ekspertyzy? Swoich nie mają, cudzych nie szanują.

Ograć NSA

O ile Elżbieta Wysocka wyczerpała już wszelkie skuteczne według niej możliwości walki, o tyle Tomasz Głowski i Beata Woźniacka, prezeska Fundacji JeKo (Jak Jeż z Kotem), nie odpuszczają. Już kilka lat walczy z determinacją i poświęceniem,

toteż zapowiadają, że walczyć będą do końca. – Najpierw drogą prawną, potem się zobaczy. Nawet gdyby trzeba było przykuć się do drzewa – śmieje się pan Tomasz. Ale może nie trzeba będzie, bo miejscowi zapowiedzieli już blokadę ciągnikami i szycją się do starcia.

– Źródło jest rzeczą świętą – denerwuje się pani Beata. – San wysycha, Odra zatruta, a GDDKiA pozwala sobie na ingerencję w źródła, których nie wolno ruszać. Nie mają prawa niszczyć Wypalenisk. Dojdzie do tego, że będziemy miastem nad Wisłą, które wodę bierze z beczek.

Czego już nie próbowali! W 2013 r., kiedy w mieście powstał komitet społeczny, chodzili po ludziach, zbierali podpisy. Były banery rozwieszane przy drodze, założyli stronę internetową „S10 można inaczej”, organizowali marsze, spacerowały po puszczy.

W jednym z takich spacerów uczestniczyli Justyna i Marcin, 30-latkowie z Bydgoszczy. Dowiedzieli się o nim z internetu, a że oboje są zaangażowani w walkę o środowisko, wybrali się z poparciem do Solca.

Korekty wymaga odcinek długości ok. 9,1 km. Proponowany przez ekologów przebieg drogi S10 miałby taką samą długość i byłby tańszy.

– To nie była żadna manifestacja ani protest, tylko bardzo fajny spacer do źródeł, bo ludzie nie mieli pojęcia, że coś takiego jest w ich lesie – opowiada Marcin. – Bez krzyków, propagandy. W spacerze brali udział młodzi, starsi, rodzice z dziećmi na rowerkach, rowerzyści. Spotkaliśmy tam myśliwych, z którymi mamy na pieńku. Tym razem im odpuszciliśmy. Zaprośmy nas na grilla, podziękowaliśmy. Jesteśmy weganami.

Przyszł czas na walkę w sądach. Ponad rok temu Fundacja JeKo jako jedna z wielu złożyła skargę na decyzję Generalnej Dyrekcji Ochrony

Środowiska, która zdawała się nie dostrzegać, że Wypaleniska istnieją. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie ją odrzucił, podobnie jak pozostałe. 30 czerwca br. skarga kasacyjna JeKo trafiła do Naczelnego Sądu Administracyjnego. W odpowiedzi na nią odezwali się drogowcy, a nie ochrona środowiska, i to, co zrobili, jest jednym wielkim oszustwem. W miejsce Wypalenisk i w piśmie, i na mapce, którą załączyli, podstawili źródło w Rudach, które faktycznie planowana droga omija. Zagranie prymitywne, ale może liczyli, że sąd nie dość starannie przeanalizuje materiał dowodowy i da się złapać na matactwa.

– Oni zakłamują rzeczywistość, zresztą kłamią od samego początku – Beacie Woźniackiej znów puściły nerwy. 8 września wraz z Tomaszem Głowskim jako fundacja złożyli w tej sprawie pismo procesowe do NSA. Znalazły się tam takie stwierdzenia: „Postępowanie inwestora, który z uporem godnym lepszej sprawy stara się pominąć fakt istnienia źródeł w Wypaleniskach, ocenić trzeba (...) jako zdumiewającą i nieskuteczną próbę zatajenia okoliczności faktycznych, mających kluczowe znaczenie dla rozstrzygnięcia. (...) Całokształt argumentacji inwestora (...) powinien zostać oceniony jako nielojalny fortel erystyczny, który

zmierza do wywarcia przez inwestora presji na NSA oraz oderwania kontroli sądowo-administracyjnych od istoty rozstrzygnięcia w niniejszym postępowaniu”.

•
Solec Kujawski jest bliskim sąsiadem bydgoskiej dzielnicy Łęgnowo. A Łęgnowo to Zakłady Chemiczne Zachem – największa bomba ekologiczna w Polsce (więcej na ten temat w PRZEGŁADZIE nr 39/2022). Doszło tam do skażenia wód podziemnych. W tych stronach każdą kroplę wody powinno się szanować.

Grażyna Nowicka

Piotr Dombrowski,
Paweł Sredziński

W październiku jesteśmy świadkami polskiej złotej jesieni. Kolory mile zaskakują, ale i smucą tych bardziej melancholijnie nastawionych do życia. Jednak w świecie przyrody nie ma miejsca na takie sentymenty. Dopiero przed chwilą skończył się czas łosiowych zalotów. Temperatury są niższe, co z pewnością cieszy łosie, przystosowane do życia w surowym klimacie północy. Niektóre samce wciąż jęczą i szukają partnerki, ale burza hormonów definitywnie się kończy. To już są łosiowe ostatki. Nad krainą łosia ciągną klucze żuraw. Przypominają o nadchodzącej burej części roku, szarudze i zimie. (...) Przyroda powoli się uspokaja i wycisza. Pozorne to jednak wyciszenie. W krainie łosia wciąż tętni życie, może już nie tak spektakularnie, ale jesień i zima nie oznaczają całkowitego stanu zawieszenia w przyrodzie.

W październiku myśliwi chcieliby polować na łosie wszystkich płci i w każdym wieku. O ile we wrześniu na celowniku miały się znaleźć otumanione okresem godowym samce i strzelanie do nich byłoby możliwe aż do 30 listopada, to od 1 października do ofiar miłośników łowiectwa dołączyłyby samice i łoszaki. Piszę – dołączyłyby, ponieważ jak dotąd dwóm ministrom środowiska nie udało się przymusić do wznowienia polowań na łosie.

Pierwszą próbę przywrócenia zgody na zabijanie łosi chciał podjąć w 2014 r. minister Maciej Grabowski. Okazało się, że o ile miał wsparcie leśników i myśliwych, to jednak spotkał się z ostrym sprzeciwem społecznym. Petycje, akcje i apele poskutkowały i ówczesny szef resortu postanowił odłożyć decyzję w czasie. Powstała specjalna grupa, która miała zastanowić się nad przyszłością zarządzania populacją łosia w Polsce. Odbyły się konsultacje i spotkania, bo apetyt na łosia pozostał. I rósł wraz z odradzaniem się populacji, oto bowiem w krainie łosia pojawiły się dostojne samce, z coraz lepszym porożem.



Polowanie na łosia

W październiku myśliwi chcieliby polować na łosie wszystkich płci i w każdym wieku

Trzy lata później kolejny minister środowiska, Jan Szyszko, postanowił wrócić do tematu moratorium. Tym razem procedowanie wznowienia odstrzału łosia przebiegało w zupełnie innych warunkach. Nie było w tej sprawie szerokich konsultacji. Tych, którzy łosia chcieli chronić, nikt o zdanie nie pytał. Taki styl podejmowania decyzji przez ówczesnego ministra wzbudzał wiele kontrowersji, choć zapewne miał też swoich zwolenników w szeregach leśników i myśliwych. A to właśnie te dwie grupy, podobnie jak w 2014 r., były najbardziej zainteresowane wznowieniem polowań na łosie. Leśnicy argumentowali swoje postulaty tym, że łos zjada im uprawy. Ci drudzy nie kryli wielkiego apetytu na łosia – strzelić legalnie do niego chciałoby z pewnością wielu amatorów polowań. W związku z tym, że do łosi w Polsce nie można strzelać, polski myśliwy, jeśli zamarzy o łosiowym trofeum, musi jeździć za granicę. Tajemnicą polszynela jest również fakt, że spora część leśników lubi polować, a i Państwowe Gospodarstwo

Leśne Lasy Państwowe ma specjalną ofertę łowiecką.

W 2017 r. to właśnie oferta łowiecka, która pojawiła się na stronie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie, stała się jednym ze zwiastunów planowanego wznowienia polowań na łosie. Wśród gatunków oferowanych przez olsztyńskich leśników znalazły się i nasze gapioszony. Odstrzał byłaby miał kosztować 600 zł, zabicie kłepy i łoszaka zostało wycenione na 500 zł. Oddzielnie należało zapłacić za trofeum. Poroże zdjęte z zabitego samca było wyceniane na podstawie wagi. Za poroże o masie do 3 kg myśliwy zapłaciłby 1,2 tys. zł, a te największe o masie 5 kg i więcej kosztowało 3,2 tys. zł, przy czym za każdy dodatkowy kilogram myśliwy powinien zapłacić leśnikom 12 zł. Najtańsze były trofea z samic i łoszaków. Tutaj koszt wynosił zaledwie 90 zł, a w cenie były rapcie, czyli racice. Lasy Państwowe tłumaczyły wówczas mediom, że to była pomyłka, ponieważ ktoś posłużył się starym formularzem i zamieścił ten dokument na stronie.

Nadchodzące ogłoszenie wyroku na łosie zapowiadały już słowa prominentnych przedstawicieli resortu środowiska i Lasów Państwowych, którzy na konferencji w Białymstoku bili na alarm: „Łoś wchodzi w konflikt z człowiekiem, z gospodarką, zapewnieniem bezpieczeństwa, a władze publiczne zobowiązane są do tego, żeby bezpieczeństwo zapewnić”, mówił wiceminister środowiska Andrzej Konieczny, późniejszy generalny dyrektor Lasów Państwowych. Po czym stwierdził, że „naocznie widać, że łosi jest bardzo dużo”. Przy czym sformułowanie „naocznie” chyba najlepiej oddawało „precyzję” często powtarzanego argumentu za wznowieniem polowań – „łosi jest za dużo”.

„Niewątpliwie przyszedł czas, żeby się łosiem zająć”, wtórował Koniecznemu zastępca dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku Andrzej Gotembiewski. Dodał, że na terenie tej dyrekcji w 2002 r. żyło 1,1 tys. łosiej, a 15 lat później prawie 8,3 tys. Z danych z prezentacji RDLP wynikało, że w 2016 r. łosie zniszczyły ok. 3,5 tys. ha leśnych upraw. Z kolei na stronach lubelskiej dyrekcji lasów pojawił się „mobilizacyjny” komunikat, bowiem „łosie rosną w siłę”.

Nie od dziś wiadomo, że wielu leśników, którzy odpowiadają za hodowlę lasu, uważa łosia za szkodnika. Owszem, gapiszon potrafi pozgrzyzać, ale nie jest to stan klęski przyrodniczej. Jest to raczej odwieczny konflikt między hodowcą a naturą. Jednak jeśli niszczeniem nazywamy obgryzanie młodych drzew przez łosie w okresie zimowym, to jak mamy nazwać działania ludzi, którzy prowadzą wycinkę w lesie?

Łosiowy dramat roku 2017 rozegrał się w kilku aktach. Oprócz wspomnianych wydarzeń – olsztyńskiej oferty polowań z cennikiem i konferencji z udziałem ministerialno-leśnej wierchuszki – pozostało oczekiwać na kluczowy akt „Polowania na łosia”. A tym był projekt ministerialnego rozporządzenia, który resort środowiska pod kierunkiem ministra Jana Szyszki postanowił ogłosić na łamach rządowych portali. Minister Szyszko przyzwyczaił nas do ekspresowego

trybu wdrażania kontrowersyjnych pomysłów. Zastąpił nie tylko polowaniem na łosia, ale i dobrych parę lat wcześniej konfliktem o Rospudę, a potem znaną na cały świat wycinką w Puszczy Białowieskiej, która wywołała niespotykane jak dotąd protesty w obronie przyrody. Procedowanie wznowienia odstrzału łosia odbyło się na zupełnie innych zasadach niż w 2014 r. W dniu ogłoszenia projektu rozporządzenia ministerstwo skutecznie ograniczyło grono adresatów konsultacji społecznych, pomijając większość organizacji i instytucji zajmujących się ochroną przyrody i ochroną zwierząt.

Minister nie dość, że do składania uwag do projektu rozporządzenia zaprosił bardzo wąską grupę, to dodatkowo skrócił czas wnoszenia poprawek do pięciu dni. Pośpiech i narzucone szybkie tempo prac wynikały z tego, że do łosia chciano strzelać już jesienią tego samego roku.

Uzasadnienie decyzji o odstrzale było dość chaotycznie przygotowaną argumentacją. Autorzy nie starali się

„Nie prowadzimy jakichś odrębnych statystyk dla zdarzeń drogowych z udziałem łosia, wilka, jelenia, sarny itd. Te wszystkie zdarzenia, jakie mamy u siebie odnotowane, kwalifikujemy jako najechanie na zwierzynę, kolizję ze zwierzyną, zdarzenie ze zwierzyną, bez rodzaju zwierzyną”. Nie zważając na te fakty, Ministerstwo Środowiska opublikowało na swoim fanpejdżu infografikę, w której wskazywało na 15 tys. zderzeń aut ze zwierzętami, a już w samej treści wpisu w mediach społecznościowych grzmiało: „Niekontrolowany wzrost liczby łosiej ma wpływ na stale rosnącą liczbę wypadków drogowych z udziałem dzikich zwierząt. Tylko w pierwszej połowie 2017 r. liczba kolizji i wypadków przekroczyła 10 tysięcy!”. W ten sposób nieobeznany z tematem odbiorca mógł odnieść wrażenie, że łoś jest głównym sprawcą takich zdarzeń.

Nie lepiej wyglądało uzasadnienie wznowienia polowań na łosie w innych częściach ministerialnego projektu. Przez te lata zdążyłem

Strzelanie do łosia nie należałoby do trudnych zadań.

nawet o dokładne wyjaśnienie powodów wznowienia polowań. Czasami brakowało w tym wywodzie logicznego ciągu, czego należałoby się spodziewać po uzasadnieniu decyzji ministra. Rozporządzenie wznowiające polowania na łosie nie jest przecież wpisem na bloga. Tymczasem w jego uzasadnieniu roiło się od sprzeczności. Otóż zniesienie moratorium miało ochronić Polki i Polaków przed łosiem. Zdaniem resortowych fachowców łosie odpowiadały za wzrost liczby wypadków drogowych, w dalszej części przyznając, że właściwie to nie wiadomo, ile jest wypadków z łosiem. I tego ile ich jest, zdaje się nie wiedzieć również policja. Dlaczego? Cofnijmy się jeszcze na chwilę do owej konferencji z czerwca 2017 r. Był na niej obecny nie tylko wiceminister Konieczny, który mówił o zagrożeniu na drogach. Oprócz niego głos zabrał komendant wojewódzkiej policji, który w czerwcu mówił tak:

się już przyzwyczaić do fantastyki w zakresie podawanych oficjalnie stanów liczebności zwierząt, w tym łosia w Polsce. Dane szacunkowe są tylko cyframi na papierze. Nikt nie wie, ile łosiej jest w naszym kraju. Trudno bowiem, a wręcz jest to sztuka niemożliwa, policzyć łosie co do jednego osobnika. Można szacować, a szacunki mogą być różne, nawet parokrotnie zawyżone.

Jeśli chce się strzelać do łosiej, to należy wykazać, że rzeczywiście jest ich już „za dużo”. Klub Przyrodników w odpowiedzi na te obarczone znacznym błędem oszacowania pisał: „Dane sprawozdawczości to wieckiej nie mogą być traktowane jako wiarygodne źródło dokładnych informacji, gdyż wykazują pomiędzy poszczególnymi latami różnice biologicznie niemożliwe. (...)”.

Ale i to nie wystarczyło resortowi środowiska. Autorzy projektu rozporządzenia postanowili odwołać się jeszcze do zagrożenia, które może ▶

► kiedyś dotrzeć do Polski. Chodziło im o chroniczną chorobę wyniszczającą jeleniowatych – znaną pod angielską nazwą *chronic wasting disease* (CWD). Ministerstwo Środowiska uzasadniało odstrzał łosia wystąpieniem dwóch przypadków tej choroby wśród norweskich reniferów. W związku z tym hipotetycznym zagrożeniem polscy myśliwi mieli strzelać do łosia, a zabite zwierzęta miały być sprawdzane, czy nie chorowały na CWD.

Pojawił się jeszcze jeden argument za wznowieniem polowań na łosie. Już w 2014 r. resort środowiska motywował przywrócenie polowań poszerzeniem „wachlarza usług dla myśliwych z kraju i zagranicy”.

Wielu leśników, którzy odpowiadają za hodowlę lasu, uważa łosia za szkodnika.

A zatem, oprócz wykonania obowiązku „ochrony” upraw leśnych i polskich dróg przed „bestią” zwaną łosiem, można byłoby jeszcze na tej „ochronie” zarobić. Włosi, Niemcy, Belgowie, Francuzi, łowcy tak krajowi, jak i zagraniczni, mieliby możliwość odstrzału łosia w Polsce.

•

Kiedy zdaliśmy już poznać argumentację Ministerstwa Środowiska za wznowieniem polowań na łosie, rozpętała się burza. W ciągu kilku godzin postanowiłem rozpocząć akcję #JESTEMZŁOSIEM. To była moja druga akcja w obronie łosia, po trzyletniej przerwie. Nie stały za nią kampanijne budżety czy chęć zebrania pieniędzy – jak sugerowali mi potem oponenci – ale potrzeba zmobilizowania ludzi, którzy nie godzą się na odstrzał łosia. Błyskawicznie opublikowana petycja zebrana w równie szybkim tempie tyśiące podpisów miłośników łosia. W 2014 r. te podpisy i medialna burza wystarczyłyby do skłonienia decydentów, aby jeszcze raz prześmyśleli swój pomysł. Tym razem tak się nie stało. Twarda ministerialna linia zobowiązująca resort do obrony raz zaprezentowanego pomysłu wygrała z dialogiem ze społeczeństwem. Jeśli jeszcze weźmiemy

pod uwagę fakt, że minister Szyszko także przy swoich pozostałych decyzjach – jak tej w sprawie Puszczy Białowieskiej – raczej nie zmieniał raz obranego kursu, to otrzymamy receptę na sytuację beznadziejną. Byłem przekonany, że nie uda się nam zatrzymać odstrzału łosia.

Natomiast w środowisku myśliwych dało się obserwować oznaki swoistej euforii. „Łowiec Polski” obwieszczał powrót króla. Zachwalał dania z łosia. Mogliśmy też na łamach łowieckiej prasy przeczytać o tym, jak łosia oporządzić po polowaniu, jak poradzić sobie z jego wyciągnięciem, jeśli spróbuje w śmiertelnych konwulsjach uciec na podmokły teren. Podejrzewam,

że wielu amatorów strzelania do zwierząt zaczęło już planować swoje łowy, które miały zacząć się tym razem z lekkim opóźnieniem wobec procedowania ministerialnego rozporządzenia. Przygotowania szły pełną parą.

Strzelanie do łosia nie należałoby do trudnych zadań. Ci, którzy łosie znają, nie mieli wątpliwości, że polowanie na ten gatunek będzie rzezią. (...) Łosie czekała tragedia w nadchodzącym sezonie polowań. 23 października 2017 r. okazało się, że minister podpisał już rozporządzenie, którego treść została opublikowana dwa dni później. Jednak stało się coś niemożliwego. 26 października minister musiał wycofać się ze swojej decyzji o odstrzale łosia. Po raz pierwszy żelazny w swojej konsekwencji szef resortu środowiska nie osiągnął zamierzonego celu. Nagle, w niewyjaśnionych okolicznościach, odwołał swoją decyzję. To odwołanie odbywało się w atmosferze chaosu. Z pierwszego komunikatu, który pojawił się na stronie ministerstwa równie szybko jak i zniknął, wynikało, że „Ministerstwo Środowiska wstrzymuje wejście w życie rozporządzenia zmieniającego

rozporządzenie w sprawie określenia okresów polowań na zwierzęta łowne”. Była w nim też mowa, że czas zająć się „gwałtownym wzrostem populacji wilków, żubrów, bobrów i kormoranów”. Lakoniczna informacja, w której tak naprawdę nic o łosiu nie było, zniknęła wkrótce ze strony, a kolejny komunikat brzmiał – strona niedostępna. Robert Jurszo, dziennikarz, który zajmuje się tematyką przyrodniczą, trafnie nazwał ówczesny resort „ministerstwem znikających komunikatów”. W końcu pojawiła się wyczekiwana przez nas informacja i mieliśmy już oficjalne potwierdzenie, że egzekucja wyroku na łosia została wstrzymana.

Nie podano powodów zmiany tej decyzji. Możemy się tylko domyślać, co skłoniło tak twardego gracza, jakim był minister Szyszko, do zmiany. Być może łos miał swoich sympatyków i w szeregach partii rządzącej. Wiemy, że Marta Kaczyńska napisała w swoim felietonie, że jej „łosi żal”. Nie kryła również oburzenia pomysłem wznowienia polowań na łosie. W związku z tym media zaczęły spekulować, czy nie była to osobista interwencja Jarosława Kaczyńskiego, który jako jedyny polityk dysponował mocą sprawczą i nakazał ministrowi środowiska odwołanie decyzji o polowaniu na łosia.

Kilka miesięcy później Jan Szyszko przestał być szefem resortu odpowiedzialnego za ochronę przyrody w Polsce. Nie oznacza to, że łosie są już bezpieczne i nie pojawi się kolejny polityk, który na takie polowania się zgodzi. Tym bardziej że łowiectwo po kolejnej fali kompetencyjnych zmian znalazło się pod opieką ministerstwa rolnictwa. A łos gatunkiem chronionym wciąż nie jest, chociaż biorąc pod uwagę jego kruchą przyszłość, stać się nim powinien. Dlatego najlepszym rozwiązaniem byłoby wpisanie łosia na listę gatunków chronionych zamiast pozostawienia tego zwierzęcia w swoistym zawieszaniu.



Fragmenty książki Piotra Dombrowskiego i Pawła Średzińskiego *Łoś. Opowieści o gapiuszach z krainy Biebrzy*, Wydawnictwo Państw Buriat, Kielce 2021

W MSZ zwalnia ABW

Wspominaliśmy już o tym, że z MSZ wyrzucani są ostatni absolwenci MGIMO, którzy tam się uchwalali. Ostatnia trzydziestka. Na jakiej podstawie? Jak to wszystko wygląda? Oto fragmenty listu, który przyszedł na ręce Attaché:

„Na podstawie art. 5 znowelizowanej niedawno, a uchwalonej w ub.r. ustawy o służbie zagranicznej, pod kuriozalnym pretekstem »zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa«, dokonuje się w stylu iście stalinowskim bezwzględna czystka wieloletnich urzędników, którzy ponad 30 lat temu, w zupełnie innych od obecnych uwarunkowaniach historycznych, ukończyli renomowaną uczelnię dyplomatyczną MGIMO.

Nowelizacja ustawy skonstruowana jest w ten sposób, że decyzję o dalszym zatrudnieniu tych pracowników podejmuje szef służby zagranicznej (stanowisko utworzone w ub.r.) na podstawie i w zgodzie z obowiązkową opinią szefa ABW.

(...) Wszyscy pracownicy od 26 sierpnia br. otrzymują od szefa SZ decyzje negatywne z trzymiesięcznym okresem, po którym następuje wygaszenie stosunku pracy bez prawa do wglądu do uzasadnienia decyzji, zarówno szefa SZ, jak i szefa ABW (...). Ustawa łamie prawa pracownicze, nie przewidując żadnego trybu odwoławczego.

Kuriozum tej sytuacji polega też na tym, że dotyka ona wieloletnich, mianowanych urzędników Służby Zagranicznej i Służby Cywilnej, którzy w zdecydowanej większości są w posiadaniu aktualnych, ważnych poświadczeń bezpieczeństwa ABW do klauzuli »tajne«. Warto zaznaczyć, że taki proces sprawdzający trwa nawet ponad rok. Poświadczenia te, ważne siedem lat, w poszczególnych przypadkach wydawane były przez ABW również w ostatnim okresie.

Pracownicy, którzy je otrzymywali, byli również pozytywnie weryfikowani przez ABW na przestrzeni wielu lat.

Oznacza to, że obecne negatywne opinie szefa ABW wydane en bloc w ciągu jednego miesiąca wobec wszystkich pracowników stoją w totalnej sprzeczności z wynikami poprzednio przeprowadzanych, szczegółowych, długotrwałych postępowań. Powstaje zatem uzasadnione pytanie, czy poprzednie, drobiazgowo procedury sprawdzające były przeprowadzane w sposób powierzchowny i niedokładny, co stanowiłoby poważne naruszenie obowiązującego prawa oraz obowiązków ze strony funkcjonariuszy ABW, czy też obecne opinie ABW wydane zostały pod presją na ściśle określone zamówienie polityczne, co w istocie stanowi działalność przestępczą i narusza podstawowe prawa obywatelskie.

Nikt o zdrowym rozsądku nie uwierzy, że ok. 30 urzędników przez dziesięciolecia w sposób należyty, z poświęceniem wykonujących swoje obowiązki nagle okazało się zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju.

Także sposób pozbicia się wartościowych urzędników (każdy oprócz olbrzymiej wiedzy i doświadczenia świetnie zna co najmniej trzy języki obce) w wątpliwym prawnie trybie wygaśnięcia stosunku pracy, bez żadnych odpraw, zadośćuczynienia czy przynajmniej propozycji przeniesienia do innych urzędów, budzi wręcz odrazę.

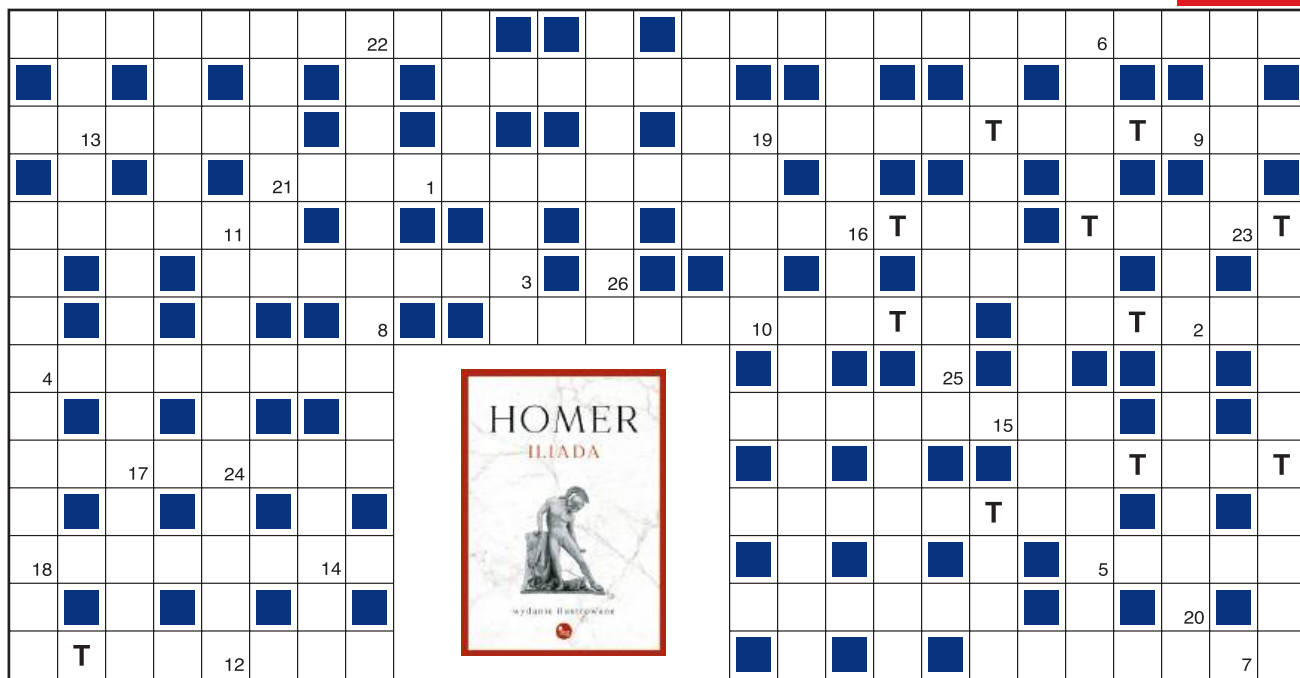
(...) Przy podejmowaniu decyzji nie brano pod uwagę osobistej sytuacji pracownika. W sposób bezduszny i bezwzględny zostali zwolnieni także ci, którzy znajdują się w wieku ochronnym, również przed emeryturą.

(...) Znamienne, że niektórzy inspiratorzy tej haniebnej ustawy sami nie posiadają żadnego wyższego wykształcenia”.

Attaché

Starcia działaczy ekologicznych z policją podczas protestu przeciw przystąpieniu Chin do Partnerstwa Transpacyficznego (TPP). Valparaíso, Chile, 28 września 2022 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- literacka lub FBI, wywiadu
- psianka podłużna, oberżyna
- gdańska, Wujka lub Tysiąclecia
- na projekcyjny rzutowany jest obraz
- otoczona obszarem innego państwa
- otwarty mebel z kilkoma półkami
- organizator występów artysty
- Bagdad jego stolicą
- samolot szkolno-treningowy z Mielca
- Abraham miał go złożyć w ofierze
- trzymanie w odosobnieniu, pozbawianie kontaktu
- słomkowy albo kowbojski
- szponiasty – płaz, malutki – nietoperz
- wyrównanie braku, wynagrodzenie strat
- zatykanie butelek
- ...mody – sławny projektant
- obejmuje biegi, skoki, rzuty dyskiem itp.
- stałe – umożliwia serfowanie
- zwykle stanowił jedną trzecią sążnia
- poprawianie stosunków wodnych w glebie
- zabalsamowany faraon
- o łatwowiernym i prostodusznym
- liczba egzemplarzy PRZEGŁĄDU
- haszysz lub heroína
- dość namolny gość
- harcerski albo treningowy
- Geryon, Golem lub Goliat
- wieloskrzydłowy to polityk
- instrument z katedry oliwskiej
- załoga wioślarska
- podpórka krzaka pomidora
- pamiętny miesiąc 1956 r.
- ...Porno – zespół z „Grabieżem”
- bagażownia dworcowa
- ...praski – pinczer z Czech
- świętomarciński z białym makiem
- rozstęg skalny, szczelina
- o właścicielce mięsnego
- spadek, spuścizna
- byli przykuwani do wiosel galery
- wstrząs, silna reakcja psychiczna
- model stajenki betlejemskiej
- helikoptera lub wiatraka
- ...rzeka albo ...tabu
- mrówkojad chętnie ją rozgrzebie
- po nim z nabrzeża na statek
- publiczność i część sali dla niej
- zastąpienie, przeobrażenie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1085”. Do rozlosowania książki „Iliada” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 października 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1082” z nr. 38: Ruiny nie świadczą o wielkości. Nagrody otrzymują: Ewa Grzegorzewska ze Śremu, Waldemar Gutowski z Wołomina, Janusz Jędrasik z Kobyłki.

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Pomysł tej władzy, którego wykonawcą jest Jacek Kurski, nie zakładał utrzymywania misji mediów publicznych, a jedynie utrzymanie systemu propagandy partyjnej z bezwzględnym politykiem na czele. Wraz z anihilacją misji publicznej dokonuje się jednak gwałt na dziennikarskim wizerunku, etyce i przyzwoitości. A tych wartości na pewno warto bronić. Pracownicy propagandy i siewcy nienawiści w polskim radiu i telewizji, których już nawet nie nazywamy dziennikarzami, nie powinni spodziewać się, że po zmianie władzy nastąpi kolejne, naturalne wychylenie wahadła i następna ekipa będzie robić to samo, co poprzednicy.

ANGORA **HENRYK MARTENKA,**
PUBLICYSTA

Pięć lat temu w Szczecinie uroczyste kładziono stępkę pod pierwszy z 20 promów typu ro-pax, które miały skutecznie zagrozić zagranicznej konkurencji i zaświadczyć o naszej morskiej potęgze. Prezes Stoczni Gryfia z egzaltacją podkreślał wówczas symboliczne znaczenie tego wydarzenia. Na starych zdjęciach ze stoczni widzimy: Morawieckiego, Gróbarczyka i Brudzińskiego – i już ta ferajna powinna nam w głowach uruchomić alarm. Bo tamto symboliczne wydarzenie już wtedy było niewiele warte, ledwie dwa złote za kilo, za które dziś Gryfia chce ten złom opchnąć w punkcie skupu. Zdaje się – daremnie.

na **szczybie**

PIOTR PUSTELNIK,
PREZES POLSKIEGO
ZWIĄZKU ALPINIZMU

Burmistrz Saint-Gervais, prefekt Górnej Sabaudii, i Stowarzyszenie Przewodników Górskich prosili i zalecali odstępianie od wejścia drogą normalną na Mont Blanc przez Tête Rousse i Auguille de Goûter z powodu zagrożeń lawinowych i wysypu kamieni. Niestety, bezskutecznie. Burmistrz Saint-Gervais napisał na TT m.in.: „Tego wieczoru nie mniej niż 79 alpinistów, głównie z krajów Europy Wschodniej, grało w rosyjską ruletkę i pomimo tych zaleceń najechało schronisko Goûter. Ich głupota zmusza mnie do zamknięcia schronisk Tête Rousse i Goûter”.

zwierciadło **EWA FARNA,**
PIOSENKARKA,
KOMPOZYTORKA

Nie jestem teraz w momencie, o którym bym dumnie mówiła, że jestem superpewna siebie albo że właśnie tak chcę wyglądać. Jednak cały czas siebie akceptuję, a na pewno nie będę się biczować. Mam teraz inne priorytety i wierzę w to, że jeśli postawiłabym siebie i swoje ciało na pierwszym miejscu, wyglądałabym inaczej. Najmieszniejsze jest to, że największy hejt na punkcie mojego wyglądu spotkał mnie 10 lat temu, a jak teraz patrzę na tamte zdjęcia, które wywoływały te wszystkie komentarze, nie mogę uwierzyć – no, gdzie ten większy tyłek, o którym pisali? Jezuseczku, jak ja bym teraz tak wyglądała jak wtedy!

Aby język giętki...

JAN ENGLERT O HIERARCHII

Kiedyś wchodziło się po drabinie do mistrza. Dziś przewraca się drabinę razem z mistrzem.

ILONA ŁĘPKOWSKA
O SZYMONIE HOŁOWNI

To skądinąd całkiem miły i niegłupi facet, ale czy mógłby już wyrosnąć z krótkich spodenek, opanować słowotok i nie odszczekiwać się?

SZCZEPAN TWARDOCH O ŚLĄSKU

Polska narracja o rzekomej odwiecznej polskości Śląska jest martwa i zmurszała.

RAFAŁ KALUKIN O WPISIE INTERNAUTKI

„Kobiety wkurwione, lekarze wkurwieni, nauczyciele wkurwieni, rolnicy wkurwieni, przedsiębiorcy wkurwieni. A wciąż 40% popiera PiS. Kto to kurwa jest?”.

FILIP BAJON O KRZYSZTOFIE ZANUSSIM

Przy „Wizji lokalnej 1901” przestał się ze sobą rozmawiać. Domagał się zmiany zakończenia. Chciał, żeby nie było gęsi we krwi.

DOROTA MASŁOWSKA O PISANIU

Pisanie pozwala kontemplować złożoność, ogrom i swoją wobec niego bezradność.

MAŁGORZATA SZUMOWSKA
O WYCHOWANIU

Zostałam wychowana w specyficznym, inteligentnym domu. Niestety, dziś inteligentne domy są na wymiarciu.

MACIEJ MALEŃCZUK
O PODWÓJNEJ MORALNOŚCI

Dla mnie to nauczanie o życiu w czystości przez księdza z mojej wioski, który ma trójkę dzieci, każde z inną.

TATIANA OKUPNIK O MACIERZYŃSTWIE

Nauczyło mnie waleczności i nieprzejmowania się tym, jak ocenia mnie inni. Bycie mamą nauczyło mnie prosić o pomoc.

EWA KASPRZYK
O UBIORZE „W PEWNYM WIEKU”

Ludzie zawsze swoje wiedzą i znajdują powód, aby krytykować. Ubieram się tak, bo lubię.



Arnold Schwarzenegger i Lidia Maksymowicz, ocalała z Holocaustu, w Centrum Żydowskim. Oświęcim, 28 września 2022 r.



Wodogrzmoty głupoty

Para z Brazylii, która spodziewa się dziecka, ogłosiła bliskim jego płeć, farbując wodę lokalnego wodospadu. Jaskrawy niebieski kolor, nadany H₂O podczas specjalnego przyjęcia, miał oznaczać: „to chłopiec!” (dziewczynkę zwiastowałby, rzecz jasna, róż). Gdy wideo z uroczystości trafiło do mediów społecznościowych, spotkało się ze zmasowaną krytyką – zwłaszcza gdy ustalono, że wodospad znajduje się na rzece Queima-Pé, będącej głównym źródłem wody dla gminy Tangará da Serra, która niedawno cierpiała z powodu bardzo długiej suszy. Przyszli rodzice mogą się spodziewać konsekwencji prawnych, jednak najbardziej pożyteczny byłby chyba zakaz dalszej prokreacji...

Ziarno do ziarnka, a zbierze się wyrok?

W gminie Lewin Brzeski na Opolszczyźnie złodziej ukradł 8 ton pszenicy, posługując się... wiadrem. Od jednego z sąsiadów pożyczył traktor, przyczepę od drugiego i pojechał do magazynu w miejscowości oddalonej o kilka kilometrów. Przez noc, wyposażony jedynie we wspomniane naczynie, załadował na przyczepę imponującą ilość zboża. Policja ustaliła ponadto, że zmierzając po łup, mężczyzna zniszczył 60 arów uprawy kukurydzy. 40-latkowi, który przyznał się do postawionych zarzutów, grozi do pięciu lat pozbawienia wolności. Jego jedyną nadzieją wydaje się uznanie pracowitości za okoliczność łagodzącą.

Jeżeli kochać, to nie indywidualnie

W nowym programie randkowym platformy Netflix miłości będą szukać nie single, ale rodzeństwa. Mowa o reality show „Dated & Related”, co na język polski zdecydowano się przetłumaczyć jako „Rodzinne randkowanie”. Idea jest równie prosta, co absurdalna: osiem par rodzeństwa w wielkiej, luksusowej willi z basenem na południu Francji szuka miłości pośród innych uczestników, a jednocześnie stara się zdobyć nagrodę pieniężną. Publiczne przeżywanie „romansu życia” w towarzystwie brata lub siostry sam Netflix określił jako „niezręczne”. Mogło być gorzej, czekamy na program, w którym szuka się nowej żony z pomocą aktualnej teściowej.

Lipiec miesiącem nienawiści?

Ceniony niemiecki think tank, Poczdamski Instytut Badań nad Wpływem Klimatu, ustalił, że przy temperaturach niższych niż 12 st. C lub wyższych niż 21 st. w ludziach rośnie skłonność do słownej agresji. Do takich wniosków doprowadziła analiza, dokonana za pomocą sieci neuronowej, 4 mld wpisów amerykańskich użytkowników Twittera. Mowie nienawiści szczególnie sprzyja gorąco, a przekroczenie 30 st. C oznacza wręcz eksplozję hejtu. W obliczu galopujących zmian klimatu trudno zatem liczyć na globalne ocieplenie relacji międzyludzkich.

CYTATY

JERZY URBAN,
redaktor naczelny
Gorbaczow ateista
był wzorem wierności
małżeńskiej,
bezszyfrowanie
zalecanej w Polsce
przez kler katolicki.
„Nie”

MAREK DUTKIEWICZ,
autor hitowych
piosenek
Kultura w PRL-u miała się
znacznie lepiej niż w tej
chwili, brzmi to może
osobliwie, ale taka jest
prawda.
„Viva!”

BRONTIS JODOROWSKY,
meksykańsko-
francuski aktor
i satyryk
Wiara góry przenosi.
Zwłaszcza góry złota.
„Forum”



Parada chórów w przeddzień etiopskiego święta prawosławnego Meskel, które upamiętnia odkrycie w IV w. przez rzymską cesarzową Helenę krzyża, na którym został ukrzyżowany Jezus. Addis Abeba, 26 września 2022 r.

Kosmita tu raczej nie zawita

Międzynarodowy zespół naukowy ogłosił na łamach periodyku „Monthly Notices of Royal Astronomical Society”, że Ziemia jest dobrze ukryta przed obcymi cywilizacjami podobnymi do naszej, które wykorzystywałyby tzw. mikrosoczewkowanie grawitacyjne do poszukiwania potencjalnie zamieszkałych planet. Naukowcy wykorzystali dane dotyczące ponad 1,1 mld gwiazd i przyjęli założenie, że w pobliżu każdej z nich znajduje się rasa o stopniu zaawansowania technologicznego zbliżonym do Ziemia. Wniosek: wykrycie wspomnianą metodą Błękitnej Planety jest „bardzo wątpliwe”, chyba że użyje jej ktoś znacznie mądrzejszy od nas. A wtedy będziemy musieli jakoś mu się wytłumaczyć m.in. z Trumpa, antyszczepionkowców i przekopu mierzei...

PRZESZŁOŚĆ, PRZYSZŁOŚĆ,
TERAŻNIEJSZOŚĆ

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGŁĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ

ZAINSPIRUJ SIĘ

FOT. PIS NA KSIĘŻYC (3), POLSKA ORKA POLITYCZNA, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl e484940f42



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogotkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),

Konrad Selest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytyż: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Yes please
(Zeus & Io)

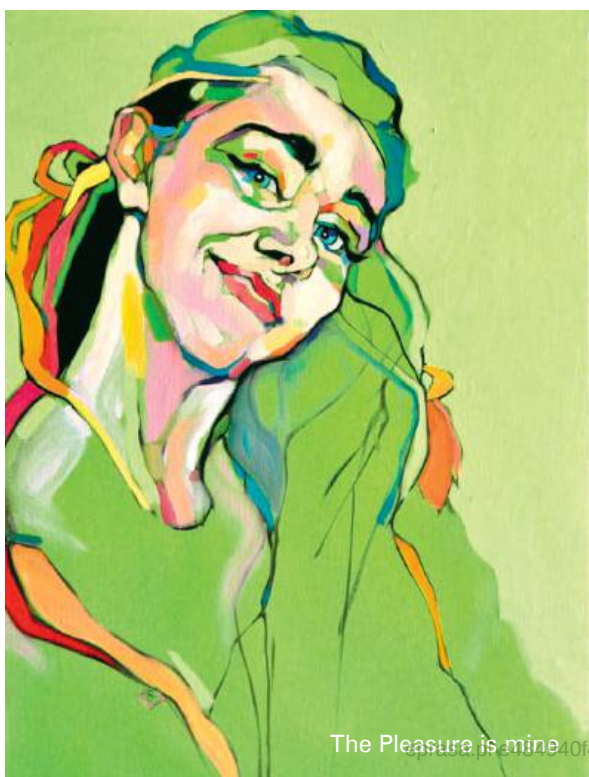


Ekstaza

Dominik Jasiński, rocznik '81, pochodzi z Rzeszowa, mieszka i pracuje w Portugalii. Wystawa w Rzeszowskim Domu Sztuki jest jego pierwszą w rodzinnym mieście. Malarz, grafik, autor rysunków, ilustracji książkowych i magazynowych, absolwent warszawskiej ASP, współpracuje m.in. z Reserved, Tatuem czy Fabryką Porcelany AS Ćmielów. Pomysłodawca i kurator cyklu wystaw Jasiński&friends. Fascynuje go ludzkie ciało – temu tematowi

poświęcił kilka publikacji i pracę dyplomową. Lubi mocne i antagonistyczne zestawienia kolorystyczne. Sięga także po motywy florystyczne i ludowe. Portretując kobiety, wydobywa ich piękno.

Rzeszowski Dom Sztuki Adam Rajzer
ul. Mickiewicza 13
do 12 października



The Pleasure is mine

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Go west

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

**Forum Przyszłości
Kultury 2022**

SOLIDARNOŚĆ I TROSKA

14–16 października 2022

Teatr Powszechny w Warszawie



**Spotkajmy się, by
wspólnie pracować
nad rozwojem
wolnej, różnorodnej
i obywatelskiej kultury!**

**rozmowy, warsztaty,
spektakle, debaty, targi,
wykłady, inspiracje**

rejestracja i program:
ForumPrzyszlosciKultury.pl

Forum Przyszłości Kultury
realizowane jest dzięki
wsparciu m.st. Warszawy



EMMANUELLE
BEART